Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

NOWA KULTURA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 25 zł — 12 stron | Warszawa, 4 czerwca 1950 r. | Nr 10 Rok I

Biblioteka Wyższej Szkoły Handlu Morskiego SOPOT

MILIONY PODPISÓW POD APELEM POKOJU

Wobec Apelu Sztokholmskiego

Niegdyś największy nasz poeta skarżył się na niewystarczalność mowy, w jakiejś chwili życia, gdy zmierzył się z potęgą zła na ziemi. Cóż ma powiedzieć pisarz współczesny, postawiony wobec ogromu spraw i zjawisk przy których słowa tracą swoją siłę i wagę.

Dane nam było przeżyć straszną wojnę i okupację hitlerowską, poznaliśmy grozę najazdu i grozę życia w nieustannym sąsiedztwie śmierci.

Zaledwie wyszliśmy z tych lat, w czasie gdy jeszcze z ulic miast zburzonych usuwały gruz ręce żołnierzy i robotników, w czasie gdy jeszcze otaczały nas cienie zabitych, producenci broni masowego mordu, fabrykanci zagłady milionów przystąpili już skwapliwie do swego złowieszczego dzieła. Wykorzystane zostały dla tego straszliwego dzieła najwspanialsze wynalazki i odkrycia geniuszu ludzkiego. Z badań nad materią życia, z wtargnięcia do jej dotychczas tajemniczego wnętrza uczyniono jeszcze jedną broń przeciw człowiekowi. Stała się rzecz godna gniewu i przerażenia Dantego, tragików starożytnych i Wielkiej Improwizacji. Rodzaj ludzki przywłaszczył sobie rzeczywiście „część potęgi" natury poto, aby skierować jej wyzwolone siły przeciw sobie, w szaleństwie pychy, żądzy posiadania i władzy. „Rodzaj ludzki" jest tu tylko niewierną przenośnią. Rodzaj ludzki nie jest jednolity. Świat podzielił się, wyraźnie jak nigdy dotąd, na milionowe rzesze ludów, które tworzą nowe formy współżycia ludzi na ziemi, w trudzie, w pokojowej wspólnocie pracy rąk i mózgów — i na organizatorów nowej rzezi, handlarzy ciał ludzkich, posępnych władców złota, żelaza i uranu, którzy dla zachowania i pomnożenia swych bogactw gotowi są zdziesiątkować ludzkość i zniszczyć najwspanialsze dzieła umysłu ludzkiego.

Opętani strachem przed wielkim, wzbierającym co dzień morzem ludów różnych krajów i języków, chcieliby to morze wysuszyć, wytoczywszy z niego krew mężczyzn, kobiet i dzieci. Nigdy jeszcze historia świata nie operowała równie wielkimi cyframi, i przestrzeniami, nigdy jeszcze ludzkość nie miała tak potężnych środków w ręku, i nigdy nie groziło jej większe niebezpieczeństwo. Ale też nigdy jeszcze słowo „pokój" nie brzmiało tak silnie i czysto, nigdy jeszcze ludy świata nie były tak zgodne i tak umiejętnie zorganizowane, by wypowiedzieć wojnę wojnie — by nie dopuścić do wojny.

Rzeczywistość nasza przyjęła fantastyczne kształty i rozmiary. Europa, Azja, narody białe i kolorowe, ludzie pracy wszystkich krajów odpowiadają rozpalaczom łuny wojennej: „Nie dopuścimy do nowej rzezi narodów. Nie będziemy bić się dla zachowania i pomnożenia bogactw wielkiego kapitału, nie będziemy ginąć za świat wyzysku, zbrodni i nierówności."

Fantastyczny na pozór pomysł zbierania podpisów wszystkich bez wyjątku ludzi, którzy nie chcą wojny, stał się w tej chwili potężną, realną bronią przeciw organizatorom agresji wojennej. Ta broń szlachetna nie odbierze nikomu życia, przeciwnie — chce uratować życie milionom ludzi. Pod apelem sztokholmskim podpisują się nienawykłą do pióra ręką chłopi i robotnicy, dokerzy i tragarze. Pod tym samym apelem widnieją nazwiska wielkich uczonych i pisarzy naszego czasu. Profesor Joliot-Curie i Tomasz Mann składają swoje podpisy obok nazwisk robotników portowych Francji i Włoch, czy robotników przemysłu elektrotechnicznego Anglii. Uczeni i pisarze Związku Republik Rad i państw Demokracji Ludowej podpisują Apel Pokoju z tym samym wzruszeniem, troską i wiarą, co chłopi i robotnicy tych krajów. Najszlachetniejsza z wojen już została wypowiedziana: wojna rozumów i serc, wydana grozie i szaleństwu wojny, planowanej przez imperialistów, władców złota, żelaza i uranu, gotowych rozpętać katastrofę żywiołów tej planety w obawie przed katastrofą ustroju, drżącego w posadach. Ich zbrodnicze zamysły, ich chciwość, ich okrucieństwo obnażają dzisiaj podpisy milionów rąk — rąk od pióra i pługa.

„Dzisiaj — pisze „Prawda" — należy żądać wyjaśnień od tych którzy odmawiają podpisania apelu. W walce o zakaz broni atomowej nie można zajmować pozycji neutralnej.

Chodzi bowiem o przyszłość ludzkości, o życie setek milionów ludzi, o losy cywilizacji świata. Dlatego też obrońcy pokoju mają prawo domagać się i domagają się, aby każdy deputowany do parlamentu, każdy uczony, pisarz, działacz związkowy, działacz chłopski czy też duchowny bez różnicy przekonań partyjnych, politycznych i religijnych jasno sprecyzował swój stosunek do apelu Stałego Komitetu. Domagają się oni słusznie, aby ci, którzy odmawiają złożenia podpisu pod tym apelem, publicznie umotywowali swoją odmowę."

Ten głos dziennika radzieckiego jest głosem ludów Związku Rad, kraju zwycięskiej rewolucji, kraju, który całą potęgę swoją oddał sprawie pokoju, sprawie obejmującej dziś całą ludzkość, i zarazem jest głosem wszystkich ludów świata.

Tak. Ludy chcą mieć dzisiaj jasną odpowiedź. W ostrym świetle dnia, nieosłonięci żadną dymną zasłoną, stoją już dzisiaj przed trybunałem ludów wszyscy rozpalacze pożogi wojennej.

— „Zniszczyć świat? — Nie! — zniszczyć bombę atomową" — odpowiada lud francuski — a słowom jego wtóruje głos ludu chińskiego:

„Bomby atomowe i wodorowe niewiele znaczą wobec wzrastającej potęgi ludów. Jeśli imperialiści odważą się rozpętać wojnę światową, będzie ona oznaczała ich własną zgubę."

Zapytajcie pierwszego lepszego u nas człowieka, dlaczego podpisuje apel sztokholmski, odpowie wam: „Kocham swój kraj, kocham swoją rodzinę, miły mi świat, nienawidzę wojny." Spytajcie uczonych i pisarzy naszego kraju, dlaczego podpisują apel sztokholmski. Odpowiedzą wam to samo. I może jeszcze dodadzą: „Kocham tysiąclecia cywilizacji i kultury świata i drżę na myśl, że mogłyby zostać zniszczone."

Powstaje jedyny w dziejach związek milionowych zastępów ludzi pracy, powstaje jedyna w dziejach armia, której bronią jest wola pokojowego współżycia ludów. Broń to szlachetna i potężna.

Niech drżą przed nią ci, którzy wierzą jedynie w potęgę swej techniki, we wszechmoc kapitałów i niezawodność gry politycznej!

Z milionów nazwisk wielojęzycznego ludu ziemi powstaje groźne ostrzeżenie, protest wydobyty z głębi masy ludowej, głos, który oskarża i przywołuje do opamiętania. Lud pozywa przed swój sąd nieprzyjaciół wolności. Lud milionami nazwisk podpisuje już dzisiaj wyrok na nich.

Podpalacze świata, zimni mordercy, którym roi się nowa „intratna" wojna, mają zapewne na swe usprawiedliwienie nie jedną obłudną teorię. Zapewne wierzą, że teoria ta wyższa jest od powszechnego wołania ludów.

Ale my możemy odpowiedzieć im słowami Mickiewicza:

„Gdyby... mieli cokolwiek pokory politycznej i chcieli uważać, co się koło nich dzieje, gdyby zbierali i sumowali rozmowy ludu, wołania jego, modlitwy jego — może by się więcej nauczyli niż w książkach i gazetach...

Przed wybuchem wulkanu dosyć jest uważać kolor wody w studniach, dym w szparach góry, aby przewidzieć niebezpieczeństwo, biada tym, którzy wtenczas zasiądą czytać teorię wulkanów!"

Takie ostrzeżenie powinni wyczytać władcy złota, żelaza, uranu w owej „petycji którą duch czasu zanosi" w milionach podpisów przed trybunał pokoju. W jego apelu jest dzisiaj sumienie świata, przeszłość, teraźniejszość i przyszłość ludzkości.

Mieczysław Jastrun

Różne bywają podpisy: bankiera na wekslu, gwiazdy filmowej na fotografii w brukowcu...

Dyplomaci państw imperialistycznych lubią nieraz przechwalać się cynicznie, że układy, które podpisują, są tylko świstkami papieru, które można w stosownej chwili potargać. Za podpisem imperialistycznego dyplomaty stoi najczęściej świadome i zawsze krótkowzroczne oszustwo, za podpisem bankiera — pasożytniczy interes, za podpisem gwiazdy filmowej — snobizm i reklama.

Ale bywają podpisy, za którymi stoi — żywy człowiek! Takimi są nasze podpisy pod Apelem Sztokholmskim. Stoi za nimi milionowa armia żywych ludzi, którzy nie tylko są wytwórcami wszelkiego dobra materialnego i duchowego, ale chcą być również twórcami swego losu, losu swoich dzieci, losu swoich narodów.

Blisko 15 milionów takich podpisów zebrano dotąd w Polsce. Dziesiątki, a na pewno i setki milionów takich podpisów złożą ludzie pracy na całym świecie. Będą to podpisy we wszystkich językach ziemi. Ale wymowa ich będzie zupełnie jednoznaczna i wszędzie ta sama, tak jak jednoznaczna i wszędzie ta sama jest treść Apelu Sztokholmskiego: hańba i wyrok klęski podżegaczom wojennym! Chwała i zwycięstwo pokojowi!

Leon Kruczkowski

Sprawa Joliot-Curie

Przed kilkoma tygodniami profesor Joliot-Curie został usunięty ze stanowiska Komisarza dla spraw energii atomowej we Francji.

Francją wstrząsnęła burza sprzeciwów. I nie tylko Francją. Jak ziemia długa i szeroka posypały się protesty przeciw haniebnej decyzji rządu paryskiego. Nikt, kto we Francji myśli uczciwie, nie przyjął tego faktu spokojnie. Przeciwko usunięciu Joliot-Curie manifestował i nadal manifestuje lud francuski na zgromadzeniach publicznych, zebraniach i demonstracjach ulicznych. Masy francuskie, francuscy uczeni, pisarze, myśliciele i artyści, wszyscy ludzie postępu na całej kuli ziemskiej wyrazili wielkiemu uczonemu i wielkiemu bojownikowi o pokój *votum zaufania*. Kilkunastu ministrów, którzy otrzymali rozkaz usunięcia Joliot-Curie, znalazło się w odosobnieniu.

Francuska Rada Ministrów, udzielając dymisji prof. Joliot-Curie, nie umotywowała swej decyzji. Stało się to z dwóch przyczyn: po pierwsze nie była to decyzja rządu, który zasiada w Paryżu, po wtóre każda motywacja — o ile by zawierała choć cień prawdy — byłaby surowym aktem oskarżenia jej autorów. Jakież zarzuty mógł wysunąć rząd francuski przeciw prof. Joliot-Curie? Z punktu widzenia wojennej racji stanu imperializmu amerykańskiego bardzo poważne:

Prof. Joliot-Curie jest znakomitym uczonym, jednym z najlepszych specjalistów w zakresie fizyki atomowej, laureatem nagrody Nobla, autorem wybitnych prac naukowych, który reprezentuje niezależną myśl francuską. Joliot-Curie niejednokrotnie podkreślał w swoich przemówieniach, że powołaniem nauki jest służyć ludzkości i pomnażać jej szczęście, a nie oddawać się w niewolę temu, kto więcej płaci. Joliot-Curie chce, aby nauka służyła milionom ludzi pracy, a nie milionowym zyskom wielkich przemysłowców. Dlatego musiał ustąpić.

Joliot-Curie należy do tych fizyków, którzy chcą zużytkować energię atomową dla celów pokojowych, a nie wojennych. Chce zakląć ją w pędzące z olbrzymią szybkością pociągi, w błyskawicznie mknące samoloty, w międzyplanetarne pociski, a nie w bomby atomowe i śmiercionośne rakiety. Chce uwięzić energię atomową w próbówce i retorcie, nad którą pochyla się lekarz, a nie w pocisku niosącym śmierć i zniszczenie. Joliot-Curie widzi w energii atomowej źródło postępu techniki i cywilizacji, a nie źródło mordu i zbrodni. Dlatego został usunięty ze swego stanowiska.

Joliot-Curie jest przewodniczącym Stałego Komitetu obrońców pokoju, organizatorem wszechświatowego ruchu, który krzyżuje plany podżegaczy wojennych. Reprezentuje zasadę, że rząd, który pierwszy użyje bomby atomowej, będzie uznany za zbrodniarza wojennego. Jest uosobieniem światowej woli pokoju, synonimem walki o pokój między narodami. Jest wrogiem wojny i imperializmu. Dlatego rząd amerykański polecił go usunąć.

Prof. Joliot-Curie

Joliot-Curie jest gorącym patriotą francuskim, który uważa, że ojczyzna Voltaire'a, Diderota, Balzaca, Zoli i Jaurèsa zasłużyła na coś lepszego, niż na los kolonii Trumana, Johnsona i przebywającego chwilowo w więzieniu za defraudację Parnella J. Thomasa. Zdaniem Joliot-Curie do rządzenia Francją jest powołany jedynie jej lud, a nie obcy wyzyskiwacz wysługujący się francuskimi marionetkami ministerialnymi. Joliot-Curie jest ucieleśnieniem przymierza myśli z masami, reprezentuje sojusz sumienia z ojczyzną, a nie pieniądza ze zdradą. Dlatego stał się niewygodny i musiał odejść.

Joliot-Curie jest członkiem partii komunistycznej, która skupia w swoich szeregach miliony Francuzów, broniących niezawisłości kraju, walczących o sprawiedliwość społeczną i pokój. W Związku Radzieckim widzi on najpotężniejszą ostoję postępu i przywódcę pokojowego obozu świata tudzież przyjaciela ludu francuskiego. Joliot-Curie jest nierozdzielnie związany z klasą pracującą Francji i całego świata, oddawszy swoją energię i umiejętności na usługi postępu i demokracji. Dlatego otrzymał dymisję.

Dymisja prof. Joliot-Curie została podpisana przez kilkunastu ministrów Francji. Większość narodu francuskiego tej dymisji nie podpisała i nie podpisze. Dla nas, Polaków, Joliot-Curie pozostanie mandatariuszem setek milionów zwolenników pokoju, przedstawicielem Francji, która była zawsze i jest nam bliska — Francji szturmującej Bastylię, Francji Komunardów, Ruchu Oporu i Francji walczącej o pokój.

GŁOS PRAWDZIWEJ AMERYKI

List Howarda Fasta do pisarzy radzieckich

Myślę, że pisarzy radzieckich i wszystkich czytelników „Litieraturnoj Gaziety" powinny zainteresować pewne fakty, które zaistniały w związku z postanowieniem Sądu Najwyższego USA z dnia 10 kwietnia br., na podstawie którego mają być wtrąceni do więzienia John Howard Lawton i Dalton Trumbo. Postanowienie to daje prawo władzom w najbliższej przyszłości rozprawić się w ten sposób z dziesiątkami innych przedstawicieli amerykańskiej inteligencji.

John Howard Lawton i Dalton Trumbo— to nie tylko dwaj świetni pisarze, lecz również dwaj odważni i wierni swoim poglądom pisarze amerykańscy.

Lawton i Trumbo nieugięcie i niezachwianie stoją po stronie sprawy ludu. Wnieśli oni w zgniłą i brudną atmosferę amerykańskiego filmu oddech życia i świeżości, których tam nigdy nie było. I to właśnie stało się ich przestępstwem.

„Przestępstwo" Johna Howarda Lawtona polega na tym, że napisał scenariusz filmowy o walce hiszpańskich republikanów, a „przestępstwo" Daltona Trumbo — to autorstwo scenariusza, broniącego prawdziwej amerykańskiej demokracji.

Za działalność tę stanęli oni przed komisją do spraw badania antyamerykańskiej działalności. Uważając, że posiadają drogocenne prawo wypowiadania swoich politycznych przekonań bez przymusu, a jedynie zgodnie z własną wolą, obaj pisarze odmówili odpowiedzi na pytanie, czy są komunistami. Każdego z nich skazano na rok więzienia za „brak szacunku" do kongresu.

W tej chwili z tego samego powodu jeszcze dwudziestu pięciu ludziom grozi więzienie. Oprócz tego ministerstwo sprawiedliwości ogłosiło publicznie swój zamiar zasądzenia w 1951 roku dwunastu tysięcy komunistów.

Tak w Ameryce występują charakterystyczne oznaki faszyzmu. Potworny zmierzch tej ostatniej nocy monopolistycznego kapitalizmu zaczyna ogarniać naszą uroczą ziemię i nasz naród.

To walka, w której my mamy nadzieję wytrwać. To walka, w którą idziemy bez strachu, gdyż wiemy, że za nami stoi wiele milionów ludzi miłujących pokój na całym świecie i w naszym własnym kraju. Nie boimy się jej, gdyż jesteśmy przekonani — że zwycięstwo, zwycięstwo narodu jest nieuniknione.

A jednocześnie bardzo ważne jest to, żeby cały świat dowiedział się o podłej, tchórzliwej nikczemności tych, którzy wtrącają do więzień dwóch najlepszych przedstawicieli narodu amerykańskiego.

Lawton i Trumbo pójdą do więzienia w ślad za Dennisem, sekretarzem partii komunistycznej Ameryki, który całe swoje życie poświęcił obronie demokratycznych i obywatelskich praw amerykańskiego narodu i walce o pokój. Pozbawiono go wolności tylko dlatego, że John Parnell Thomas i cała jego warcholska kompania, uważali za potrzebne sfabrykowanie przeciwko niemu i innym demokratom aktu oskarżenia.

Dziś, J. Parnell Thomas — jeden z przywódców komisji do badania działalności antyamerykańskiej — siedzi w więzieniu. Jawny ten łajdak, kradł pensję własnych pracowników.

Za swoje przestępstwo Parnell Thomas winien być ukarany 32 latami więzienia. Skazano go jednak tylko na 8 miesięcy.

Za rzekome przestępstwa, o które reakcja terrorystycznie oskarżyła Dennisa, Lawtona i Trumbo — sąd skazał ich na rok więzienia.

To tylko kilka faktów mówiących o potwornym bezprawiu dziejącym się u nas w Ameryce.

Zwracam się do was, jak do kolegów pisarzy. Proszę was o podniesienie swego głosu w obronie ofiar bezprzykładnego ataku kompanii Truman — Acheson, ataku, którego celem jest zamienienie cywilizowanego świata w atomową pustynię.

New York **Howard Fast**

List ten właściwie nie wymaga komentarzy, opublikowany w 42 nrze „Litieraturnoj Gaziety" zwrócił na siebie uwagę całego postępowego świata, całego świata miłującego wolność i pokój. Wezwanie Howarda Fasta i prośba o pomoc bez wątpienia znajdzie szeroki oddźwięk wśród najszerszych mas postępowej ludzkości. Chcielibyśmy tylko podać jeszcze w skrócie odpowiedź pisarzy radzieckich Howardowi Fastowi, zatytułowaną:

„Wolność dla tych którzy jej bronią!"

„Nie można czytać Waszego listu bez wzruszenia. Rozdziela nas ogromna przestrzeń, ale Wasz głos słychać tu, w Moskwie. W dawnych czasach na Rusi bito w dzwony wzywając ludzi do gaszenia pożaru. Teraz, po całej ziemi biją na alarm — najlepsi synowie narodów zwołują stronników pokoju i przyjaciół wolności, by ugasić płomień przestępczej wojny, znów rozdmuchiwanej przez podżegaczy.

W imieniu milionów, które wybudowały nowy pokój, w imieniu narodu, który wyszedł na przestrzenie socjalizmu, pisarze Związku Radzieckiego protestują przeciwko wtrąceniu do więzienia jednego z najlepszych przedstawicieli postępowej Ameryki Dennisa, przeciwko zatwierdzeniu przez Najwyższy Sąd USA wyroku na bojowników pokoju — pisarzy scenarzystów Johna Howarda Lawtona i Daltona Trumbo.

To, co się obecnie dzieje w USA, nie jest czymś nowym. Kaci wszystkich czasów — od brudnego psa Thiersa, który rozstrzeliwał komunardów paryskich, do szalonego „führera", który zamordował w Dachau i Buchenwaldzie wielu odważnych i uczciwych synów Niemiec, zawsze starali się wtrącić do więzienia duszę narodu, jego sumienie, rozum i honor.

Lecz dotychczas nikomu nie udało się tego urzeczywistnić. Tacy zwyrodnialcy jak Hitler, nie mają nawet swojej mogiły na ziemi. Narody pogardzają ich imionami. A sława paryskich komunardów, Thälmana, sława Olega Koszewowo i Zoji Kosmodemjańskiej będzie żyć wieki.

Takim jest sprawiedliwy sąd historii. Za prędko chcą zapomnieć o nim niektórzy panowie z Waszyngtonu i New Yorku.

My wiemy, czym jest tak zwana „komisja dla spraw badania działalności antyamerykańskiej". Pamiętamy ohydne słowa przewodniczącego tej komisji Johna Parnella Thomasa, powiedziane dwa lata temu: „W tej chwili nie możemy wtrącić do więzienia człowieka za to, że jest komunistą, ale możliwe, że jutro będzie to już do urzeczywistnienia. Zgodnie z wieloznaczną ironią losu faszystowski bandyta i amerykański kongresman Thomas obecnie siedzi w więzieniu za kradzież i oszustwo, za brudne fałszerstwa.

Ale jego gospodarze, ci, którzy nie mogą się obejść bez usług sprostytuowanych polityków — ci dotychczas są na swobodzie. I nie przestają starać się zdusić prawdę rękami innych nikczemników.

Znajdzie się sprzedajny sędzia, który podpisze każdy wyrok — byleby mu zapłacono. Znajdzie się dozorca więzienny, który nałoży kajdany na ręce człowieka pracującego dla szczęścia narodu. Znajdzie się łotr, który z tego powodu wygłosi którąś tam z kolei faszystowską mowę. Znajdą się ludzie, którzy powierzą kłamstwu.

Ale prawda zawsze należy do narodu. Przenika ona nie tylko poprzez kraty więzienne, lecz również i poprzez stronice żółtych gazet i trajkoczące przemówienia senatorów, kongresmanów kupionych za odpowiednią cenę.

Prawda jest zawsze prosta. Pokój — nie wojna! Demokracja — nie faszyzm! Wolność — nie przemoc! Tak mówi naród. Tak mówią setki milionów prostych ludzi na świecie.

Pająki z Wall-Streetu, nie chcą liczyć się z wolą narodu. Przeciągnęli nici swojej pajęczyny po całym świecie. Głosząc wojnę „zimną", „gorącą", „atomową", „nadatomową" starają się zastraszyć pracującą ludzkość.

Ale oni sami się boją. Oni sami drżą przeczuwając hańbę swego ostatniego upadku. Ten, kto występuje przeciwko narodom — skazuje siebie na zgubę!

Od Berlina do Kantonu, od Czukotki po Sofię rozpostarły się mocarne kraje, nie podlegające żadnej obcej walucie, ani obcej woli. W stronę Związku Radzieckiego zwracają się sympatie wszystkich postępowych ludzi świata. Na świecie jest Moskwa i wasz list, Howardzie Fast, ma pewny, godny zaufania adres. Przeraża to śmiertelnie nowych dozorców więziennych nowych Dachau...

Podżegacze wojenni śpieszą się. Zamknęli do więzienia Dennisa, przygotowują cele dla Lawtona i Trumbo. Pośpiesznie robią spisy. Dziś, będzie to spis pięciu, sześciu, dwunastu tysięcy najlepszych synów Ameryki. Jutro — setki tysięcy i zabraknie więzień.

Ale nadejdzie dzień, kiedy dla obecnych dozorców więzień zabraknie miejsca w Ameryce.

Dla nas, radzieckich ludzi, Wasz list — to głos prawdziwej Ameryki, gniewnie protestującej przeciwko otwartemu najściu faszyzmu na amerykański kontynent. Wierzymy i wiemy, że naród USA jest przeciwko wojnie. I każdy z nas jest całym sercem z Wami, z Waszymi Dumnymi i silnymi przyjacielami, z Waszym narodem. Niech nasza solidarność wyrazi się nie tylko w silnym uścisku dłoni, któremu nie przeszkodzi rozdzielająca nas przestrzeń. Naszą solidarność jak palącą się żagiew podajemy wam, pisarzom amerykańskim.

Prawdziwy pisarz jest zawsze silnie związany ze swoim narodem. Lawton i Trumbo — obaj mogą być z tego dumni. A my jesteśmy dumni za nich, za naszych towarzyszy pracy, za naszych braci w walce o pokój. Dziś mówimy:

— Precz z rękoma od Lawtona i Trumbo!

— Precz z rękoma od Dennisa!

— Precz z rękoma od przyjaciół pokoju i wolności! Ws. Wiszniewskij, Georgij Gulja, Aleksander Dowżenko, Wsewołod Iwanow, Walentin Katajew, Borys Ławreniew, Samuił Marszak, Konstantin Simonow, Anatolji Sofronow, Aleksiej Surkow, Anatolji Surow, Nikołaj Tichonow, Michaił Cziaureli.

opr. **Alg.**

PABLO NERUDA

MIGUELOWI HERNANDEZ, ZAMORDOWANEMU W WIĘZIENIACH HISZPANII

Przybyłeś do mnie wprost ze Wschodu. Pasterzu kóz,
przyniosłeś dla mnie
swoją zoraną niewinność,
scholastykę starych stronic, zapach
Brata Luisa, kwiatów pomarańczy i gnoju,
który płonie w górach — na Twej twarzy
kolczaste ziarno skoszonego owsa
i miód, mierzący ziemię Twymi oczyma.

Przyniosłeś także słowika w ustach —
pomarańczowego słowika, brzeg
nieprzekupnej pieśni, mocy, odartej z liści.
Ah, chłopcze, proch wtrącił się do światła,
do Ciebie, idącego ze słowikiem i strzelbą
poniżej księżyca i słońca bitwy.

Teraz wiesz, synu, wszystko, czego zrobić nie mogłem,
teraz wiesz, że dla mnie we wszystkim, co jest poezją,
jesteś błękitnym płomieniem. Dzisiaj
przykładam twarz do ziemi, żeby Cię słuchać,
by słyszeć Cię: krew, muzykę, plaster miodu, który umiera.

Nie widziałem rodu bardziej błyszczącego, niż Twój,
ani korzeni tak twardych, ani dłoni żołnierskich,
nie widziałem niczego tak żywego, jak Twe serce,
które pożera się samo w czerwieni mego sztandaru.

Wieczna młodości, buntowniku z czasów przeszłych,
człowieku wolny, zalany siewem pszenicy i Wiosny,
zmarszczony i ciemny, jak metal
oczekujesz chwili, by podnieść swą broń.

Nie jestem sam, odkąd umarłeś. Jestem wśród tych,
którzy Ciebie szukają. Jestem z tymi,
którzy przybędą kiedyś, by Cię pomścić.
Rozpoznasz ślady mych kroków między tymi,
którzy miotają się na piersi Hiszpanii,
żeby zmiażdżyć Kaina, by pogrzebane twarze
mogły powrócić do nas.

Niech wiedzą ci, którzy Cię zabili,
że zapłacą krwią.

Niech wiedzą ci, którzy Cię męczyli,
że spotkają się ze mną kiedyś.

Niech wiedzą, przeklęci, którzy dziś Twe imię
włączają do swych ksiąg, Damasos i Gerardos,
niecni, cisi wspólnicy kata,
że nie zaćmią Twego męczeństwa, że Twa śmierć
upadnie przez pełny księżyc ich tchórzostwa.
Uwieńczonych zgniłym laurem, którzy
odmawiają Ci miejsca na ziemi Ameryki,
by rozszerzać krwawy blask Twej rzecznej korony —
tych zostaw mnie, pogardliwej niepamięci:
bo chcieli skaleczyć mnie Twą nieobecnością.

Miguelu, daleko od więzienia w Osuna, daleko
od okrucieństwa, Mao-Tse-Tung wiedzie zniszczoną
poezję
Twą w walce, do naszego zwycięstwa. Praga, brzęcząc,
buduje smukły ul, o którym śpiewałeś;
kwitnące Węgry czyszczą swe śpichrze i tańce
wzdłuż rzeki, obudzonej ze snu;
naga syrena Warszawy powstaje, wznosząc
swój miecz z kryształu w czas odbudowy.

I dalej ziemia wzrasta olbrzymia;
ziemia,
którą odwiedziła Twa pieśń — i stal, która obroniła
Twój kraj — są bezpieczne, rosną
opierając się o trwałość
Stalina i jego synów.
Oto już światło
rozpościera się do miejsca Twego spoczynku.

Miguelu z Hiszpanii, gwiazdo
ziemi spustoszonej, ne zapomniałem Cię, synu,
nie zapomniałem Ciebie!
Nauczyłem się życia
z Twej śmierci — moje oczy zaczęły Cię opłakiwać,
gdy odkryłem w sobie
nie szloch,
lecz — broń nieugiętą!
Czekaj na nią! Czekaj na mnie!

przełożył
Lech Pijanowski

EGON NAGANOWSKI

Podpis Tomasza Manna

Tomasz Mann (po prawej) w towarzystwie czołowego poety Niemieckiej Republiki Demokratycznej Johannes'a Becher'a (po lewej) na uroczystościach goethowskich w Weimarze w sierpniu 1949 roku

Pod apelem sztokholmskim, obok dziesiątków milionów ludzi wszystkich narodów i ras, położył też swój podpis wielki pisarz niemiecki i amerykański obywatel — Tomasz Mann. Podpis ten ma o tyle szczególne znaczenie, że człowiek, który za czasów III Rzeszy był nieugiętym antyfaszystą i najznakomitszym reprezentantem lepszych, demokratycznych Niemiec, dziś z kolei jest niemniej konsekwentnym antyimperialistą i czołowym przedstawicielem lepszych, prawdziwie demokratycznych Stanów Zjednoczonych. Przeciwstawiając Niemcom Hitlera Niemcy Goethego i Heinego, a Ameryce Trumana Amerykę Franklina i Roosevelta, Tomasz Mann służył i służy rzeczywistym interesom dwóch narodów, sprawie wolności, sprawiedliwości i pokoju w świecie. Autor „Buddenbrooków" i „Doktora Fausta" rozumie bowiem jasno, że trumanowska Ameryka idzie coraz bardziej w ślady hitlerowskich Niemiec, że mimo pozornych różnic łączy je wiele cech wspólnych.

Pierwsze stwierdzenie dotyczące faszyzacji Stanów Zjednoczonych po śmierci Roosevelta znajdujemy już w wyjątkach z pamiętników Manna, które weszły w skład jego najnowszej książki pt. „Dzieje powstania Doktora Fausta". Notując tam, że niektórzy ludzie w Ameryce oblewali zgon wielkiego prezydenta szampanem, Mann pisze m. i. pod datą września 1945 r.: „Możne siły zabrały się do dzieła, by dzieło Roosevelta zniszczyć, by żal z tego powodu, że się wspólnie z Rosją pobiło Niemcy a nie wspólnie z Niemcami Rosję, rozdmuchać do granic wściekłości i by popierać ruch wsteczny, prowadzący do faszyzmu.. do wojny..." Mann nie szczędził też słów potępienia dla poczynań wojsk amerykańskich w Chinach, podkreślając, że tylko w części Chin rządzonej przez komunistów panował prawdziwy ład i porządek. Zurychską mowę Churchilla Mann ocenia krótko jako przejaw „woli ponownego uzbrojenia Niemiec przeciwko Rosjii" i bezpośrednio potem decyduje się przesłać do „Komitetu dla Zwalczania Broni Atomowej" głośny apel w sprawie utrzymania pokoju. Po tym apelu prasa amerykańska podniosła lament, że Tomasz Mann uległ „komunistycznej zarazie".

Wielki pisarz nie pomijał w ostatnich latach żadnej okazji, by upominać i ostrzegać koła rządzące jego przybraną ojczyzną. Oburzony nagonką na żywioły postępowe w USA, Mann stanął w r. 1947 w obronie zaaresztowanego Gerharda Eislera, przeciwstawił się energicznie osławionemu postępowaniu przeciwko grupie aktorów i reżyserów z Hollywood („...tak samo zaczęło się w Niemczech. Co potem nastąpiło było faszyzmem a wraz z faszyzmem przyszła wojna."), w r. 1948 ponownie napiętnował ducha nietolerancji i „politycznej likwidacji" a wreszcie ostro skrytykował Departament Stanu za politykę w sprawie Palestyny. „Dlaczego — pytał wtedy — jesteśmy (tzn. Amerykanie — przyp. mój) skazani na to, by popierać wszędzie złą, brudną reakcję, znienawidzoną przez narody... a niszczyć demokrację pod pozorem jej obrony?".

W r. 1949 podczas pobytu w Niemczech Mann miał sposobność bezpośredniego przekonania się, jak piękne owoce wydaje amerykańska polityka okupacyjna. Zapragnąwszy oddać hołd Goethemu nie tylko we Frankfurcie, ale też w Weimarze, położonym w strefie wschodniej, sędziwy pisarz stał się przedmiotem skandalicznych napaści ze strony zachodnio-niemieckich pismaków. Opowiedział się przecież za jednością Niemiec i ostrzegał, że „trzecia wojna światowa byłaby równoznaczna z zagładą naszej cywilizacji"! Po powrocie do Ameryki zaś oświadczył, że „mocarstwa zachodnie sympatyzują z faszyzmem". To było jeszcze bardzo umiarkowane sformułowanie. Od tego czasu stan rzeczy w Niemczech zachodnich uległ dalszemu znacznemu pogorszeniu. Dlatego też Tomasz Mann złożył w połowie kwietnia br. energiczne oświadczenie, w którym stwierdza m. i.: „Siły nacjonalizmu, neofaszyzmu i antysemityzmu nigdy nie zdołałyby podnieść znów głowy w Niemczech zachodnich i przenigdy nie odzyskałyby tyle ze swych dawnych wpływów, gdyby Stany Zjednoczone nie uważały niemieckiej reakcji i b. nazistów za sprzymierzeńców przeciwko wschodowi." Rząd USA przez swą politykę wobec Niemiec przez faworyzowanie neofaszystów i osłabianie pokojowych i demokratycznych elementów w krajach zachodnio-europejskich, popiera zarazem faszyzm i rasizm w samej Ameryce.

Powyższe oświadczenie zostało przyjęte przez amerykańską „opinię publiczną" z najwyższym oburzeniem a prasa zachodnio-niemiecka uważała za stosowne wydrukować artykuł niejakiego prof. dr. Karola Brandta z Kalifornii, który napadłszy bezprzykładnie na zmarłego niedawno Henryka Manna oraz na Tomasza Manna i jego córkę Erikę, doszedł do wniosku, że „cała rodzina Mannów razem wzięta i każdy jej członek z osobna stara się wyrządzić Niemieckiej Republice Związkowej tyle szkód, ile tylko potrafi." Zdanie to dziwnie przypomina powiedzenie Goebbelsa, że „tacy ludzie, jak Henryk Mann szkodzą nam więcej niż cała armia". Warto też przytoczyć, iż nowojorski „Daily Mirror" ostrzegając niedawno swych czytelników przed ludźmi pokroju Tomasza Manna wyraził się dosłownie: „The intellectuals are the bane, the pest of humanity" („Intelektualiści są przekleństwem, zarazą ludzkości"), co z kolei przywodzi na myśl goebbelsowskie: „Intelekt zatruł nasz naród".

Nie ulega przytem wątpliwości, że istotnej przyczyny amerykańskich i zachodnio-niemieckich ataków na Tomasza Manna należy szukać przede wszystkim w jego czynnej, antywojennej postawie, która kazała mu solidaryzować się od początku z poczynaniami Stałego Komitetu Światowego Kongresu Obrońców Pokoju a obecnie podyktowała mu złożenie podpisu pod apelem sztokholmskim. W wywiadzie udzielonym w połowie maja br. w Paryżu naczelnemu redaktorowi tygodnika „Les lettres françaises", Claude Morganowi, Mann wystąpiwszy przeciwko użyciu bomby atomowej i ostrzegłszy przed projektem Schumana dotyczącym połączenia francuskiego i niemieckiego przemysłu powiedział wyraźnie: „Podpisałem apel sztokholmski, ponieważ popieram każdy ruch, mający na celu umocnienie pokoju. Jestem przekonany, że w wojnie atomowej nie byłoby ani zwycięzców ani zwyciężonych a świat uległby zupełnemu zniszczeniu. Oto dlaczego położyłem swój podpis. Uważam też, że w ten sposób działam w interesie mojej nowej ojczyzny — Ameryki. Nowa wojna przyniosłaby jej nie tylko ruinę materialną, lecz i moralną". Mann ponadto oświadczył, że również w Ameryce istnieje bardzo silna opozycja przeciwko użyciu bomby atomowej, szczególnie wśród duchowieństwa, kwakrów, profesorów uniwersytetu i naukowców z Einsteinem na czele.

Tomasz Mann, który w czerwcu br. obchodzi 75-tą rocznicę urodzin, uważał podpisanie apelu sztokholmskiego za swój ludzki i pisarski obowiązek. Przecież jeszcze w r. 1947 wyszły spod jego pióra nie pozostawiające żadnych wątpliwości zdania: „Pokój jest wielkim, jedynym zagadnieniem ludzkości. Wartość dzieła sztuki będzie się w przyszłości mimo woli oceniało według tego, na ile potrafiło ono przyczynić się do szerzenia ducha pokoju. Ścisłe powiązanie dzieła sztuki z myślą o pokoju i lepszej przyszłości jest więc nieodpartą koniecznością... Oddać się całym sobą świętej sprawie pokoju — oto co wydaje się prawem i obowiązkiem artysty i człowieka".

Egon Naganowski

CZESŁAW MIŁOSZ

ŻUŁAWY

Śpij w czarnej, pulchnej ziemi złoto, śpij metalu
Z wytartą głową księcia, lwem, koroną.
Komuś tam ciebie, kiedyś, odkopać sądzono.
Muzea zdobić będziesz w moim kraju.

Ciężkie zegary, srebrne misy, kute skrzynie
Pomiędzy gwiazdy zapomniane płyńcie,
W otchłaniach czasu błyśnijcie i gińcie,
Niech co przeminąć ma, prędzej przeminie.

A tutaj ciężarówka dudni pustą szosą,
Dymiąca z rozlewiska wód powstaje ziemia,
Mewy nad szare wody białe skrzydła niosą,
Wiatr niskie rude słońce w trawach rozpłomienia.

Tu rdza splątanych maszyn którą sieką deszcze
Pod czarnymi skrzydłami wiatraków za groblą
I na prom wchodząc ślizga się na mokrej desce
Mały kudłaty konik z dugą i hołoblą.

Ludzie którzy nie znali bogactwa ni siły
W spękanych, starych ścianach pod lampą zasiedli.
Złe lata na ich twarzach popiół zostawiły.
Zatarte są już ślady dróg, jakie przebiegli.

Człowiekowi jak życzyć? Niech będzie szczęśliwy,
Niech własną ręką stworzy niestworzone dziwy,
Nie złoto, niechaj gwiazdę marzenia wyorze.

W ciemno-zielony ogród niechaj myślą zmieni
Krainę płaską wziętą z wody i płomieni.
Gromy. To w ujściu Wisły grzmi spienione morze.

NA MAŁĄ MURZYNKĘ GRAJĄCĄ CHOPINA

Gdybyś ją widział, panie Fryderyku,
Jak ciemne palce kładzie na klawiszach
I kędzierzawą głowę pilnie schyla,
Jak nogę szczupłą stawia na pedale
Śmiesznie dziecinną, w zdeptanym buciku,
A kiedy sala nagle się ucisza
Pierwiosnek dźwięku powoli rozwija,

Gdybyś zobaczył na sali, w półmroku,
Jak błyszczą zęby w rozchylonych ustach
Kiedy fortepian twoje troski niesie,
I jak ukośną smugą pada z boku
I wrzawą ptaków przez witraże chlusta
Wiosna w nieznanym z imienia ci mieście,
Gdybyś zobaczył jak te dźwięki fruną
I targną pyłem, słoneczną kolumną
Nad czarną twarzą, na dłoni opartą —

Pewnie powiedziałbyś, że było warto.

PAMIĘCI TERESY ŻARNOWER

Bez przyjaciół ni krewnych, w wielkim, wielkim mieście
Które jest cmentarzyskiem szalonych okrętów
Umierała Teresa i nie miała siły
Żeby przeszłość pokonać stygnącą już ręką.
I tak ją znaleziono drzwi otwarłszy rano
Leżącą w wielkiej ciszy przewróconych sprzętów
I czyjeś palce chustką oczy jej zakryły.

W dalekim, wielkim mieście, tam gdzie stąpa każdy
Ostrożnie i przebiegle, bo wie co to znaczy
Spłynąć z milczącą falą prywatnych rozpaczy
W czarny pył, w zapomnienie, w brud ubogich dzielnic,
Gdzie tyle przeminęło wiar, tyle tajemnic,
W dalekim, wielkim mieście, gdzie nocami straszy
Sine światło kamiennych tuneli i cień
Ostrą piersią rzucają nagie manekiny
I na linii stu pięter zaczyna się dzień,
Umierała Teresa — lata, nie godziny.

A wieść każda co do niej przez ocean biegła
O wygnanych, otrutych, za życia spalonych,
Była jak znak ostatni — i świat ją pożegnał
I nie było ucieczki od lat utraconych,
Aż jak sosna rumowisk w burzy pod ulewą,
Stała w świetle neonów, smutne, czarne drzewo.

Jej dobre dłonie są nam już odjęte.
Nad jej życiem i pracą wody są zamknięte.
Garść kwiatów rzuć, przechodniu, na imię zdmuchnięte.

JERZY ZIOMEK

Walka Kołłątaja o reformę Akademii Krakowskiej

Dnia 26 czerwca 1777 roku delegat Komisji Edukacyjnej, Hugo Kołłątaj mówił do nauczycieli Szkół Władysławskich. (Nowodworskianum) z okazji rozpoczęcia prac nad reformą Akademii Krakowskiej: „Doznacie prawda wiele przykrości w wykonywaniu tego nowego układu, który będąc ze wszech miar nowy nieprzewidziane za sobą ciągnie trudności; atoli Prześwietna Komisja Edukacyjna w miarę waszej powolności i ufności uprzątać ich nie przestanie. Będziecie słyszeli wiele nieostrożnych zarzutów ludzi mniej przywykłych do uszanowania praw i ustanowionych w Rzpltej najwyższych subseliów; takowe jednak powieści niech bynajmniej nie zmniejszają w umysłach waszych powinnej dla Prześwietnej Komisji wierności... Są to zbyt wczesne bojaźni duchów tych, które rozum swój własnej poświęciły miłości i u których to wszystko, cokolwiek o naukach postanowione jest lub nie w ten sposób, jak oni myślą, lub nie w ten jak się kiedyś naukom oddawali, nieporządnym być się zdaje".

Rzecz dziwna, ta mowa Kołłątaja znana była historykom, a mimo to na cytowane zdanie nie zwracali oni większej uwagi. Nie spostrzegli oni tego, co widział Kołłątaj stojąc u progu wielkiego dzieła przebudowy szkolnictwa, a mianowicie, że reforma Akademii mogła dokonać się jedynie w toku ostrej walki postępu ze wstecznictwem. Michał Janik, monografista Kołłątaja, o oporze stawianym reformatorowi przez wstecznych profesorów mówi mimochodem, traktując ten problem w kategoriach osobistych zawiści faktycznie czy rzekomo przez reformę pokrzywdzonych staruszków. Tymczasem Jan

Jan Śniadecki

Śniadecki zaświadcza, że wprowadzenie nowego programu odbyło się wśród „wrzasków" i powszechnego narzekania, „któremi uprzedzenie i niewiadomość starały się odstręczyć młódź i rodziców od tej nowej postaci nauk". Opór ten był więc nie tylko wyrazem neofobii i konserwatyzmu poszczególnych jednostek, ale mniej lub więcej zorganizowaną kontrakcją wstecznego feudalnego kleru, zagrożonego w prawach i stanie posiadania przez postęp wiedzy. Z drugiej strony Kołłątaj (a nie będzie to stwierdzenie pomniejszeniem jego zasług) był wyrazicielem i wykonawcą klasowych interesów plebejskiego i średnioszlacheckiego obozu postępu.

Tak właśnie należy spojrzeć na dzieło Kołłątaja, a nie jak na kontynuację dawniejszych, nieudałych prób zreformowania Akademii. Próby kardynała Lipskiego, Jędrzeja Załuskiego i wreszcie Kajetana Sołtyka nie miały charakteru rewolucyjnego — były w założeniu próbami łagodnego, oportunistycznego unowocześnienia niektórych dziedzin działalności szkoły. Podobnie reforma Kołłątajowska nie stanowiła bynajmniej (jak się to pewnym historykom wydawało) realizacji życzeń grona profesorskiego. Wprawdzie w roku 1774 ks. Józef Putanowicz i ks. Jędrzej Lipiewicz zostali delegowani przez Akademię do króla i Komisji Edukacji Narodowej, ale wstawiając się gorliwie za jej podźwignięciem wykazywali przede wszystkim szczupłość jej dochodów. Akademicy mieli nadzieję, że Komisja obdarzy Akademię hojnie z funduszu uzyskanego wskutek kasaty zakonu jezuitów. W mniemaniu tym utrzymywała akademików pamięć starych sporów z jezuitami i krzywd wyrządzonych krakowskiej uczelni przez konkurencyjne szkolnictwo jezuickie.

Podjęta przez Kołłątaja reforma nie miała na celu zrekompensowania tych krzywd. Spór z reakcyjnym zakonem jezuitów nie stawiał jeszcze Akademii po stronie postępu. Jezuici podkopując Akademię nie zwalczali przeciwnika ideologicznego, ale jedynie konkurenta. Synowie Loyoli, ideolodzy reakcyjnej kontrreformacji, świadomie i systematycznie niszczyli szkolnictwo akademickie dążąc do skupienia w swym ręku całego szkolnictwa krajowego. „Akademia krakowska" natomiast — stwierdzał Kołłątaj — „w nieprzestannej kłótni z jezuitami będąca, potrzebowała silnej opieki dworu rzymskiego; musiała się więc stosować do jego gustu, który wszystkie nowości odrzucał, póki się dobrze o nich nie przekonał, jeżeli jakiej nie przyniosą szkody zastałym, a p o ż y t e c z n y m d l a n i e g o opiniom (podkr. moje J. Z.). Oto jest cała przyczyna tak długiego letargu, którym ta szkoła uśpioną była".

Powołując się na dawną świetność Akademii, na jej przywileje, Kołłątaj zdążał do przywrócenia jej roli szkoły głównej. Chodziło tu o stworzenie „jedności nauki i dozoru szkolnego po całym kraju", tzn. o podporządkowanie wszystkich szkół Królestwa i Litwy jednej centralnej instytucji naukowej, jaką miała się stać Akademia. Centralizacji tej wymagał nowoczesny program nauczania, rewolucyjnie śmiały i stale narażony na bierny sabotaż

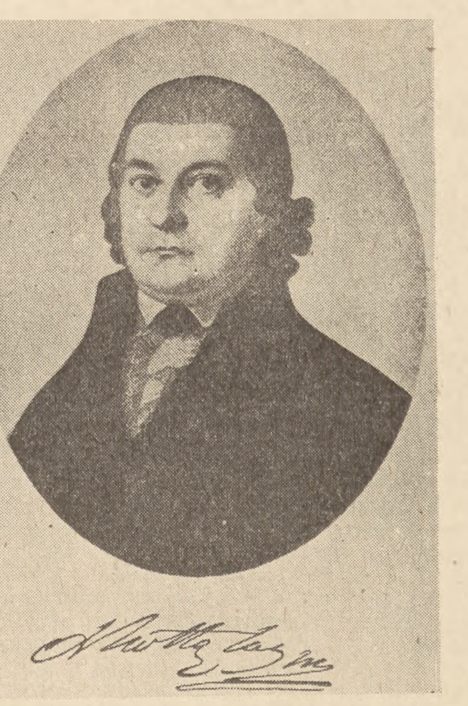

Ks. Hugo Kołłątaj (z portretu L. Marteau w Muzeum Lubomirskich we Lwowie)

konserwatywnych nauczycieli. Centralizacja i hierarchiczna struktura organizacyjna ułatwiały nielicznej grupie światłych ludzi kierowanie całym szkolnictwem.

Kołłątaj miał jeszcze na względzie jeden śmiały cel: zniedołężniałą Akademię chciał przeistoczyć w ośrodek postępowej nauki. Jest rzeczą interesującą, że postępowa wiedza na Zachodzie rozwijała się podówczas poza uniwersytetami, a nawet w opozycji do nich. Wyjątek tu stanowiły w pewnej mierze protestanckie uniwersytety w Halle i Getyndze. Koncepcja Kołłątajowska szła więc dalej — w Krakowie miał być stworzony nie tylko nowoczesny ośrodek naukowy ,ale za jednym zamachem reakcja miała być pozbawiona naukowej bazy ideologicznej.

Reformie Akademii Komisja i Kołłątaj przypisywali wielkie znaczenie. Nie było przypadkiem, że przebudowa państwa zaczęła się w trzydziestoleciu stanisławowskim od walki o szkolnictwo. Ludzie z otoczenia Komisji Edukacyjnej podzielali z filozofami francuskiego oświecenia przekonanie, że od wychowania nowych ludzi zawisło powodzenie reformy ustrojowej.

Jako pierwsze zadanie stanęło przed Kołłątajem uświecczenie Akademii. Kościół okresu feudalizmu broniąc się przed dopływem nowej myśli chronił tym samym własny klasowy interes. Kołłątaj nie bez racji przypisywał szkołom zakonnym winę za zacofanie szlachty we wszelkich dziedzinach życia społecznego. „Któż nadto zapomni tych okrucieństw i niesprawiedliwości — pisał po latach — na które narażał nas fanatyzm; wszystko to brało początek z naszych szkół zakonnych, które nas wprawiły w podobny myślenia sposób, zasłaniając przed nami zbyt długo to światło nauk, w których nas inne wyprzedziły kraje". Nie chodziło tu oczywiście o walkę z drobnym klerem, a o odmawianie nauczycielom w sutannach prawa nauczania; ci bowiem w części potrafili stanąć po stronie Komisji. Uświecczenie szkolnictwa oznaczało w tym czasie uniezależnienie go od zainteresowanych wiecznie w wewnętrznych sprawach Polski obcych czynników: zwierzchności generałów zakonu lub papieża. Kołłątaj zrozumiał na czym polegały próby ingerencji władzy kościelnej w sprawy nauczania. W jednym z raportów do Komisji, omawiając historię Akademii pisał: „Dwór Rzymski już wtedy (za Kazimierza Wielkiego) przeglądał, że rozmnożenie akademij w innych krajach nie tylko wszędzie rozniesie światło, ale też nawet odkryje, że Akademia Bonońska a r e n d o w a ł a Rzymowi rozumy i zdania całej Europy".

Akademia Krakowska broniła się przed dopływem nowej myśli za pomocą ścisłej struktury organizacyjnej i surowej polityki kadrowej. Skoszarowani wykładowcy podlegali stałej kontroli zwierzchników, zdobywanie stopni naukowych było utrudnione, równość profesorów i kolegialność rządów była czczą fikcją. W istocie zaś Akademią w sposób despotyczny rządził Wydział Teologiczny. Dzięki aktowi fundacji teolodzy „przywłaszczyli sobie od dawna — pisze Tokarz — prawo powoływania profesorów do Kolegium Mniejszego (filozoficznego), które w myśl ustaw powinno było przysługiwać całemu uniwersytetowi. Skutek był ten, że filozofia, zależna odtąd bezwzględnie od nich, na naradach uniwersyteckich musiała podporządkować się im całkowicie; odtąd stale rozporządzali oni zwartą większością 27 głosów przeciwko 7 — prawników... Przewagę swoją wyzyskiwała podobno teologia w sposób brutalny. Nie tylko starała się nie dopuszczać do wyboru rektora prawnika, unieważniając nawet dokonane najformalniej wybory..., zabrała im kamienicę i drukarnię, ale nawet ograniczyła samorząd wewnętrzny ich wydziału".

Kołłątaj zrozumiał, że bez zmiany kadry profesorskiej nie doprowadzi reformy do końca. Wstrzymał przeto tymczasowo wszelkie tzw. wokacje czyli prawa starszeństwa, według których zdobywano kolejno miejsca na katedrach, wprowadził natomiast zasadę ubiegania się o katedrę drogą wolnego konkursu, uchylił liczne opłaty pobierane od kandydatów do stanu nauczycielskiego, zamykające niezamożnym drogę do grona pedagogicznego. Kilku zniedołężniałych, reakcyjnych profesorów namówił do ustąpienia zapewniając im dożywotnie utrzymanie.

Dzięki nowym, młodym kadrom nauczycielskim nowoczesna wiedza uzyskała przystęp do uczelni. Ten rozumny polityk pojął, że wszelkie przepisy, zalecenia, instrukcje pozostaną papierową fikcją, jak długo nie zmieni się skład personalny uniwersytetu. Kołłątaj otoczył więc troską młodych pracowników naukowych, zdolnych i postępowych profesorów wysłał na naukę za granicę.

Reakcja nie mogła darować Kołłątajowi rozbicia starej kastowości na uczelni. Ośmielenie młodych wykładowców oburzyło do żywego niektórych profesorów. Jan Śniadecki, który przy boku Kołłątaja zdobywał ostrogi naukowe opowiada o incydencie, z rektorem Żołędziowskim. Żołędziowski skarcił młodego Śniadeckiego słowami: „U nas było prawo, że wchodząc do Kolegium Mniejszego i Większego potrzeba być milczącym, oddać się na najniedyskretniejsze czasem innych przygryzki, a dopiero uczciwszy ich przez czas długi tą cierpliwością i poddaniem się, prosić o pozwolenie do otwarcia gęby i przymówienia się czasem z skromnością".

Broniąc ustalonych schematów organizacyjnych uczelni, broniła reakcja nie tylko swej bazy ideologicznej, ale i wielorakich synekur. Ciekawe, że w opracowaniach tego okresu niechętnie wspominali historycy o walce Kołłątaja z nadużyciami. Publikowany w *Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce* raport Kołłątaja dostarcza w tym względzie interesujących materiałów. „Pozwoliła najprzód Komisja — donosił zwierzchności Kołłątaj — ażeby w Collegium So Piotra mieszkało emerytów 30, nad którymi JX. Woyczyńskiego prefektem mieć chciała. Pensja zł. 1.000 służyć miała na 30 emerytów i katalog ręką Xcia Jmci Biskupa Wileńskiego podpisany nie zamykał tylko 28 i to 18 księży, a resztę bracia... A lubo i z tych już 7 umarło, przecież JX. Woyczyński równą odbierał sumę.

Znajdował się w Domu Emerytów konwikt, w którym już 15 dzieci szlacheckich mieszkało i od każdego JX. Woyczyński brał po 50 zł.... Domagałem się od JX. Woyczyńskiego inwentarza domu i kościoła, ale daremnie...".

Kołłątaj odkrył też systematyczne okradanie najemnych świeckich pracowników. W tymże raporcie pisał: „Łukasz Kwotek, Józef Rybkowski, Collegii kucharze podali mi memoriał, w którym zanieśli skargę, jako od lustratorów zgodzeni byli po 100 zł, ale tylko po 9 zł od nich wzięli; ludzie ci ubodzy mając ufność, iż pomienieni lustratorowie ugodzone wypłacą im pieniądze wiernie pod ich rządem służyli Collegio z zawodem rocznej pracy, za którą żadnej nie odebrali nagrody, dopraszają się tedy, ażeby im ta krzywda jakowym sposobem być mogła nadgrodzona... Franciszek Doliński, zakrystian, podał także memoriał przeciwko tym lustratorom, iż będąc zgodzonym na zł 300, nie wziął tylko zł 54...".

Jak wspomniałem, delegaci Akademii do Komisji Edukacyjnej przedstawiali rzekomą szczupłość tych dochodów. Przedłożony przez nich w r. 1774 raport oraz informa-

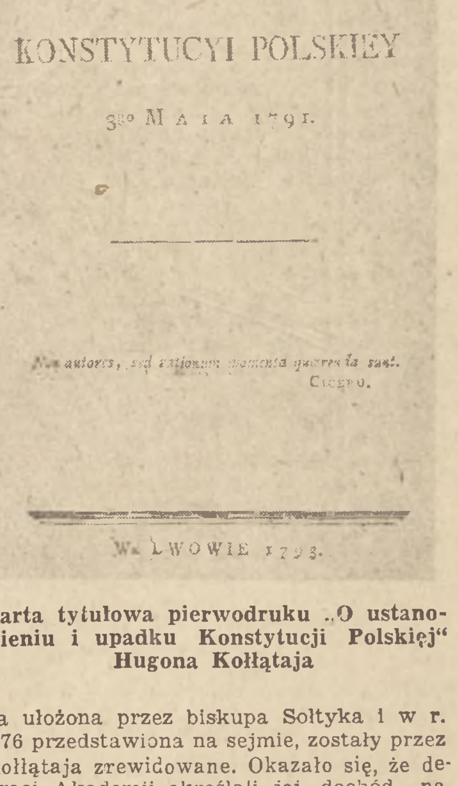

O USTANOWIENIU

I UPADKU

KONSTYTUCYI POLSKIEY

3go MAIA 1791.

Non autores, sed rationum momenta quaerenda sunt.
Cicero.

We LWOWIE 1793.

Karta tytułowa pierwodruku „O ustanowieniu i upadku Konstytucji Polskiej" Hugona Kołłątaja

cja ułożona przez biskupa Sołtyka i w r. 1776 przedstawiona na sejmie, zostały przez Kołłątaja zrewidowane. Okazało się, że delegaci Akademii określali jej dochód na 3.193 zł, tymczasem Kołłątaj odkrył 35.173 zł dochodu. Ponadto w raporcie delegacji wsie Tęgobórz, Szczodrkowice i Pielgrzymowice dziwnym trafem w opisie jej majątku „przepomniane" zostały. To jednakże nie wszystko. Wydział Teologiczny wykazywał zrazu tylko 9.868 złp. rocznego dochodu, Kołłątaj zaś odkrył, że dochód tego fakultetu wynosił 19.425 złp. Podobnie było i z innymi wydziałami, które także w raporcie nie podawały prawdziwego stanu majątkowego.

Kołłątaj chcąc na przyszłość zapobiec nadużyciom zniósł autonomiczną gospodarkę wydziałów i stworzył jedną kasę dla całej uczelni.

Nad reformatorem zbierały się tymczasem chmury zawiści.

*

Najistotniejszą część reformy stanowiła walka o postępową treść nauki. O stanie nauki w Polsce (w samej Akademii było nie lepiej) świadczyć może następujący wypadek, opowiedziany po latach przez samego Kołłątaja: „Trafił się przypadek na publicznym popisie w konwikcie, na który pijarowie wszystkich zapraszali zakonników. Lektor reformacki nie mógł pojąć, jakim sposobem machina elektryczna wydaje ogień. Skutki niepojętości uchodziły natenczas za sprawy diabelskie. Reformator podłożył pod kartę Agnus Dei; świętość, z wosku zrobiona, łatwo się złamała; przypadek narobił hałasu, lektor chciał koniecznie dowodzić, że to były czary".

Przed gruntowną reformą Kołłątajowską wszelkie próby zbliżenia Polski do nauki Zachodu spełzały na niczym. Gdy biskup Załuski chciał sprowadzić z Halli znakomitego matematyka Kristiana Wolffa, akademicy oparli się temu stanowczo, twierdząc, że Wolff, jako heretyk, niegodzien jest uczyć prawowiernych katolików. Załuski wtedy wziął się na sposób. Za własne pieniądze wysłał do Halli, do Wolffa ks. Świątkowskiego. Ks. Świątkowski przywiózł stamtąd spory zapas wiedzy i rozpoczął wykłady. Wtedy pokazało się, że akademikom nie chodziło o osobę wykładowcy i jego wyznanie. Dyskryminacji podlegała tu sama nauka, niebezpieczna dla feudalnych stosunków społecznych. Starszyzna niebawem ks. Świątkowskiego wygryzła z uczelni.

Ten przykład obrazuje bezowocność doraźnych prób reformy. By uniwersytet przystosować do zadań stojących przed obozem reformy, trzeba było rewolucyjnej, świadomej społecznych celów odwagi Kołłątaja.

Przed reformą Akademia zatrudniała się wydawaniem astrologicznych judiciów, wykłady z filozofii obejmowały głównie kurs filozofii perypatetyckiej, wydział prawa, obojętny na potrzeby państwowe kształcił przede wszystkim kanonistów dla konsystorzy biskupich, karmiąc studentów prawie wyłącznie prawem kanonicznym w miejsce wykładanego dawniej prawa rzymskiego. O wydziale lekarskim pisał Kołłątaj: „Nie masz w Akademii teatrum anatomicznego, nie masz w całym mieście szpitalu dla chorych, nie masz ogrodu zielniczego; zgoła dzisiejsza facultas składa się dla kształtu z dwóch osób...". Wydawnictwa Akademii w tym czasie, to — obok prognostycznych, obskuranckich kalendarzy — jedynie pozycje „w których dedykacja była istotą rzeczy". W roku 1753 ks. Stęplowski, profesor akademii, wydał pracę pt. *Logica inicipientium*, (Logika dla początkujących), w której gorąco występował w obronie perypatetyki, natomiast zwalczał wszelkiego rodzaju „ateuszów", jako to Bacona, Gassendiego, Wolffa i Locke'a. (Pracę tę zwał pijar Wiśniewski złośliwie *Logica insipientium*, tj. Logica dla głupich). Natomiast imprezą zakrojoną na szeroką skalę były starania o kanonizację bł. Jana Kantego. Po kilku latach mozolnych i kosztownych zabiegów ze strony Akademii Św. Kongregacja w Rzymie odkryła, że w czasie Soboru w Konstancji Jan Kanty był zwolennikiem przewagi consilium generalnego nad papieżem, wobec czego Kongregacja postanowiła wykreślić Jana z pocztu błogosławionych, a zwłoki jego jako heretyka wyrzucić z kościoła. „Profesorom udało się udowodnić — pisze H. Mościcki — że szkodliwe pismo było innego Jana również teologa XV w. Sprawa ta kosztowała ok. 1.000.000 złp i kilkadziesiąt lat czasu".

Kołłątaj przeprowadził zakaz wydawania kalendarzy prognostycznych, do nauki teologii polecił pisać nowe podręczniki, zmniejszył ilość katedr na teologii z sześciu do trzech, zniósł perypatetykę, na wydziale filozoficznym wprowadził katedrę matematyki i astronomii, katedrę fizyki, historii naturalnej z chemią, literatury łacińskiej i polskiej. Tym sposobem uniwersytet został przystosowany do potrzeb kraju stojącego u progu kapitalizmu. Nauki przyrodnicze i nowoczesna filozofia otwierały przed szlachecką i mieszczańską młodzieżą widoki na nowe możliwości społecznego i gospodarczego rozwoju kraju.

Lata od 1777 do 1780 to okres prac przygotowawczych Kołłątaja. Od roku 1780 poczyna się wyraźna zmiana na lepsze. Z katedr głoszona jest nowoczesna wiedza. Nauka wychodzi poza ciasne mury uniwersytetu. Od 1782 roku ustala się zwyczaj publicznych posiedzeń naukowych. Interesujące są tematy tych posiedzeń. Do publiczności prof. Jaśkiewicz mówi o pożytkach wynikających z połączenia nauk matematycznych, fizycznych i lekarskich i o krzeszowickich wodach mineralnych, Jan Śniadecki czyta pochwałę Kopernika, z którego do niedawna uczniowie szkół zakonnych przesmiewali się w idiotyczny sposób; w miejsce dawnych scholastycznych rozważań uczniowie i publiczność otrzymują uwagi Wincentego Szastera o higienicznym grzebaniu umarłych lub odczyt ks. Trzcińskiego o zabezpieczaniu budynków po wsiach i miastach od piorunów przez konduktory. Ukazują się też drukiem prace akademików: Śniadeckiego *Teoria rachunku algebraicznego*, Czerwiakowskiego *O sztuce położniczej*. Nauka przestaje służyć politycznym interesom Kościoła i zaczyna pracować dla społeczeństwa. Troska zreformowanej Szkoły Głównej o bezpieczeństwo od ognia, o szpitale i apteki w mieście Krakowie, to charakterystyczny dowód przełamania elitaryzmu czystej, scholastycznej nauki, to wyraźny ślad plebejskiego nurtu w przewrocie umysłowym w Polsce drugiej połowy XVIII stulecia.

Odcięcie szkolnictwa od zwierzchności rzymskiej, jego unarodowienie wyraziło się w utworzeniu katedry literatury polskiej, faktycznie przedtem nieistniejącej, w instrukcjach kładących mocny nacisk na naukę języka polskiego w szkołach podległych akademii, w zabiegach Kołłątaja o zdobycie nauczycieli języka niemieckiego i francuskiego. Kołłątaj umiał rozpoznać w wszechwładzy łaciny niebezpieczny dla twórczych sił obozu postępu kosmopolityzm.

*

W cytowanym tu już raporcie, który w roku 1777 Kołłątaj doręczył Komisji Edukacyjnej odnajdujemy dziwne zdanie: „Całemu zaś akademickiemu zgromadzeniu tej nie mogę odmówić sprawiedliwości, że jest w wykonywaniu obowiązków swoich pilne, w pracy usilne, w obyczajach nienaganione i wszystkim Prześwietnej Komisji rozporządzeniom posłuszne (!? podkr. moje J. Z.)" W mowie inauguracyjnej, w czerwcu tegoż roku spodziewał się Kołłątaj oporu, o wrzaskach i narzekaniach wyraźnie mówi Śniadecki. Czyżby Kołłątaj niesłusznie przewidywał, że spotka się z oporem ze strony konserwatywnych akademików?

Kołłątaj nie mylił się mówiąc w czerwcu: „doznacie prawda wiele przykrości w wykonywaniu tego nowego układu", Śniadeckiego nie zawiodła po latach pamięć tych doniosłych historycznie wydarzeń. Reakcja niepewna swego, widząc pełne poparcie Komisji dla wizytatora, przycichła zdaje się na chwilę, tchórzliwie schowała głowę w piasek. Kołłątaj niebawem miał poznać, że przedwcześnie radował się posłuszeństwem akademików, niebawem miał drogo zapłacić za to samouspokojenie. Reakcja chwyciła się bojaźliwie innych metod oporu: biernego sabotażu, oszczerstwa i denuncjacji.

O jednym z najwybitniejszych i najśmielszych współpracowników Kołłątaja, o Janie Śniadeckim pisał w roku 1783 nieznany nam bliżej anonim-oszczerca: „Pan Śniadecki, linij krzywych profesor... ustanowił bez wiedzy Komisji, aby w Collegium fizycznym nie mieścił się żaden ksiądz (?), podobno dlatego, aby rozwiązłe swe sentymenta wolniej mógł rozsiewać" (!).

Ks. Franciszek Salezy Jezierski, drugi wybitny współpracownik Kołłątaja opowiada o wypadku, pośrednio wprawdzie związanym ze sprawą Akademii, ale nie mniej charakterystycznym dla metod reakcji. W czasie wizytacji podległych Akademii szkół spotkał się on z przykładem typowego sabotażu, zamaskowanego pozorem uległości i posłuszeństwa. „Trafiało się — wspomina ks. Jezierski — że na popisach (nauczyciele) wykładali część historii naturalnej, rozciągając umyślnie jedną materię, ażeby uczniom o niczym więcej z tej nauki nie dozwolić powiedzieć, a tym samym, żeby nowoprzepisany sposób podać w ohydę. Raz zaczęli o gołębiach popisywać się; obywatele (rodzice uczniów) słysząc to udali się do szamrania: „a cóż to? czy to o gołębiach samych uczyć się będą?" Na te utyskiwania obywatelów profesorowie, spuściwszy na dół oczy i pomieszawszy słowa z westchnieniem: „takie nam nauki przepisuje Komisja Edukacyjna".

Kołłątaj, radykał, wróg magnaterii, obrońca mieszczaństwa, zdążał konsekwentnie do zbudowania jednolitego szkolnictwa. Reformę próbowano perfidnie unicestwić podsuwając wizytatorowi koncepcje osobnych szkół dla szlachty, osobnych dla mieszczaństwa i chłopów. Przy szczupłych bądź co bądź funduszach Komisji oznaczałoby to zmonopolizowanie nauki dla klasy uprzywilejowanej. „Nie dał się zmamić Kołłątaj podziałami niedorzecznymi szkół publicznych... — wspomina Śniadecki — bo talentów szukać należy we wszystkich stanach ludzi" (podkr. moje J. Z.).

Gdy zawiodły już wszelkie środki reakcja uciekła się do potwarzy.

Kapituła krakowska widząc w Kołłątaju nosiciela niebezpiecznych dla kościelnych możnowładców „nowinek", oskarżyła go przed zdziecinniałym biskupem Sołtykiem, że chodzi ubrany „kuso", tj. że nosi strój świecki. Mało tego — zaczęto rozpuszczać po Krakowie pogłoski, że Kołłątaj przyjechał z Warszawy z zamiarem konfiskowania sreber po klasztorach. Wreszcie dołączyła się do tego wszystkiego sprawa najważniejsza — w r. 1781 — oskarżono go o „grube szalbierstwa" w jego probostwach w Mielcu i Krzyżanowicach i zmuszono zacnego staruszka, ks. Krząnowskiego do wytoczenia Kołłątajowi sprawy o oszustwo w kontrakcie arendowym i o rzekome zniesławienie. Ks. Krząnowski, człowiek poczciwy i zgodny, pozwów nie chciał wnosić, musiał jednak podpisywać gotowe, przysyłane mu z kancelarii biskupiej. Sprawa o zniesławienie była bardziej skomplikowaną i perfidną intrygą. Najpierw powiadomiono potajemnie Kołłątaja, że karmelici na Piasku z namowy Krząnowskiego mają go otruć kawą. Gdy Kołłątaj nie tylko nie uwierzył plotce, ale doniósł o niej ks. Krząnowskiemu i pojednał się z nim, kancelaria biskupia zmusiła starca do podpisania fałszywego donosu.

Kołłątaja wezwali oskarżyciele przed swój własny sąd, tj. sąd biskupi i spowodowali odwołanie go ze stanowiska wizytatora Akademii. Kołłątaj odsunięty od pracy w kulminacyjnym momencie reformy usprawiedliwiał się i oczyszczał, ale nadaremnie. Dopiero choroba umysłowa Sołtyka sprawiła, że prymas Ostrowski odwołał wyroki biskupa. Niebawem na prośbę Kołłątaja i jego współpracowników Komisja Edukacyjna delegowała do rozpatrzenia sprawy Kołłątaja — Ignacego Potockiego, który taką wydał wizytatorowi opinię: „Los Akademii Krakowskiej... żałością przejmuje całe zgromadzenie. Cierpi zaufanie osób w Komisji, stygnie gorliwość do stanu nauczycielskiego, słabieje regularność wprowadzonych porządków, przerywa się ciągła Akademii z Komisją komunikacja, niszczeją skutki kilkuletniego dzieła. Mamże widoczną potrzebę popierać prośbą? Oczywistości dowodzić? Gorliwość zachęcać? Sama sprawiedliwość wyciąga, aby Wizytator z pochwałą do swego wrócił urzędu, do którego nie miłość własna, ale miłość publicznego dobra wzywać go powinna".

Wizytator powrócił do trudnej pracy i w r. 1783 zaszczycony został urzędem rektora.

Nim Kołłątaj w roku 1786 odszedł do spraw ważniejszych jeszcze, bo do robót przygotowujących przyszły Sejm Wielki, zdążył w praktyce zrealizować wiele z dawnych projektów i zamierzeń. W tym okresie zaczęły się publiczne posiedzenia naukowe Szkoły, w tym czasie zaczął funkcjonować nowoczesny aparat sieci szkół podległych krakowskiej uczelni. W tych latach założył Kołłątaj dzisiejszy szpital św. Łazarza w Krakowie. Do bardziej interesujących przedsięwzięć Kołłątaja należą zabiegi zdążające do planowego zapełnienia wydziału lekarskiego młodzieżą, coś jakby prototyp dzisiejszej rekrutacji na wyższe uczelnie. Kołłątaj ułożył się z Radą Nieustającą, aby miasta koronne nadsyłały corocznie 150 młodzieńców na studia lekarskie. Opłatę za całkowite utrzymanie wyznaczono tak niską, że odpadł praktycznie tzw. cenzus majątkowy.

Ten z pozoru drobny fakt, jeden z wielu pomysłów Kołłątaja, zapominany i przeoczany, naprowadza nas na ślad początków interesującego procesu społecznego: powstawania mieszczańskiej inteligencji zawodowej.

Po odejściu Kołłątaja nie ustała na uczelni krakowskiej ostra walka klasowa — po lewej stronie stanęli jego młodzi wychowankowie i następcy.

Jeżeli ok. r. 1912, po z górą stu latach, prof. Tokarz pisał, że uniwersytet krakowski „żyje dziś w całości w instytucjach stworzonych przez Kołłątaja" — to było to mimowolne stwierdzenie konserwatyzmu tej uczelni, ale równocześnie uwypuklenie rewolucyjnej doniosłości reformy Kołłątajowskiej, przeprowadzonej w przeciągu zaledwie 9 lat.

Jerzy Ziomek

STEFAN TREUGUTT

Uwagi o wpływologii

(Na marginesie Zjazdu Polonistów)

STUDIA dotyczące wpływów literackich rozwinęły się bujnie od końca wieku XIX, wraz z rozwojem filologii polonistycznej. Mamy obecnie wiele obszernych prac krytycznych poświęconych specjalnie źródłom literackim naszych pisarzy, rozważania tego typu spotykamy w każdej monografii literackiej, od książki Małeckiego o Słowackim poczynając; napisano wiele setek przyczynków drobniejszych. Nie chcę tu mówić o pracach często przygodnych, właśnie przyczynkach, ktore nie mają zwykle ambicji syntezy, a nierzadko są pustymi popisami erudycyjnymi. W „badaniach" takich celował illo tempore filolog krakowski Stanisław Schneider, erudyta niepospolity. Badano nieraz takie zależności, o jakich nawet „podświadomość" autora nic nie wiedziała i, jako żywo, nic wiedzieć nie mogła. Nic też dziwnego, że nieoficjalny termin „wpływologia" nie cieszy się do dziś zbyt dobrą sławą.

Były wśród badających wpływy literackie nazwiska bardzo znane w polonistyce: Windakiewicz, Wojciechowski, Sinko, Kleiner, Chrzanowski, Szyjkowski, Bernacki, żeby przytoczyć kilku reprezentatywnych badaczy. Uczeni ci wprowadzili bardzo szeroko rozgałęzione poszukiwania porównawczo-literackie i zgromadzili obfity materiał, przynajmniej w zakresie wybitniejszych przedstawicieli naszej literatury — stosunek Mickiewicza, Słowackiego, Fredry, Krasińskiego, czy Wyspiańskiego do literatur obcych został niejako „skatalogowany", opisany, poparty przykładami. Wybitniejsze prace w dziedzinie badania wpływów nie ograniczały się zresztą do stwierdzenia wpływu werbalnego, tematycznego, czy ideowo-treściowego: starały się ustalić stopień oryginalności, samodzielność w przetworzeniu zapożyczonego elementu — zniknął powoli zarzut plagiatu, jeszcze w czasach Tarnowskiego stawiany bardzo pochopnie każdej nieomal zbieżności. Nie były te badania bez poważnych grzechów. Dociekliwość posuwano często zbyt daleko, a podobieństwo i zależność można przy dobrej woli odkryć nieomal zawsze i wszędzie. W takie lapsusy „wpływologiczne" obfituje zwłaszcza dorobek Windakiewicza. On to jest autorem sławnego zestawienia „Zemsty" z tragedią „Romeo i Julia". Przykład jest tak urczcy, że nie mogę się powstrzymać przed małą dygresją i cytatami:

„Fredro mając pisać jakąś komedię, przeglądał utwory pokrewne z literatury światowej, aby się dowiedzieć, jak sławni autorowie dane zagadnienie opracowali."

„...część rysów z dosadnej charakterystyki Cześnika jest istotnie zdjęta z postaci weroneńskiego Kapuleta."

Na to dowód: „Capulet: O brother Montaque, give me thy hand" co Cześnik w „Zemście" parafrazuje: „Mocium panie, z nami zgoda."

Zabawna zbieżność, prawda? A to dlatego, że:

„...jedyny ślad istotnej zbieżności pomysłu Fredry od teatru Szekspira" ...to Zemsta... „w „Zemście" chciał Fredro stworzyć komedię przedmolierowską, to znaczy, że jako wielki molierysta postawił sobie zagadnienie, jakby mogła wyglądać komedia polska, gdyby ją ktoś w okresie przedmolierowskim chciał napisać."

Takie „śmiałe tezy" stawia Windakiewicz niejednokrotnie, co nie znaczy by były one charakterystyczne dla badania wpływów i źródeł literackich. Stwierdzenie, że Fredro jest molierystą charakteryzuje jeszcze jeden cel badania wpływów: służy ono typizacji zjawisk literackich, wskazaniu przez wykrycie źródła, że utwór można zakwalifikować do tego, czy innego typu. Dramat szekspirowski, komedia molierowska, przedmolierowska, poemat byroniczny, ariostyczny, epika homerycka itp. itp..

Dlaczego wobec wielorakich osiągnięć, jakie ma nasza nauka o źródłach literackich jest to dziedzina wiedzy bezproduktywna wyraźnie i odczuwana ogólnie jako zło konieczne, erudycyjny balast?

Zdaje się, że ta gałąź wiedzy literackiej wyraźniej niż inne cierpi na jednostronność i jałowe uprawianie badań samych w sobie. Wielokrotnie stwierdzając „co" i „gdzie", „u kogo", nie stawia sobie zwykle pytania „dlaczego?" Jest typowo obciążona formalistycznymi tendencjami. Bada z wielkim nakładem pracy werbalne zależności, zależności stylistyczne, tematyczne, ideowe, a jedynymi wnioskami będą klasyfikacje formalne dzieł literackich, lub stwierdzenie oryginalności, czy też nieoryginalności — badanie typu: czy dzieło jest „swoiście dynamiczne", czy nie? Badanie krzyżujących się i oddziaływujących na siebie wzajemnie prądów literackich jest potrzebne, jest niezbędne — literatura, jak każda dziedzina twórczości ludzkiej zależy od tradycji, słusznie podkreśla się rolę Mickiewicza, Słowackiego, Puszkina czy Goethego w rozwoju języka poetyckiego ich narodów. Ale czy można na tym poprzestać? czy istnieje taki „swoisty i dynamiczny" rozwój literatury bez związku z resztą życia?

Nauka o źródłach musi wyjść poza formalizm, poza opis i stwierdzenie oryginalności, jakąś abstrakcyjną typologię. Musi badać ideologiczną funkcję stwierdzonego wpływu — jego modyfikacje w zależności od nowych warunków, w których tradycyjny element się pojawia. Musi odpowiedzieć na pytanie, dlaczego ten a nie inny wpływ mógł się przyjąć, w jaki sposób doświadczenie społeczne pisarza wpływ taki umożliwiało, a często powodowało.

„...każde społeczeństwo żyje w swoim specyficznym środowisku historycznym, które może być — i rzeczywiście często bywa — bardzo podobne do środowiska historycznego, otaczającego inne narody, ale nigdy nie może być i nigdy nie bywa z nim identyczne". (Plechanow: Przyczynek do monistycznego pojmowania dziejów, W-wa 1949, s. 187.)

Z tego wniosek dla interesującego nas zagadnienia:

„...wpływ literatury jednego kraju na literaturę innego jest wprost proporcjonalny do podobieństwa stosunków społecznych tych krajów. Nie istnieje natomiast wcale, kiedy podobieństwo to równa się zeru. Przykład: Murzyni afrykańscy dotychczas nie odczuli na sobie najmniejszego wpływu literatury europejskiej. (Pisane w r. 1894 — przyp. mój.) Wpływ ten jest jednostronny, kiedy jeden naród wskutek swego zacofania nie może nic dać innemu ani w sensie formy, ani treści. Przykład: literatura francuska XVIII wieku wywierając wpływ na literaturę rosyjską nie doznała sama żadnego wpływu z jej strony. (op. cit. s. 189.)".

Dobrym przykładem inercji naszej dotychczasowej wiedzy o źródłach literackich jest Słowacki, poeta, o którego „bluszczowatości" pisywano często i w którego twórczości reminiscencji z lektur obcych autorów naliczyć można bardzo wiele. Swego czasu odmawiano mu niekiedy oryginalności. Horendalne rozmiary przybrała mania zestawienia i wywodzenia większości utworów Słowackiego z twórczością Mickiewicza. Ta wygodna formułka genetyczno-psychologiczna otwierała magicznym kluczem wszystkie tajemnice tworczości Słowackiego, do gruntu wypaczyła jednostronnym ujęciem tak poważnie zakrojone prace krytyczne, jak monografię Tretiaka, czy „Antagonizm wieszczów" Kridla. Już sam tytuł mówi w tym ostatnim wypadku o fatalnym zacieśnieniu krytycznych horyzontów i wypaczaniu istoty badania literackiego.

Prac poświęconych w całości lub częściowo badaniom przypuszczalnych wzorów literackich poezji Słowackiego jest kilkaset. Mamy tu fajerwerki erudycyjne bez śladu nawet syntezy, w pracach Bugiela, czy St. Schneidera, mamy wyczerpujące studią Pawlikowskiego, czy przede wszystkim Kleinera. „Badania źródłowe nad twórczością Słowackiego" uprawiał też Windakiewicz. Cały ten ogromny aparat erudycji i wiedzy filologiczno-genetycznej ma dla nas wartość tylko materiału. W ogromnej większości przynajmniej. Materiał ten trzeba będzie uzupełnić w wielu wypadkach, w wielu zaś „obciąć" i oczyścić z urojonych pokrewieństw. Trzeba sobie zdać sprawę z tego, że poszukiwania i wskazywanie wpływów na twórczość Słowackiego, uprawiane od stu przeszło lat (zaczął je Goszczyński i Krasiński) nie potrafią odpowiedzieć na pytania zasadnicze: dlaczego w pewnych okresach życia poety ten a nie inny wpływ przeważa? dlaczego mógł powstać? jakim modyfikacjom ulegały elementy zapożyczone i dlaczego? Materiał, który mamy przed sobą ogranicza się do rejestracji faktów filologicznych, jeżeli wyciąga wnioski to „czysto literackie", chociażby mówiły o ideach poety — często są to wnioski „ilościowe" i pochopne. Jeżeli u Słowackiego znajdzie się niewątpliwe i wątpliwe wpływy kilkunastu sztuk szekspirowskich, to wniosek prosty, że np. „Balladyna" jest dramatem „typu szekspirowskiego", ba, syntezą tego typu dramatu. Syntezą chyba tylko dlatego, że krytyka znalazła w jednej sztuce Słowackiego ślady kilku sztuk Szekspira. Ten nonsensowny dla każdego mającego pojęcie o teatrze Szekspira wniosek pokutuje w stosunku do „Balladyny" do dziś.

Nasza obfita wiedza o Słowackim nie potrafi odpowiedzieć na pytanie, dlaczego Słowacki przy pomocy mechanicznych często adaptacji elementów sztuki Szekspira przezwycięża konwencję byroniczną (byronizm „Lambra" np., a „Beniowski", to przykład zupełnie innego stosunku ideowego do „źródła" — nasza wiedza mówi tu tylko o różnym stopniu oryginalności), dlaczego zaczyna potem tworzyć wykazując minimalne ślady wpływów Szekspira, ale zato coraz wyraźniej stając się realistą („Fantazy", „Złota Czaszka"). Jaki był wpływ realizmu Szekspira na coraz pełniejsze kształtowanie się realizmu i ideologii naszego poety, na przezwyciężanie sztucznych konwencji zacierających własną postawę? Nauka o zależnościach literackich nie może tylko sygnalizować tego rodzaju wpływów, musi je komentować i odpowiedzieć na stawiane zagadnienia. Musi i może — jeżeli tylko przestanie być gałęzią oderwaną od naukowej problematyki literackiej, jeżeli uprawiający ją badacze opanują podstawowe zasady dialektyki badania historyczno-literackiego.

Ta sama historia z wpływem Dantego. Ważne, gdzie i kiedy zapożyczał się Słowacki u twórcy „Komedii Boskiej", ale ważniejsze, czego w nim szukał? Czy przejął jego koncepcję losu ludzkiego, czy postawę ideologiczną poety? Kwestia zainteresowania się Calderonem wiąże się u Słowackiego z arcyciekawym okresem poszukiwań „pozytywnego bohatera" — z okresem, kiedy Słowacki szuka w mistyce ratunku i wyjścia z impasu emigracyjnego. W Calderonie dostrzegł widać wartości, które miały mu pomóc w mozolnym i dość w jego ówczesnej sytuacji beznadziejnym poszukiwaniu pozytywnej społecznie ideologii. Calderon był niewątpliwym katolikiem, panteistyczne koncepcje Słowackiego dalekie były od prawowierności — warto przypomnieć ,że w tym samym roku, gdy Słowacki tłumaczył „Księcia Niezłomnego" Feuerbach bardzo ciekawie zauważył że „panteizm to teologiczny materializm". Panteizm zaś Słowackiego nie zaczął się bynajmniej od „Genezis z Ducha".

Atak na szlachtę i apoteoza rewolucji w „Odpowiedzi na psalmy", dwa lata przedtem dominujący wpływ Calderona — tu nauka o wpływach może nam niesłychanie pomóc w rozplątaniu wielorako skomplikowanego splotu ideologicznych podniet i dążeń tego co się nazywa okresem mistycznym twórczości Słowackiego.

Wpływ pisarza na pisarza, nawet czysto zdawałoby się formalny, to nie tylko kwestia gustów, jakoś ze sobą korespondujących przez setki lat i przez różne kraje i społeczeństwa. Ani też kwestia przypadku.

„Żeby rzeczywiście poznać przedmiot, trzeba zrozumieć, poznać wszystkie jego strony, wszystkie jego związki i pośrednie uwarunkowania. Nigdy nie osiągniemy tego w zupełności, ale żądanie wszechstronności ustrzeże nas od omyłek i skostnienia." (Lenin, Soczinienija, t. XXVI, s. 134).

To znakomite sformułowanie podstaw poznania naukowego wskazuje na organiczną jedność dyscyplin pomocniczych z sobą i z naczelną funkcją badacza. Tak, ale przy takim traktowaniu badania źródeł literackich, dyscyplina ta traci całkowicie swą autonomię, będzie imanentną częścią wszechstronnego badania dzieła literackiego, granice i zakres jej poznania rozszerzą się, obejmując problematykę dzieła literackiego w ogóle. Tym lepiej dla niej! Tylko w takiej sensownej formie będzie mogła stać się ta gałąź wiedzy literackiej składową i niezbędną częścią marksistowskiej metody badania dzieła literackiego.

Zjazd polonistyczny wysunął wiele istotnych postulatów, zarówno metodologicznych, jak i dotyczących planowania badań polonistycznych. Mówiąc tu pokrótce o dyscyplinie badań porównawczo-literackich warto wskazać, że badania wpływów literackich nie tylko trzeba będzie gruntownie przebudować, ale też wydatnie rozszerzyć. I to w wielu kierunkach. Tak się ma chociażby sprawa oddziaływania klasyków prozy rosyjskiej na naszą powieść w drugiej połowie wieku XIX. Wpływ Gogola na twórczość Prusa jest widoczny dla każdego czytającego obu znakomitych realistów. Nie doczekał się jednak przyzwoitego omówienia. Wiemy, że Prus, czy Sienkiewicz wynieśli już ze szkoły zaborczej znajomość języka rosyjskiego. Jaki był ich stosunek do postępowych tendencji literatury rosyjskiej zeszłego wieku? Nie wydaje mi się, by ktoś poza Julianem Krzyżanowskim dłużej się nad tym zastanawiał. A przecież stosunki ltierackie polsko-rosyjskie nie kończą się na spotkaniach Puszkina i Mickiewicza i na ich wierszach do siebie skierowanych. Nie kończą się też na postaci Majora w „Fantazym" i Rykowa w „Panu Tadeuszu". Wiemy, że Dostojewski zaważył bardzo na literaturze europejskiej, nie wiemy jednak, jakie partie „dostojewszczyzny" usiłował przezwyciężyć Żeromski — nie wiemy dokładnie, jakiego typu związek łączy „Popioły" z „Wojną i pokojem" — choć oczywiste jest, że związek ten istnieje.

Jeszcze jeden typ badań wpływów na dzieła literackie powinien być znacznie szerzej uwzględniany: mianowicie wpływ podstawowych dla badania danej epoki dokumentów politycznych i społecznych. Chociażby Słowacki a publikacje Towarzystwa Demokratycznego z Manifestem w pierwszym rzędzie. Wiemy tu tyle, że Słowacki nie był członkiem Towarzystwa. A jakie chociażby znaczenie „obie strony" podkładały w różnych czasach pod słowo „lud". Kto i kiedy był bardziej abstrakcyjny?

Problemów jest dużo — bardzo dużo. A przejrzeliśmy pobieżnie drobny odcinek problematyki krytyczno - literackiej, odcinek celowo ograniczony do tak mało atrakcyjnej na pozór dziedziny, jak badania źródeł literackich. Szkicowaliśmy możliwości odkrywczej i ważnej funkcji tego badania, pod warunkiem jednak, że zostanie ono wmontowane we wszechstronną i naukową metodę badania faktów literackich. Metodę, która rozwój literatury i poszczególne fazy tego rozwoju uchwyci zgodnie ze społecznym, obiektywnie sprawdzalnym charakterem twórczości literackiej. Przypomnijmy sobie słowa Plechanowa pełne głębokiego, humanistycznego optymizmu:

„Stosunki społeczne ulegają zmianom; wraz z nimi zmieniają się i teorie naukowe. W wyniku tych zmian pojawia się wreszcie wszechstronne zgłębienie rzeczywistości, a co za tym idzie, prawda obiektywna. Ksenofont wyznawał inne poglądy ekonomiczne niż Jean Baptiste Say. (Ekonomista francuski, 1767 — 1832 — przyp. mój). Poglądy Saya na pewno wydawałyby się Ksenofontowi nonsensem; Say uznał za niedorzeczność poglądy Ksenofonta. My zaś wiemy obecnie skąd się wzięły poglądy Ksenofonta, skąd się wzięły poglądy Saya, skąd wzięła się ich jednostronność. I ta wiedza jest już prawdą obiektywną, i żadne „fatum" nie zepchnie nas już z tego nareszcie znalezionego słusznego stanowiska. Ale przecież myśl ludzka nie zatrzyma się na tym, co pan nazywa odkryciem, czy odkryciami Marksa? Oczywiście, że nie, panowie! Poczyni ona nowe odkrycia, które będą uzupełniały i potwierdzały tę teorię Marksa, tak samo, jak nowe odkrycia w astronomii uzupełniły i potwierdzały odkrycie Kopernika". (Przyczynek do monistycznego pojmowania dziejów, W-wa, 1949, s. 203).

Stefan Treugutt

TWÓRCZOŚĆ

Niebawem ukaże się w sprzedaży pierwszy warszawski zeszyt miesięcznika „Twórczość" jako pismo Związku Literatów Polskich.

Czerwcowy zeszyt „Twórczości" będzie zawierał poezje Mieczysława Jastruna, Stanisława Piętaka, młodych poetów Haliny Burtan i Wacława Hussarskiego, przekłady Ewy Fiszer z Nazima Hikmeta, fragmenty powieści Jerzego Borejszy i Jarosława Iwaszkiewicza, opowiadania Tadeusza Borowskiego i Stanisława Wygodzkiego. Debiutuje Mirosław Kowalewski utworem „Kampania znaczy walka", relacją walki robotników o socjalistyczny styl pracy.

„Twórczość" będzie uwzględniała sprawy wielkiej tradycji literackiej, rodzimej i obcej. W numerze czerwcowym Adam Ważyk publikuje przekład drugiego rozdziału Puszkinowskiego „Oniegina".

Źródłowy referat Stefana Żółkiewskiego omawia „Aktualny etap walki o marksistowskie literaturoznawstwo w Polsce". W dziale krytycznym piszą Aleksander Jackiewicz, Ryszard Matuszewski, Janina Preger, Barbara Rafałowska, Jan Alfred Szczepański i Kazimierz Wyka.

O aktualnych problemach zagranicznych piszą Zbigniew Bieńkowski, Edmund Osmańczyk i Józef Spinc.

JERZY BOGUSZ

Architektura wystaw

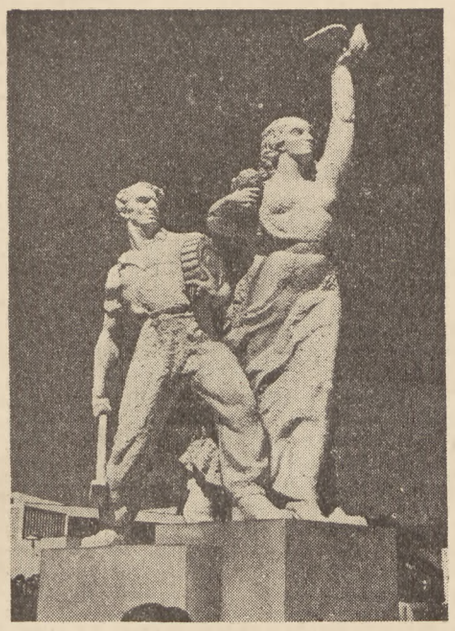

15 maja odbyła się konferencja plastyków dla przedyskutowania tegorocznych Międzynarodowych Targów Poznańskich. Konferencję zorganizował Związek Artystów Plastyków przy pomocy i poparciu departamentu twórczości Ministerstwa Kultury.

Była to pierwsza dyskusja na temat „wystawiennictwa" w gronie plastyków. Toteż zasługuje ona na uwagę jakkolwiek nie dała pełnego materiału dla podsumowania tego zagadnienia nawet w zakresie dość specjalnego rodzaju wystaw jakimi są targi.

✤

Jesteśmy w okresie precyzowania charakteru naszych wystaw-targów.

W warunkach planowej gospodarki, kiedy wystawcą jest uspołeczniony przemysł, państwowa centrala handlowa, lub eksportowa, a producentem jest robotnik—współgospodarz zakładu pracy, targi i wystawy gospodarcze muszą mieć z gruntu inny charakter, niż wystawy w państwach kapitalistycznych. Nasze targi mają bowiem do spełnienia odmienną rolę od targów kapitalistycznych.

W państwach kapitalistycznych charakter targów wynika z konkurencji, z walki o rynek. Proporcję między poszczególnymi wystawcami określa zainteresowanie wystawcy reklamą. Całość nie może dać obrazu ogólnego stanu gospodarczego. Tam po imieniu nazywa się jedynie firmę lub jej właściciela, a rzeczywisty wytwórca towaru — robotnik, technik czy inżynier pozostają bezimienni. Celem wystaw-targów kapitalistycznych jest przemówić do krajowego czy zagranicznego kupca i sprzedać towar jak najkorzystniej. Toteż cały wysiłek architekta czy plastyka koncentruje się na jak najefektowniejszym, reklamiarskim podaniu stoiska i eksponatu i wydobyciu rzeczywistych, lub nawet i nieistniejących walorów towaru.

W naszych warunkach wystawa gospodarcza, targi mają inny charakter. Oczywiście i u nas jednym z zadań Międzynarodowych Targów jest zachęcić zagranicznego odbiorcę do kupna naszego towaru, pokazać mu, w sposób rzetelny jego jakość, zapoznać z perspektywami planowej produkcji. Jest to zadanie ważne, ale nie jedyne. Nie jest ono jedynym wtedy, gdy organizujemy w kraju międzynarodowe targi (np. M.T.P.), ponieważ obok zagranicznych odbiorców zwiedzają targi dziesiątki, setki tysięcy naszych obywateli. Nie jest jedynym nawet i wtedy, gdy bierzemy udział w imprezach zagranicznych.

Występując w Związku Radzieckim i w krajach Demokracji Ludowej chcemy

podzielić się z bratnimi narodami naszymi osiągnięciami i doświadczeniami. Występując w krajach kapitalistycznych chcemy przemówić nie tylko eksponatem do kupca, ale i przy okazji ekspozycji towarowej chcemy trafić do klasy robotniczej, do mas pracujących tych krajów, ukazując im wspaniałe osiągnięcia naszego budownictwa socjalistycznego, zdobycze społeczne i materialne mas pracujących, nasz wkład do walki o pokój.

Ważnym zadaniem, które mają do spełnienia targi-wystawy organizowane w kraju jest dopomóc w mobilizacji wysiłku polskich mas pracujących do walki o plan, o jakość, o oszczędność, o wyższą wydajność pracy. Niewątpliwie do zrealizowania tych zadań przyczynia się ekspozycja towarowa. Poważną rolę w popularyzacji naszych osiągnięć spełniły z pewnością tegoroczne Targi Poznańskie, gdzie setki tysięcy robotników, chłopów, techników, inżynierów i młodzieży naocznie zapoznały się z nowoczesnymi maszynami produkowanymi przez polski przemysł, nowymi wyrobami przemysłu tekstylnego i odzieżowego, elektrotechnicznego i chemicznego, rolno-spożywczego i skórzanego itd. itd. Przez swoją bezpośrednią wymowę eksponaty przemawiają sugestywnie pozwalając widzowi przekonać się o ogromie osiągnięć, którymi w tak krótkim czasie możemy się poszczycić. Wzorcowe eksponaty zapoznają z planami naszej produkcji.

Zadaniem ekspozycji problemowej jest ukazać widzowi polityczne i gospodarcze podłoże wzrostu naszej produkcji.

Sam eksponat niewątpliwie przykuwa w największym stopniu zainteresowanie widza. Ale nie każdy widz potrafi dokonawszy przeglądu eksponatów dojść do właściwego wniosku, co jest przyczyną osiągnięć i co trzeba zrobić, aby te wszystkie piękne, ale często wzorcowe eksponaty były przedmiotem powszechnego użytku, aby było ich tyle ile potrzeba dla zaspokojenia stale rosnących u nas potrzeb. Trzeba uprzystępnić widzowi zrozumienie, że nasze osiągnięcia w jakiejkolwiek dziedzinie produkcji są wynikiem tego, że władzę u nas objął lud, że prowadzimy gospodarkę planową, że rośnie ruch współzawodnictwa, racjonalizatorstwa, oszczędności, że nasze osiągnięcia są wynikiem wykorzystania doświadczeń radzieckich, są wynikiem sojuszu i przyjaźni ze Związkiem Radzieckim.

Toteż nasze targi i wystawy gospodarcze nie mogą się ograniczać do ekspozycji towarowej. Występuje ona razem z ekspozycją problemową powiązaną z eksponatem. Pokazując eksponat pokazujemy jego twórcę, najlepszych ludzi produkcji, ich osiągnięcia, ich doświadczenia. Pokazując ulepszoną produkcję pokazujemy racjonalizatora, popularyzujemy jego racjonalizatorski pomysł. Pokazując produkcję rolną ukazujemy problemy, które stoją przed polską wsią na drodze do podniesienia tej produkcji, do zniesienia nędzy, ciemnoty i wyzysku na wsi. Pokazujemy problem szkolenia kadr itd. itd. Umiejętne połączenie ekspozycji towarowej z problemową, odpowiednie rozłożenie akcentów programowych i zachowanie właściwych proporcji między ekspozycją towarową i problemową powoduje, że targi mogą odegrać właściwą rolę wychowawczą.

Już na zeszłorocznych Targach Poznańskich występowała problematyka wiązana z eksponatem. Eksponat podbudowany był

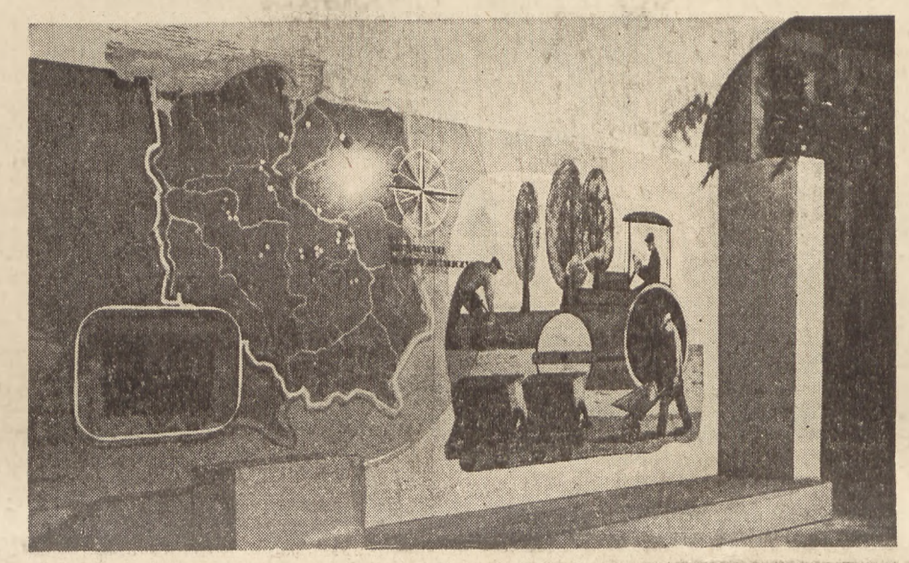

planszą, rzeźbą, czy innym rozwiązaniem przedstawiającym człowieka pracy, zagadnienia produkcji itp. Całość jednak nie miała jednolitego charakteru. Program i oprawa plastyczna opracowane były w zeszłym roku przez każdą branżę oddzielnie i w związku z tym nie było w całej ekspozycji jednej myśli przewodniej.

Wystawa przemysłu lekkiego w Moskwie i wystawa częstochowska ten brak częściowo usunęły. Tegoroczne M.T.P. były dalszym osiągnięciem.

Aby osiągnąć programowo zamierzony cel, trzeba ażeby architektura, grafika, fotografika, rzeźba, malarstwo, wszystkie dostępne im środki wykorzystane na wystawie służyły nie abstrakcyjnej dekoracyjności, ale w sposób jak najbardziej sugestywny oddawały, uwypuklały te problemy, które wynikają z programu.

Pokazywanie zbyt wielkiej ilości problemów, długie teksty, zbyt wielka ilość cyfr, nawet najciekawszych, oznaczają w praktyce przekreślenie czytelności części problemowej. Niestety to dość podstawowe założenie wystawowe nie zawsze wiadome jest redaktorom opracowującym program. Jeśli jednak pawilon będzie estetyczny, na poziomie artystycznym, ale widz wyniesie z niego tylko wrażenie dobrej rzeźby czy grafiki, a nie wyjdzie pod silnym wrażeniem wzrostu produkcji, czy nie dostrzeże nowin produkcyjnych, jeśli nie dopomożemy mu w zrozumieniu źródeł osiągnięć i warunków dalszych sukcesów, to cel nie został osiągnięty i architektura i plastyka nie spełniły swego zadania.

Trzeba stwierdzić, że mimo poważnego dorobku w naszym wystawiennictwie nie zawsze jeszcze nasi architekci i plastycy podporządkowują swoje projekty wymaganiom programu. Często zdarza się, że wnętrze pawilonu wystawowego nie jest nawet zaprojektowane z uwzględnieniem potrzeb ekspozycji towarowej i problemowej. Zdarza się, że architekt projektując wnętrze projektuje je znając tylko z listy towarowej eksponaty, nie znając ich rozmiarów, nie znając wymagań branżowców, jaki eksponat i jaką jego cechę należy wydobyć, podkreślić.

Na wielu wystawach redaktorzy opracowujący problemy scenariusza przystępowali do pracy dopiero po opracowaniu projektu architektonicznego, a architekci nie mając scenariusza widzieli mimo to możliwość opracowania projektu. (Tak były opracowane niektóre projekty naszych pawilonów na tegorocznych targach zagranicą i kilka pawilonów na XXIII MTP).

Prowadzi to nieuchronnie do abstrakcyjnych, formalistycznych rozwiązań. Z konieczności treść wtłaczana jest wtedy w niedostosowane do niej formy.

Często jeszcze zdarza się, że graficy szukają rozwiązań graficznych w jakichś wysublimowanych, nieraz zgoła nieczytelnych dla przeciętnego widza formach. Chęć „zaniepokojenia" widza (jak to mówią niektórzy plastycy) dziwacznością formy prowadzi do nieczytelnych, niezrozumiałych, formalistycznych rozwiązań.

Dla zadokumentowania do czego prowadzi formalistyczne rozwiązanie, wprost świadomie gubiące treść, wystarczy podać przykład, który miał miejsce: jeden z grafików mając rozwiązać tryptyk, środkową część którego stanowiła fotografia, a duże boczne plansze — wykresy wzrostu produkcji i konsumpcji, dla zachowania symetrii chciał krzywą jednego z wykresów odwrócić w kierunku spadku, aby uzyskać zbiegające się do zdjęcia krzywe. Oto do jakich absurdów prowadzi oderwanie się artysty od założeń programowych i szukanie abstrakcyjnej formy.

Jeśli ekspozycja ma spełnić swoje zadanie, to trzeba wykorzystując najlepsze rozwiązania architektoniczne i plastyczne, wydobyć główne eksponaty, podać główne problemy i podać je tak, aby nie tylko niewielkie grono znawców, ale tysiące robotników, techników i chłopów łatwo odczytywało, zrozumiało i zaaprobowało wyrażoną myśl.

Uwypukleniu problemu powinny służyć nie tylko plansze z wykresami, tekstem, slogany wypisane na transparentach, czy plansze fotograficzne. Powinna go wydobyć architektura pawilonu, architektura wnętrza, cała gama rozwiązań plastycznych.

Na wystawie, a zwłaszcza na targach widz nie czyta długich tekstów, lecz ogląda eksponaty i dlatego umieszczanie dużej ilości tekstów i cyfr jest niecelowe. Ale ta obserwacja nie zwalnia nas od przedstawienia problemu, nie uprawnia do szukania rozwiązań abstrakcyjnych byle tylko upiększających pawilon. Na odwrót. Zobowiązuje nas ona do znalezienia takiego rozwiązania plastycznego, które pozwoli najtrudniejszy nieraz problem przedstawić w sposób estetyczny, dekoracyjny, ale jasny, zrozumiały, pełny programowo i nie wymagający korzystania z dużych tekstów.

Aby sprostać temu zadaniu konieczna jest jak najściślejsza współpraca redaktora opracowującego program z architektami i plastykami. Redaktor opracowuje założenia programu, ustala główne zagadnienia, określa hierarchię problemów. Nie precyzuje on form, przez które problem będzie pokazany. Treść zamknie w formę architekt i plastyk. Nie oznacza to bynajmniej, aby redaktor z chwilą przekazania architektom i plastykom ustalonego programu mógł wyłączyć się z pracy. Powinien on dopomóc architektom i plastykom w znalezieniu rozwiązań prawidłowych z punktu widzenia założeń programu. Architekt i plastyk razem z redaktorem muszą włożyć cały wysiłek i umiejętność w artystyczne i czytelne przedstawienie programu.

Oznacza to w praktyce, że od chwili ustalenia założeń programowych całości wystawy i poszczególnych pawilonów, aż do chwili kiedy zatwierdzony projekt przeszedł w stadium wykonywania, współpraca architekta i plastyka z opracowującymi program powinna być jak najściślejsza. Scenariusz wystawy powinien być dorobkiem programowca, architekta i plastyka.

Jerzy Bogusz

JERZY PAŃSKI

Jeszcze słowo o „Pałeczce"

Kilka głosów krytycznych, jakie ukazały się dotychczas w związku z „Pałeczką" Rudnickiego, zgrubsza ustaliło słuszną i surową ocenę tego opowiadania. Wydaje mi się niewątpliwe, że ta książka, przez zagubienie poczucia rzeczywistości przez fałszywą, jednostronną, dyfamacyjną ocenę środowiska, przez niedostrzeganie w nim wartości cennych i rozwojowych, przez swą zgęszczoną, duszną, ponurą atmosferę — znalazła się pod słusznym obstrzałem naszej krytyki. Klęska pisarza jest tu niewątpliwie większa, niż w takim nawet opowiadaniu, jak „Scedzone wino życia", a rozdźwięk między tym, czego oczekujemy od Rudnickiego, a tym co nam daje, staje się coraz groźniejszy.

Ale wydaje mi się także, że skoro formułuje się sąd tak surowy o pisarzu, uważanym przez nas za człowieka, który *mógłby* zająć w naszej literaturze wybitne miejsce, ten sąd jeszcze nie wystarcza. Krytyk nie może poprzestać na stwierdzeniu faktu; powinien jeszcze szukać jego źródeł. Nie jest prawdą, że polityk ocenia zjawiska literackie inaczej niż krytyk: polityka-marksistę, tak samo jak marksistowskiego krytyka, obowiązuje poszukiwanie źródeł, przyczyn, klasowych korzeni każdego zjawiska. To tylko dobrym niekiedy towarzyszom, ale kiepskim krytykom literackim wydaje się, że stosowanie tej zasady wobec literatury jest przejawem ideologicznej ustępliwości.

Zadaniem krytyki — zwłaszcza wobec pisarzy tego kalibru co Rudnicki — jest dopomaganie im w rozwoju (i to bez względu na to, czy pisarz sobie tego życzy); a więc nie tylko wytykanie im niepowodzeń, lecz poszukiwanie, skąd się wzięły. I o tym właśnie w związku z „Pałeczką" warto, jak sądzę, pomówić.

Sam autor nie ułatwia bynajmniej tego zadania. Należy on do tych pisarzy, którzy swój zmysł twórczy, wyrażony w książce, uważają za swoją „słodką tajemnicę", starając się ukryć ją najgłębiej pod szyfrem symbolów i aluzji. Nie jest to wcale okoliczność łagodząca; bo jeśli jednym z wymagań realizmu socjalistycznego jest jasność, przejrzystość i jednoznaczność tekstu — to znów nie tylko dlatego, że to wynika z postulatu powszechności, dostępności literatury, ale przede wszystkim dlatego, że brak tej przejrzystości wynika zawsze z ucieczki przed realnym widzeniem świata, a więc z chęci zafałszowania rzeczywistego obrazu. Tak zwane pisarstwo „trudne" jest nie tylko świadectwem niedemokratycznej wyniosłości pisarza, ale i przejawem określonej postawy ideologicznej. Rudnicki jest pisarzem hermetycznym, i nie bez przyczyny hermetycznym tym bardziej, im bardziej ociera się o konflikty współczesności.

To sprawia, że „Pałeczka" rozmaicie jest odczytywana i że ja — być może — odczytałem ją nieco inaczej, niż niektórzy krytycy. Nie jest to dla mnie, wbrew pozorom, ani książka o miłości, ani akt oskarżenia wobec środowiska, które opisuje, ani na pewno satyra prywatnoosobista. Mówi się często, że proza Rudnickiego jest „publicystyczna"; w rzeczywistości Rudnicki ma w sobie bardzo niewiele z publicystyki w sensie aktywnego uczestnika jakiejś walki społecznej, często natomiast czerpie tworzywo literackie ze zdarzeń otaczającej rzeczywistości w sposób bezpośredni, nie uogólniony—tak właśnie, jak publicysta czerpie z życia argumenty dla poparcia swych tez. Do sądów o „Pałeczce" wprowadziło to pewien zamęt. Otóż mnie się wydaje, że jest to książka, która usiłuje rozwiązać pewne problemy twórczości, problemy pisarstwa, nurtujące Rudnickiego od dawna. Rudnicki wyczuwa przegrodę, która oddziela jego twórczość od nurtu współczesnego życia; wyczuwa ją i stara się wobec samego siebie (ale właśnie: tylko wobec samego siebie) znaleźć odpowiedź na pytanie, czemu nie może jej przekroczyć. I kiedy mowa o jego uczciwości pisarskiej, widzę ją nie w tym, że jak sądzą niektórzy, pisze o miłości, kiedy to dziś rzekomo nie wypada, lecz w tym, że się właśnie z tych przeżyć wewnętrznych i konfliktów zwierza.

Powiadają, że tego nie ma w „Pałeczce". Ależ jest z pewnością! Jest nie tylko w pozornie deklaratywnych i oderwanych od wątku wypowiedziach bohaterów, ale i w tytule dramatu Gabriela (będącym zarazem podtytułem książki), i w Złotowskim, i w ośrodku wielu rozważań (Sady, nawroty do epoki pieców) i w podtekście wielu dialogów, i w całej atmosferze książki. To nie jest sprawa „intencji" autora, jego szlachetnych zamiarów: to sprawa tekstu — choćby np. jak ów epizod z redaktorem „Expressu", owo „daj fragmencik", które jest przecież literacką transkrypcją problemu „rozmieniania się pisarza na drobne" gwoli potrzeb użytkowych i popularności.

I tu właśnie kryje się źródło klęski pisarza — klęski nieporównanie głębszej, niż nierównomierny rozkład świateł i cieni w odrealnionym obrazie lub uleganie trującym oparom dusznej mieszczańskiej miłości. Klęski polegającej na tym, że Rudnicki, nie dostrzega zupełnie istoty i sensu owych konfliktów wewnętrznych; nie widzi, że te konflikty nie są niczym innym, jeno właśnie walką elementów klasowych w świadomości, że przezwyciężenie tych konfliktów dokonać się może tylko przez przezwyciężenie tych osadów zgorzknienia, zwątpienia, odosobnienia, uwięzienia w sprawach przeszłości, przekonania niemal, że sztuka nie daje się pogodzić z życiem. Przekonanie to bardzo niebezpieczne: prowadzi do tak fałszywych i szkodliwych rozwiązań, jak właśnie owo „daj fragmencik", gdzie cały problem postawiony jest na głowie, gdzie to, czego życie domaga się od pisarza, przybiera postać szkaradnej karykatury, a pochwałę uzyskuje znowu wyniosła postawa pisarskiej wielkości. To przekonanie sprawia, iż to wszystko, z czego dzieło pisarza winno czerpać siłę: świat, który go otacza, walka w której choćby nawet mimo woli bierze udział, jego własne życie, nawet miłość — tutaj staje się przeszkodą w tworzeniu, odbiera pisarzowi jego moc.

To mi się właśnie wydaje przyczyną, że obraz świata w „Pałeczce" dalszy jest od prawdziwej, realistycznej wizji, niż wszystko, co dotąd Rudnicki napisał. To nie tylko świat bez powietrza, bez jasnych barw, bez tętna rzeczywistego życia, świat w czwartym wymiarze, wyprany z walki, a więc i z rzeczywistości: to już świat bez żywych ludzi, świat zatracający to, co w Rudnickim przywykliśmy cenić najbardziej: jego humanistyczny stosunek do człowieka. Wyjścia z tego konfliktu, przełamania tej przegrody szukać można tylko przez przełamanie siebie samego, przez dostrzeżenie w walce, jaka się na świecie toczy najistotniejszego sensu walki o człowieka, przez znalezienie swego miejsca w tej walce w szeregach proletariatu: ono dopiero pozwoli mu ujrzeć realny obraz świata. Wszelkie inne drogi prowadzą do tego zaułka, w którym się znalazł Rudnicki w „Pałeczce" i z którego wyjść powinien jak najprędzej.

Jerzy Pański

ANTONI SŁONIMSKI

Wystawa w „Royal Academy of Arts"

Powiedział kiedyś Chesterton, że za lat tysiąc, gdy jakiś archeolog odkopie w zburzonym Londynie, wśród gruzów British Museum, słynnego lwa assyryjskiego, powie z uznaniem: „Ci Anglicy to jednak byli utalentowani ludzie."

Zwiedzając, niedawno otwartą, wystawę malarstwa w „Royal Academy" przypomniałem sobie to powiedzenie Chestertona. Gdyby za tysiąc lat odnaleziono te obrazy, jakie dałyby one świadectwo o dzisiejszej Anglii? Poruszony tą myślą patrzałem na tę wystawę obrazów, nie szukając w niej wartości artystycznych, których nie wiele bym tam zresztą znalazł, ale szukając dokumentów epoki w której żyjemy.

Badacz przeszłości, gdyby miał na podstawie tych obrazów wyrobić sobie pojęcie o życiu i obyczajach brytyjskich z połowy dwudziestego stulecia, doszedłby przede wszystkim do przekonania, że w Anglii w roku 1950 nikt nie pracował. Mężczyźni siedzieli z nogą założoną na nogę, niektórzy, zwłaszcza starsi, przybrani byli w ciężkie metalowe łańcuchy i staroświeckie peruki. Kobiety nie zakładały nogi na nogę a na szyjach miały sznury pereł. Obserwator musiałby skonstatować pewną rozbieżność w relacji rzeźbiarzy i malarzy. Według malarzy kobiety w roku 1950 ubierały się w długie powłóczyste suknie. Rzeźbiarze przedstawiali kobiety tego okresu nago, konno i z rozpuszczonymi włosami. (Lady Godiva?)

Musiałby badacz tych obrazów dojść do przekonania, że w Anglii 1950 roku nie znano pary, elektryczności ani motorów spalinowych. Wśród tysiąca zebranych obrazów ani jeden nie przedstawia parowozu, samolotu, czy samochodu.

Jeśli chodzi o żywność tego okresu to próżno by szukać wśród obrazów „Royal Academy" soczystych martwych natur holenderskich, pełnych mięsiwa, dziczyzny, dzbanów piwa, ryb i owoców. Nie ma tam ani kawałka mięsa. Motywem są: jarzyny, kwiaty i jedna ryba. Sądząc po tematyce i kolorystyce tych martwych natur należałoby przyjść do przekonania, że Anglicy tego okresu byli wegetarianami i daltonistami.

Pejzaż angielski nie uległ zmianie od osiemnastego stulecia. Nie ma pól uprawnych, same tylko pastwiska lub ogrody wielkich rezydencji. Uważny badacz znalazłby jednak drobny nowy szczegół. Postacie ludzkie w pejzażu stoją zwykle w pozycji pochylonej, trzymając w ręku małe metalowe motyki osadzone na długich kijach. (Golf?)

Oficjalnie malarstwo angielskie nie mówi prawdy o życiu narodu. Nie ma tam obrazów przedstawiających ciężką pracę robotników stalowni, doków portowych czy kopalni. Artyści oficjalni poświęcili się wyłącznie portretowaniu małej grupy pasożytów społecznych. Jest to, jakgdyby malarz krajobrazu pragnąc odtworzyć las malował tylko grzyby drzewne czy jemioły, nie malując drzew. Czy mamy jednak słuszność szukając w malarstwie świadectwa epoki i obyczaju?

Powiedział kiedyś Stanisław Witkiewicz, że dobrze namalowana głowa kapusty, lepszym jest obrazem niż źle namalowana głowa Chrystusa. Nie tyle jest bowiem ważne co się maluje ale jak się maluje. Patrząc pod tym kątem widzenia na wystawę w „Royal Academy" dojść musimy do przekonania, że środki artystyczne angielskich malarzy oficjalnych są w zgodzie z czasem i ich przynależnością klasową. Cechuje to malarstwo konserwatywna tchórzliwość w operowaniu formą, światłem i kolorem. Pokutuje tu jeszcze zła epoka malarstwa monachijskiego, która niestety ukształtowała gusta estetyczne ludzi starszego pokolenia burżuazyjnego, ludzi którzy dziś narzucają swe wymagania oficjalnym artystom chętnym zarobku i uznania. Próżno by szukać tu nowych prób czy indywidualnych środków interpretowania natury. Nie ma tu malarstwa realistycznego ale panuje prawie wyłącznie zdawkowy, płytki naturalizm.

Wystawa w „Royal Academy of Arts" nie reprezentuje jednak całego malarstwa współczesnej Anglii. Trzeba przyznać, iż część poważniejszych artystów stroni od tych oficjalnych salonów. Trzeba przyznać, iż nawet „Royal Academy", czując jałowość i fałsz swych dorocznych wystaw, zaczęła dopuszczać nieco świeższych, młodszych talentów. Nie zmieniło to jednak ogólnego charakteru tej instytucji.

Jeśli kiedyś Londyn rozsypie się w gruzy, przyszły archeolog niech stroni od ruin „Royal Academy". Nie warto tam będzie grzebać.

Antoni Słonimski

Londyn, w maju

ROMAN JURYS

LUDWIKÓW ZA

W październiku 1941 roku Centralny Instytut Doświadczalny ewakuował się z Mokswy na południowy wschód, do stolicy Uzbeckiej Republiki. Wrócił stamtąd po czterech latach. Gmach, kiedyś wspaniale urządzony i wyposażony, zajęty był jeszcze przez szpital wojskowy, wobec czego Instytut ulokował się tymczasowo w ciasnym dla niego budynku szkolnym podmoskiewskiej miejscowości — Jałzy.

Dyrektor Instytutu, profesor Riabuchin, przyjął Bronka właśnie w Jałzie. Dzień przyjęcia ustalony został uprzednio telefonicznie, tak że Bronka wprost z auta wprowadzono do gabinetu dyrektora. W gabinecie zjawili się też inni współpracownicy Instytutu — między nimi światowej sławy specjalistka w dziedzinie gruźlicy kości, wybitny specjalista w dziedzinie gruźlicy płuc i inni.

Badanie i rozmowy trwały kilka godzin. I przez te kilka godzin czuliśmy się pewni siebie. Obecność lekarza zawsze działa uspokajająco na chorego. A tu otoczeni byliśmy największymi ludźmi w dziedzinie walki z gruźlicą, którzy szybko i wspaniale zorientowali się we wszystkim co mogło mieć jakikolwiek związek ze stanem zdrowia Bronka.

Wiara, że tego właśnie dnia powzięta zostanie przełomowa dla Bronka decyzja towarzyszyła nam przez całą drogę do Jałzy. Tutaj wiara ta rosła w nas i utrwalała.

Skorośmy, po pożegnaniu się wrócili do swego samochodu i pozostaliśmy sam na sam z rozpadającemi się płucami i próchniejącym kręgosłupem odczuliśmy dopiero zgrozę utraty nadziei. Sprawa była teraz jasna w sposób bardziej przerażający aniżeli kiedykolwiek — najbardziej chyba dla samego Bronka. Olbrzymia wiedza i nauka ludzi, których pożegnaliśmy, ich rozpaczliwe poszukiwanie ratunku starczyły na jedno tylko zalecenie: leżeć. A Bronek leżał już dawno — i bezskutecznie.

Jechaliśmy w milczeniu. Przez szybę samochodu grzało wiosenne słońce i uciekały młodziutkie pączki na drzewach. Milczenie przerwał Bronek — dowcipem pełnym niekłamanej pogody ducha. A później zaczął mówić poważnie — o Ostrowcu i Ludwikowie, gdzie drzewa niezadługo chyba już okwitną.

— Wiesz, dobrze by było pojechać tam, popatrzeć. Widzisz, bracie, myśmy krytykować stare ich porządki umieli — teraz trzeba umieć wprowadzić własne porządki, tak żeby się nie trzeba było wstydzić przed sobą. A ja tu leżę. I każą dalej leżeć. Czy ty, przyjacielu nie wiesz po co?

Wróciło przygnębiające milczenie, które także tym razem przerwał Bronek.

— Dużo już chyba nie dam rady zrobić — rzekł cicho. Ale coś niecoś by się zrobiło. Co, czy nie?

*

Pogrzeb odbył się kilka miesięcy później. Mżył wczesny deszcz jesienny i nad ogrodem okalającym krematorium unosił się szary smutek, przecięty mocnymi tonami „Międzynarodówki".

Chowano towarzysza Bronisława Spychaja, przedstawiciela Komitetu Centralnego PPR przy Zarządzie Głównym Związku Patriotów Polskich w ZSRR.

*

Do Ludwikowa idzie się z Ostrowca w kierunku na Opatów. Tak zresztą, ulicą Opatowską, nazywa się dziś dawny Ludwików. Wzdłuż szosy biegnącej tu w górę rozsiadły się po jednej stronie ciasno do siebie przylegające małe domki parterowe. Druga strona ulicy pozostała do dziś niezabudowana. Podmokły grunt odstraszał ludzi. Jedynie u samego wylotu ulicy usadowiła się po tej stronie cegielnia, należąca ongiś do Klepackiego, a dostarczająca hucie szamot.

Ludwików ciągnie się aż pod górkę, skąd rozpościera się wspaniały widok na cały Ostrowiec Świętokrzyski. W nocy widoczny jest stąd ceglasty płomień wielkiego pieca, który od stu dwudziestu lat kształtuje życie tych stron i ludzi. W dzień widoczny teraz jest biały rząd otynkowanych domów wybudowanych w ostatnim roku planu trzyletniego i czerwony rząd domów budujących się w pierwszym roku planu sześcioletniego. Dwa te rzędy są jakby sztandarem narodowym nowej Polski. Niżej, tuż przy samej hucie, tam właśnie gdzie pomiędzy Ludwikowem a hutą rozciągało się puste pole, widoczny teraz jest wspaniały gmach budującego się nowego liceum przemysłowego.

Tak jest dziś. A kiedyś, gdy Bronek poraz pierwszy oglądał stąd perspektywę Ostrowca wisiała nad miastem beznadziejność i głód. Były to lata pierwszej wojny światowej i nocą nie oświetlał nieba płomień wielkiego pieca. Zagasł gdy zapalono lonty armat. I ludzie marli spuchnięci z głodu, albo uciekali stąd w różne strony świata. Wracali do wsi skąd ongiś przywędrowali, jechali na Węgry, do Czech.

W domu Bronka było ich wtedy siedmioro. Matka i sześcioro rodzeństwa. Ojciec był w Ameryce, dokąd wywędrował po krwawych wypadkach nad Leną. Wypadki te miały swe echo tu, nad rzeką Kamienną. Po nocach czytano w esdeckim „Czerwonym Sztandarze" płomienne słowa artykułu „Przebudzenie się lwa", a któregoś dnia urządzono wielką manifestację robotniczą na cześć bohaterów z nad Leny. Ojciec Bronka dostał się wtedy na kilka miesięcy do więzienia, a stamtąd na czarną listę „niebłagonadiożnych". Stracił pracę w hakowni huty i nadzieję na uzyskanie jakiejkolwiek innej. Wtedy właśnie wywędrował do Ameryki.

Gdy w dwa lata później zagasł wielki piec brakowało kogoś w każdym domu na Ludwikowie. Za szczęśliwych uważano tych, którzy uszli przed Austriakami wgłąb Rosji. Niewielu było takich — i ci nieliczni powracając później z kraju rewolucji przywieźli wielką wizję socjalistycznej przyszłości.

*

Sąsiadujący o dwadzieścia kroków ze Spychajami, Stanisław Bzymek wrócił z rewolucyjnej Rosji w 1918 roku. Ostrowiec żył wtedy w gorączce wstrząsów rewolucyjnych. „Olbrzymie demonstracje uliczne i tak zwane pochody robotnicze, organizowane były często po 2 i 3 razy w tygodniu — pisze brat Bronka w swych wspomnieniach z tego okresu. — Bojownicy SDKPiL i PPS-lewicy jak Krześniak, Woźniak, Jurkowski, Kabała i wielu innych organizowali robotników do walki, wskazując na przykład proletariatu rosyjskiego."

A ówczesny dyrektor techniczny huty, pracujący dziś w dziale inwestycji Zakładów Ostrowieckich, Iwaszkiewicz opowiada:

— Raz, pamiętam przyszli do mnie do kantoru czterej robotnicy. Poprosili mnie, bym poszedł z nimi na wiec na rynek. „Poprosili" — ale na wszelki wypadek mieli przy sobie gruby powróz. Zrozumiałe, że nie podjąłem dyskusji nad „prośbą". Ubrałem się i poszedłem. Na rynku był już obecny „zaproszony" w ten sam sposób co ja prezydent miasta i znany tu powszechnie „obywatel" Wincenty Reklewski. Był to obywatel w pełnym tego słowa znaczeniu — gdyż tu w tym czasie obywatelami nazywano jedynie ziemian. Reklewski miał prawo do tego tytułu — był właścicielem siedmiu majątków w powiecie.

Na rynku zgromadzonych było kilka tysięcy robotników. Wyglądało na to, że rozpoczyna się rewolucja. Ten, który prowadził wiec przemówił do nas:

— Myśmy do szkół nie chodzili, a wyście uczeni i mądrzy. Tośmy was tu poprosili, żebyście nam wytłumaczyli, dlaczego my głodujemy a huta nie rusza, dlaczego robót drogowych nie ma, dlaczego pan, panie obywatelu Reklewski nie daje ludziom ziemi i dlaczego wy wszyscy chcecie rządzić, jak rządzić nie umiecie.

*

A Bzymek, wieczorami, gdy zebrała się u niego w domu grupa podrostków opowiadał:

— Tak, chłopcy, cara k'czortowej matieri do piwnicy wpakowali, carową z kochankami do drugiej i zdychajcie panowie szlachta. Myśmy się tam nie cackali z tymi skurwysynami jak tu się pepesowcy cackają. Ja z Anielą tośmy po Kamieńsku z karabinami maszerowali i jakby się któremu z burżujów zachciało kontry to pod stienkę by trafił.

Bronek z płonącymi oczyma siedział naprzeciw Bzymka na podłodze. Fantazja ponosiła Bzymka daleko, daleko. Tworzył w swych opowiadaniach historię wydarzeń widzianych i niewidzianych, niezależnie od ich rzeczywistego biegu. Opowiadał tak, jak wydarzenia te żyły w jego wyobraźni, jak one żyć mogły w panującej tu wieczorami atmosferze gorącej tęsknoty i uwielbienia dla rewolucji. Wpatrzone w niego oczy wyrażały głód wiedzy o Kraju Rad, o wydarzeniach, których był świadkiem. Musiał wszystko wiedzieć. Musiał odpowiadać na każde pytanie. Musiał podtrzymywać wielki ogień palący się w sercach przyszłych uczestników pierwszej w Ostrowcu konferencji Związku Młodzieży Komunistycznej. Nie wiedział jeszcze, że siedzibą tej pierwszej konferencji będzie dom, w którym teraz płynie na falach rewolucyjnej fantazji.

Gdy późną nocą chłopcy rozchodzili się do swych domów niebo nad hutą było czarne. Wielki piec milczał.

*

Za początkiem narodzin Huty Ostrowieckiej — i narodzin kapitalizmu tutaj — uważać należy rok 1837, kiedy to Antoni Klimkiewicz przystąpił do budowy dwóch wielkich pieców hutniczych. Dobra Ostrowca należały wówczas do hr. Łubieńskiego, znanego dostawcy carskiego, spekulanta i zażartego wroga powstania narodowego 1830 roku — człowieka, uosabiającego w tym okresie tę część magnaterii polskiej, która wiązała się i zrastała bez skrupułów z rozwijającą się burżuazją polską i rosyjską.

Na prawym brzegu rzeki Kamiennej wybudował Antoni Klimkiewicz staw, połączony kanałem z rzeką. Urządzenie to dostarczyło piecom wodną siłę napędową. Surowiec wydobywano w pobliskich kopalniach — „Józef", „Ksawery", „Henryk" i „Edward". Pieniędzy dostarczał hrabia; siły roboczej dostarczali chłopi pańszczyźniani z dóbr hrabiego. Na bezpłatnej więc pańszczyźnianej sile roboczej rosły kominy pierwszych wielkich pieców Huty Ostrowieckiej.

Według materiałów historycznych zebranych przez Zofię Szemrajównę — jedną z pracownic Zakładów Ostrowieckich — wynosiła produkcja tych pierwszych dwóch nowoczesnych wtedy pieców uruchomionych w 1839 roku około 2.665 ton surówki rocznie. Surówkę tę wywożono stąd — z Ostrowca — pod Zaklików, gdzie nad rzeczką Sanną, wpadającą poniżej Zawichosta do Wisły tenże hr. Łubieński wybudował inny zakład przemysłowy, który dziś nazwalibyśmy walcownią. W tej to walcowni zastosowane zostały wówczas trzy maszyny parowe o sile 50 koni każda, piece — prababki martenów — i walce.

Trudno dziś ustalić, na czym polegał wielki szwindel hr. Łubieńskiego, w wyniku którego w 1843 roku Bank Polski przejął jego dobra Ostrowieckie wraz z Hutą Klimkiewiczowską — dzisiejszą Ostrowiecką — wraz z walcownią „Irena" pod Zaklikowem i wraz z dobrami Lubartowskiemi. Według ówczesnych oszacowań Bank Polski przejął od hr. Łubieńskiego majątek łącznej wartości około miliona rubli rosyjskich — wyciśniętych przez hrabiego z żył chłopów pańszczyźnianych.

Przez kieleckie przechodził w tym czasie groźny pomruk spisku chłopskiego księdza Ściegiennego. Spisek był rozległy, obejmujący lubelskie, kieleckie i krakowskie. Nie wiadomo czy zahaczył o ziemię ostrowiecką i czy duch buntu jeszcze bardziej obniżył wydajność feodalnej siły roboczej. W każdym razie ogólne prawa ekonomiczne sprawiające, że bezpłatna siła robocza pańszczyźnianych chłopów nie sprzyjała dalszemu rozwojowi przemysłu znajdowała potwierdzenie także tutaj. Bank Polski po przejęciu Zakładów dwukrotnie czyni próby sprzedaży ich z licytacji. Bezskutecznie. Młody jeszcze kapitalizm przeżywa już starczą chorobę — kryzys. Dopiero likwidacja feodalnej pańszczyzny dała bodziec do dalszego rozwoju huty. W 1886 roku syn hr. Łubieńskiego, Tomasz zwraca się do Najjaśniejszego cara z uniżoną prośbą udzielenia mu zezwolenia na odkupienie od Banku Polskiego dóbr swego ojca. Zezwolenie zostaje najmiłościwiej udzielone. Wówczas to pojawia się na horyzoncie Ostrowca pierwszy wielki przedsiębiorca stricte kapitalistyczny. Jest nim baron Antoni Fraenkel, któremu młody Łubieński odsprzedał dobra i zakłady.

Fraenkel wprowadził ulepszenia techniczne i huta przeżywa jedno kwitnące dziesięciolecie. Ilość robotników najemnych zatrudnionych w samej tylko hucie podnosi się do 200 ludzi. Rośnie produkcja, zysk i wyzysk. Ale kolejny atak wczesnej sklerozy znów wstrzymuje rozwój huty i w 1880 roku pojawia się nowy właściciel dóbr i zakładów — Władysław Laski. On to daje początek spółce akcyjnej, założonej w 1885 roku, a następnie towarzystwu akcyjnemu, którego udziałowcami są również łódzcy Scheiblerzy.

Przeprowadzenie w 1887 roku linii kolejowej z Dęblina do Zagłębia Dąbrowskiego z odgałęzieniem Skarżysko — Ostrowiec otwiera nowy okres rozbudowy Zakładów. W 1889 roku wybudowany zostaje pierwszy piec martenowski na 15 ton. W nowouruchomionej młotowni pojawia się 15-tonowy młot. Powstaje też nowa walcownia obręczy kolejowych i kotłownia.

W następnym — 1890 roku uruchomione zostają nowe warsztaty mechaniczne i walcownia średnia.

Domek Stanisława Bzymka w którym odbyła się pierwsza konferencja Związku Młodzieży Komunistycznej w Ostrowcu (Foto — Autor)

W 1891 roku wyrasta drugi piec martenowski.

W 1892 roku kończy się budowę trzeciego pieca martenowskiego i powstaje warsztat dla obróbki części wagonowych.

W 1894 roku zapala się drugi wielki piec, piąty piec martenowski i uruchamia się szereg warsztatów, wśród nich kuźnię i hakownię.

Do tej to hakowni poszedł pracować ojciec Bronka Spychaja — Wincenty, gdy w 1894 roku przywędrował z Rzuchowa na Ludwików.

*

Z przeludnionych wiosek ziemi opatowskiej i ostrowieckiej ludzie szli po pracę do rozrastającej się huty. Szli z przekleństwem na ustach. Przeklinali przeszłość wyganiającą z ojcowizny, z głodnego, ale znanego świata wegetującego w cieniu dworów. I przeklinali przyszłość nieznaną ale nie budzącą złudzeń. Było wiadomo: przyszłość była w Ostrowcu czarna jak dym z huty wiszący nad rozległym niebem.

Ale czy jasne było niebo nad kilkumorgową ojcowizną wielodzietnej rodziny chłopskiej? Głodny przednówek przychodził do chałup — bywało — w okresie Zielonych Świąt. Ale bywało, że zbliżał się do Wielkiejnocy. I czy to rzadko szedł przez wieś lebiodą i głodem już od Bożego Narodzenia?

To nie płomień wielkiego pieca przyciągał synów chłopskich ze wsi. To głód wypędzał na robotę do walcowni, hakowni czy martenów.

Zresztą, pod pewnym względem tu w Ostrowcu mniej boleśnie odbywał się proces proletaryzacji aniżeli w Łodzi czy innym wielkim ośrodku fabrycznym. Pępowina społeczna wiążąca rodzących się proletariuszy ze wsią nie została tu tak brutalnie przecięta. Dłużej można było zachować pozory dawnego trybu życia. I ludzie przybywający ze wsi niechętnie zaludniali samo miasto. W przeciągu 50-ciu lat istnienia huty Ostrowiec wzrósł zaledwie o 1.700 mieszkańców. Ludzie przybyli ze wsi obsiedli miasto dookoła niewielkimi osadami, nie wchodząc do samego miasta. Z belek kupionych za cenę lat głodu budowali sobie tu małe domki, obórki koło nich w których chowali krowę, czy dwie kozy. Pielęgnowali pozory dawnego życia przez wiele, wiele lat. Tak powstały małe domki Ludwikowa rozrzucone aż pod samą górkę.

I tak osiedliła się tu rodzina Bronka Spychaja. Za „spłatek" — tzn. za odsprzedaną rodzeństwu część ojcowizny — kupił ojciec Bronka placyk — ten sam, na którym matka z córką żyją do dziś dnia — pobudował domek i tu przeżył do stycznia 1950 roku, wychowując dwóch synów — komunistów, córki, wnuków. Dzisiejszy sekretarz Komitetu Fabrycznego PZPR Huty Ostrowieckiej tow. Adam Szwagierczak — to syn najstarszej córki, Marii — tej, która urodziła się w dwa lata po przybyciu rodziny ze wsi.

*

W tych właśnie osadach, którymi proletariat okrążył miasto zrodziła się ostrowiecka organizacja Komunistycznej Partii Polski. Na Ludwikowie dookoła Bzymka i jego brata Józka — spadochroniarza poległego w potyczce z żandarmerią hitlerowską — skupili się bracia Spychajowie — Bronek i Władek, Fiutowski — dzisiejszy sekretarz Komitetu Miejskiego PZPR w Radomiu, Grad Antoni — powieszony na rynku ostrowieckim we wrześniu 1942 roku, Nawrot Franciszek — zamordowany przez gestapo i inni, którzy z natchnienia rewolucji rosyjskiej podnieśli tu sztandar Lenina i Stalina.

W Denkowie, trochę dalej aniżeli Ludwików położonym od huty, Hynek Jan — wówczas sekretarz Komitetu Dzielnicowego KPP a dziś zastępca mistrza odlewni żeliwa huty, Gonciarz Lutek — dziś wicedyrektor garbarni w Radomiu, Telecki, Dziekan, a później Wilczyński Stanisław — zamordowany przez gestapo, i jego brat Heniek — dziś wykładowca wojewódzkiej szkoły partyjnej, Ofiara Józef — poległy w walce partyzanckiej, Otulski Lutek — zamordowany przez NSZ w 1945 roku, Cybulski Wacek — którego grób kryje gąszcz leśny, Sikora Bronek — żyjący i pracujący gdzieś na Ziemiach Odzyskanych, Kwiatkowski Antoni — dziś sekretarz organizacji oddziałowej wagonowni i tylu innych żywych w pracy i żywych w pamięci zasiali tu ziarno wielkiej myśli socjalistycznej, przeorali umysły i położyli fundamenty pod dzisiejsze życie.

A na Szewnie pracował Maj Tadeusz, robotnik huty zmarły na gruźlicę, Grochulski Józek — rozstrzelany przez gestapo pod Klimontowem, Szymański Stanisław, pierwszy po wyzwoleniu sekretarz Komitetu Fabrycznego PPR, który dziś zagląda do Ostrowca jako instruktor wydziału organizacyjnego Komitetu Centralnego. I był tu Bąk, Kowalski Mieczysław, sekretarz okręgowy PPR — wszyscy polegli w walce, i Foremniak Jan — zamor-

---

JERZY PIETKIEWICZ

RUTYNIARZ

(Dokończenie z poprzedniego numeru)

— Więc zrobicie, Sroka.. — zapytał Lubski, mając na myśli kompotierkę Kutrzeby.

Majster odłożył wazę. Nie patrzał na kierownika.

— A dlaczego nie miałbym zrobić? Kazaliście, to zrobię, ale... — Urwał, by włożyć do ust kawałek prymki.

— Ale co?

— Pytacie się, co? Dla mnie to jakby to powiedzieć... to idiotyzm. Dwadzieścia lat pracuję jako szlifierz. Dwadzieścia lat! Czy wy pojmujecie, co to jest? A tu raptem okazuje się, że to co robiłem, to lipa... Tfu, za przeproszeniem, ale dość już jestem stary, żeby sam rozumieć, co jest dobre a co nie...

— I uważacie, że ten nowy wzór jest niedobry?

Sroka żuł prymkę: pozbawione zębów szczęki latały mu jak roztrzęsione. Ręką obracał bezwolny kamień. Odwrócił się do Lubskiego i popatrzał mu wreszcie w oczy.

— A kto to kiedy takie coś robił? — wybuchnął gestykulując. — Ludowe wzory na krysztale! Tego jeszcze nie było. Kryształ po to jest kryształem, żeby się aż mienił od światła...

— I to będzie się mienić. Trzeba znaleźć tylko odpowiednią formę. Pomyśleć... — Brygady ukończyły pracę i wokół dyskutujących utworzyła się grupka ciekawych.

— Technicznie niemożliwe — odburknął Sroka. — Każdy materiał ma swoje wymogi. Szkło to nie papier. Na papierze rysuje się, żeby rysunek coś pokazywał, a na szkle robi się takie czy inne wzory tylko po to, żeby nabrało blasku... Gra światła. Fotografia ma swoje przeznaczenie, gazeta swoje, a szlif na krysztale swoje, ot co!

Ktoś rzucił:

— Sroka mówi dobrze. Szkło nie do wszystkiego się nadaje.

Ryży Biedroń oburzył się i postąpił krok do przodu. Lubski powstrzymał go.

— Spokojnie! — A zwracając się do sposępniałego majstra: — Wytłumaczę wam. Chodzi mi o to, że te wszystkie stare wzory nie posiadają w sobie nic więcej prócz tego, że wywołują odblaski przy świetle, ale żadnego innego znaczenia. O to mi chodzi. Nie ma tu żadnej treści... Jasne! Nic prócz tego, że krawędź szlifu załamuje światło. Rozumiecie mnie? Rysunek Kutrzeby jest o wiele piękniejszy, niż to co tu robicie... I tak kiedyś to porzucimy. Rząd i o tym pomyśli. Jasne! Dążymy do lepszego...

Sroka poczerwieniał.

— To co! — zawołał zagniewany. Więc mówicie, że to co ja robię, to nic... Tak? — rozejrzał się po ludziach, jakby od nich wyczekując odpowiedzi. Kilkanaście par oczu pytająco spoglądało na Lubskiego. Zanim kierownik zdążył jednak dojść do słowa, stary majster odwrócił sie raptownie do półki na ścianie, zamaszystym ruchem porwał zaczętą kompotierkę i postawił ją na warsztacie przed zdziwionym kierownikiem.

— Ach tak! Dobrze. Macie więc! — wyrzucał z siebie zadyszany. — Niech to robi ktoś inny. Ja nie przykładam już ręki do tych bzdur. Jeśli tak, to proszę!... proszę!... — krzyczał prawie. — Macie i róbcie! Doczekałem się za moją pracę... za dwadzieścia lat! I żeby mi teraz...

Lubski przestraszył się. W grupce robotników powstało zamieszanie. Ktoś radził z boku, żeby nie zaczynać ze Sroką; nerwowy. Antoniewiczowa załamywała ręce wzywając niebo o pomoc. Podniósł się hałas, w którym utonął potok wymyślań rozzłoszczonego majstra. Stojący na uboczu Karaś w jednej sekundzie znalazł się między Lubskim a Sroką.

— Cisza! — zagrzmiał tenorem. Przenikliwy wzrok przenosił z kompotierki na starego, to znów rozglądał się po zebranych. Umuloną ręką podniósł nagle szkło z warsztatu. — Nie macie się czego rzucać, Sroka, bo racji nie macie. A to... jeśli nie chcecie, zrobię ja.

Lubski ochłonął. Chustką obtarł spocone czoło i spojrzeniem podziękował Karasiowi. Do Sroki zwrócił się służbowo:

— Zamelduję o tym dyrektorowi. Przeliczyliście się trochę.

Robotnicy jeden po drugim opuszczali halę. Lubski zauważył, że tym razem sympatię swoją skierowali w stronę tamtego. Podszedł Karaś z kompotierką w ręce. Krytycznym wzrokiem odprowadzał aż do drzwi napuszonego Srokę.

— Zrobicie? — zapytał kierownik.

— Zrobi się — westchnął Karaś. — Przez noc pomyślę. Może jutro będzie. Wezmę rysunek Kutrzeby i zestawię z tym, co ten tu wyciął. Chociaż nie można powiedzieć, zaczął po mistrzowsku. No, dajcie trochę czasu. Toż to prawie że rewolucja! Spartaczyć nie trudno... Ale stary się pogniewał! I żeby to było o co...

Lubski wrócił do kantorku, uporządkował magazynowe książki, wpisał dzisiejsze przychody i rozchody, wreszcie zarzucił na siebie jesionkę, gdyż wieczory były chłodne i zamierzał już wyjść, gdy ktoś bez pukania uchylił drzwi i ostrożnie rozejrzał się po wnętrzu. Był to Biedroń.

Lubski zdziwił się.

— Jeszcze nie w domu — spytał obojętnie.

Biedroń przestępował z nogi na nogę, nasłuchiwał czy ktoś nie idzie, potem chrząknął i zaczął:

— Ja, towarzyszu kierowniku, w sprawie naszej, partyjnej... — Przerwał. Czuł się trochę zawstydzony, ale po krótkiej chwili zdobył się na odwagę. — Chciałem wam coś ważnego powiedzieć. Uważam, że wy, jako kierownik i towarzysz, powinniście o wszystkim wiedzieć, co się dzieje na fabryce, po to, żeby orientować się, kto za nami, a kto nie... My, partyjni, jesteśmy z wami, towarzyszu, i wiemy, że to, co robicie, to tak trzeba.. — Chrząknął, pogładził się po ryżej czuprynie, wreszcie zaproszony przez Lubskiego, usiadł. — Wy nie zawsze wiecie jak między nami jest i pomyślałem sobie, że właśnie my powinniśmy wam... No, powinniśmy czuwać, wiecie...

Lubski okazywał wzrastające zainteresowanie.

— Macie rację, musimy wiedzieć gdzie nasz wróg — powiedział. — Dobrze myślicie. Bez czujności nigdy nie wykryjemy wroga.

Zachęcony Biedroń zaczął wprost:

— A więc tak: Sroka podburza ludzi i mówi im, żeby nie zgadzali się na przystąpienie do produkcji tych nowych wzorów, bo jak przystąpią, to nie wyrobią ani procenta powyżej normy i dostaną mniej forsy. Tak było. A potem jeszcze powiedział: „Ludowe wzory na krysztale? Co to, brakuje glinianych garnków, psia krew!" Mnie, towarzyszu, to od razu jak w twarz.. Ale tego mało. Na zespołowe współzawodnictwo powiedział, że to tylko po to, żeby ludziom premii uszczknąć... Gadał, że to niby u nas w Polsce nie pozwalają dużo zarabiać...

Lubski spoważniał, wyprostował się: zakrawało na grubszy skandal.

— A co ludzie? — spytał pośpiesznie.

— Wiadomo, jak to ludzie, jedni tak — drudzy inaczej, a w brygadzie Sroki tylko nas dwóch partyjnych. Ja właśnie w imieniu swoim i tego drugiego, Kutrzeby...

Lubski nie wiedział z początku, co ma o tym sądzić. Lecz po chwili wydało mu się, że zdemaskował wroga; Sroka traktował jednak te wzory poważnie, sęk tkwił więc tylko w zarobkach. W uniesieniu, aż gwizdnął.

— Dziękuję wam, Biedroń. Widzę, że macie oczy i uszy nie od parady. Więcej nam trzeba takich, jak wy. A wzory pójdą... — dokończył z przekonaniem.

---

*) Ze znajdującego się w opracowaniu Wydziału Historii KC PZPR zbioru sylwetek członków i działaczy Komunistycznej Partii Polski.

OSTROWCEM *)

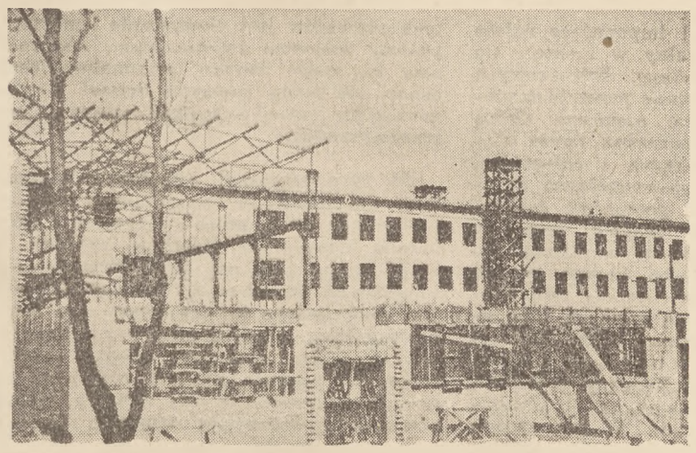

Nowobudujące się i stare gimnazjum i liceum przemysłowe. (Foto — Autor)

dowany po wyzwoleniu, i Minckówna, Mazurówna.

W każdym osiedlu koło Ostrowca żyła wielka sprawa, wielka myśl wybiegająca w przyszłość.

Wieczorem, gdy płomień wielkiego pieca oświetlał czarne niebo i z górki nad Ludwikowem widoczna była jak na dłoni sprzedana w końcu szwedzkim kapitalistom Huta Ostrowiecka, Bronek malował przed swymi towarzyszami barwny obraz przyszłości — obraz socjalistycznego Ostrowca, z zakładami większymi aniżeli kiedykolwiek, oświetlającymi swym płomieniem nie tylko czarne niebo, ale życie, jasne i twórcze życie ludzi epoki największych przemian. Malował Bronek obraz wspaniałych gmachów szkolnych, z których wyjdą wielcy budowniczowie, obraz domów ciągnących się błyszczącym w słońcu rzędem nie tu w dole — u podnóża górki i naprzeciw podmokłych łąk, ale tam w górze, gdzie wywyższa się biały kościół i wspinają się naprzeciw niego kamieniczki śródmiejskich bogaczy. I rosnąć będą nieprzerwanie Zakłady — źródło bogactw i siły.

Kiedyś budował tu hr. Łubieński, aby racjonalnie spieniężyć pot pańszczyźnianych chłopów; rozbudowali Zakłady Fraenkiowie i Lascy, aby z nędzy osad rozsiadłych dookoła ciągnąć większe dywidendy; sprzedał obcym kapitalistom warsztaty wzniesione rękami robotników Ludwikowa, Szewny, Bodzechowa łódzki Scheibler — bo taką była droga imperialistycznej grabieży własnego narodu obrana przez burżuazję polską.

A na obrazie Bronka rosły i potężniały Zakłady, i wraz z nimi ludzie, którzy z „siły roboczej" stali się gospodarzami życia.

Ci, którzy znali Bronka jedynie z posiedzeń i narad partyjnych, z twardych i rzeczowych przemówień — do których zresztą nie był skory, nie dostrzegali być może wielkiej poetyckiej duszy, nie dostrzegali pięknych form, w jakie układał się jego patos rewolucyjny. W umyśle Bronka przyszły Ostrowiec żył pełnią wielkiego życia. Widział miejsce — właśnie tu między Ludwikowem a hutą, gdzie stanie kiedyś, gdy „siły wspólnymi wprowadzim komunistyczny nasz ład", wielki gmach liceum poprzez który dzieci robotnicze pójdą na wyższe uczelnie, gmach jasny i pełny słońca. Widział ludzi, którzy stąd wyjdą — ambitnych, twórczych, swoich.

Na naradzie, na której obecny był przedstawiciel Komitetu Centralnego Związku Młodzieży Komunistycznej tow. Aleksander Zawadzki — „Kazik", Bronek składał właśnie sprawozdanie z pracy młodzieży. Mówił o koszmarnym wyzysku, o bezpłatnej pracy, o bezprawiu, mordobiciu i walce. I widział przy tym obraz przyszłości tak samo wyraźny jak widział go później w celi więziennej Radomia pisząc gryps do matki, siedzącej w tym samym więzieniu kilka cel dalej. I widział obraz ten przez całą późniejszą wielką drogę rewolucyjną wpleciony w życie całej przyszłej Polski Socjalistycznej. Widział go w szpitalach — i wtedy, kiedy wyglądając przez okno samochodu w drodze powrotnej z Jałzy wspominał wiosnę na Ludwikowie.

*

A wiosna przyszła wtedy na Ludwików kleszczami dwóch uderzeń Armii Radzieckiej z północy i z południa. Na hutę nie padł ani jeden pocisk. Ale wywiezienie dwu i pół tysiąca wagonów maszyn i urządzeń sparaliżowało — zdawało się organizm zakładu. „Zdawało się" — nie odnosiło się do ludzi z osad okalających miasto. Gdy po raz pierwszy na polecenie komitetu fabrycznego odezwała się syrena ściągali tu ludzie ze wszystkich stron. I do 1947 roku większość wydziałów żyła produkcją.

A w 1950 roku wiosna przyszła na Ludwików wspomnieniami o dniach majowych. O tych z 1926 roku, zroszonych krwią robotników poległych przed posterunkiem policji Piłsudskiego. O tych z 1905 roku, o tych z 1936 roku. I ludzie z huty składali podpisy pod zobowiązania, które cegłami układają się na murach gmachów widzianych ongiś przez Bronka z górki nad Ludwikowem.

22 kwietnia o dwunastej w południe siostrzeniec Bronka tow. Adam Szwagierczak — sekretarz Komitetu Fabrycznego — zdjął z widełek słuchawkę telefonu. Na drugim końcu przewodu sekretarz Organizacji Oddziałowej Rurowni tow. Henryk Jędrzejewski komunikował:

— W tej chwili właśnie oddział nasz skończył wykonanie zobowiązania majowego.

W Komitecie Fabrycznym odbywało się posiedzenie egzekutywy i Szwagierczak powtórzył głośno otrzymany pierwszy meldunek.

Zobowiązania odlewni rur były niemałe: pięćdziesiąt ton ponad plan miesięczny i ponad długofalowe zobowiązania przedterminowego wykonania planu rocznego. Gdy Jędrzejewski odłożył słuchawkę, stojący obok Stefan Post odezwał się:

— Myślę, że jak weźmiemy jeszcze dziesięć ton to z gęby cholewy nie zrobimy.

— Pogadaj z ludźmi — odpowiedział Jędrzejewski. Jak się zgodzą to ogłosimy dziś na masówce.

— Jużem mówił. Wszyscy są chętni. Możesz zabrać głos na masówce.

*

W dniach, kiedy oddział wykonywał zobowiązanie pierwszomajowe Stefan Post nie splamił się ani razu wykonaniem tylko 100% normy. Za czarny swój dzień uważał 7 kwietnia kiedy wyrobił 109%. Następna dniówka dała już 159%. Dalej, do 22 kwietnia, do chwili kiedy Henryk Jędrzejewski zatelefonował do Komitetu Fabrycznego o wykonaniu zobowiązania Stefan Post jechał między 122 i 189 procentami.

A Lasocina — jedyna kobieta pracująca tu przy formierkach, miała od 1 kwietnia taką oto tablicę:

1	kwietnia	147%	normy
3	„	156%	„
4	„	100%	„
5	„	157%	„
6	„	135%	„
7	„	182%	„
11	„	153%	„
12	„	140%	„
13	„	164%	„
14	„	151%	„
15	„	179%	„
17	„	145%	„
18	„	148%	„
19	„	140%	„

Lasocina jest wdową po poległym robotniku, który tu na rurowni przepracował wiele lat, nie doczekawszy się dni panowania klasy robotniczej. A Lasocina panowanie swej klasy zrozumiała w ten sposób, że gdy kraj omawiał wezwanie towarzysza Markiewki zobowiązała się ona wykonywać do końca roku po 130% planu miesięcznego. Niedługo potem postawiono na zebraniu Organizacji Oddziałowej PZPR sprawę uczczenia 60-lecia 1 Maja. I wtedy Lasocina dorzuciła do swego długofalowego zobowiązania jeszcze pięć procent. Miała więc w kwietniu do wykonania 135% a z tablicy wiszącej nad jej warsztatem wynika, że przez pierwsze dwie dekady wykonywała średnio po 150%.

*

Towarzysz Henryk Jędrzejewski pracuje na rurowni 15 lat. Jego ojciec Kacper pracował tu 30 lat. A siostra Krystyna zginęła, gdy miała 17 lat, jako żołnierz Armii Ludowej.

Tu na Hucie Ostrowieckiej, jakiej rodziny robotniczej się nie dotkniesz, czyich dróg życia nie przejdziesz, zajdziesz w lasy partyzanckie.

Za początek powstania PPR w Ostrowcu przyjmuje się listopad 1942 roku, kiedy to poległy później Mieczysław Kowalski wrócił z Radomia i zwołał pierwsze zebranie. Przyszli — oprócz Kowalskiego — Ratusiński, poległy później w walce — Michalski Feliks, oficer Bezpieczeństwa Publicznego — Jarosz Józef, — Dziekan Franciszek, instruktor wydziału rolnego KC — Tomala Andrzej, — Szczerbiński Jan, — Pikus Józef, zamordowany przez gestapo w Kielcach, — Bąbel Marian, pracownik huty.

Ale naprawdę grupa ta powstała na gruncie kontaktów KPP jeszcze w 1940 roku i celem jej było — jak pisze w swej ankiecie osobistej jeden z uczestników — „przebudowanie ustroju kapitalistycznego na ustrój socjalistyczny", „Do Związku Radzieckiego organizacja ta była ustosunkowana pozytywnie, dlatego że ustrój w Związku Radzieckim jest taki o jaki my walczymy".

W miesiąc po powstaniu PPR zorganizowany zostaje pierwszy oddział Gwardii Ludowej, a w dwa miesiące później — w lutym 1943 — między Ćmielowem a Bodzechowem zjeżdża z rozkręconych przez GL szyn pierwszy pociąg towarowy idący na front wschodni. Płomień walki niepodległościowej ma tu wyraźnie czerwony kolor. Do oddziałów idą robotnicy huty, synowie osad robotniczych.

Szybko walka przybiera na sile i na ostrości. Walczyć trzeba nie tylko przeciw gestapo i hitlerowskiej żandarmerii, ale także przeciwko bandom NSZ. Lasy kielecczyzny są kolebką oddziału im. Bartosza Głowackiego wyciętego w pień przez potomków Łubieńskich i Scheiblerów. Tu w lasach kielecczyzny krystalizują się dwa sojusze — jeden zawarty przez reakcję polską z gestapo i drugi — zawarty pomiędzy synami Ludwikowa z partyzantami radzieckimi rekrutującymi się z jeńców zbiegłych z obozów. Duch bohaterstwa wniesiony tu przez byłych KPP-owców i żołnierzy radzieckich, ci ostatni wzbogacają znajomością sztuki wojennej.

Masówka fabryczna na terenie huty w dniu 22 kwietnia br. (Foto — Autor)

Wkrótce z Wielkiej Ziemi przybywają spadochroniarze — wśród nich synowie tej ziemi. Z pokładu radzieckiego samolotu zeskakuje też na lasy kielecczyzny brat Bronka Spychaja — Władek. Z nim to przybył do matki list z dalekiego Iwanowa gdzie ciężko chory Bronek organizował właśnie Związek Patriotów Polskich. I promieniował list ten pogodą — tą, która pozwoliła mu w drodze z Jałzy myśleć o wiośnie na Ludwikowie — i były w liście słowa serdeczne, ciepłe, wzywające do wytrwałości. Przyniosła list do staruszki Spychajowej siostra dzisiejszego sekretarza Organizacji Oddziałowej PZPR rurowni Krystyna Jędrzejewska. Żyła jeszcze wtedy i walczyła, jak żyje dziś i walczy sprawa o którą poległa, która uczyniła wielkim życie człowieka, który list ten pisał w dalekim północnym Iwanowie

*

Janusz Fudalej urodził się w 1923 roku — wtedy, kiedy na górze za Ludwikowem Bronek myślał o synach robotniczych, którzy do huty przyjdą ze szkół socjalistycznej Polski.

Gdy nad krajem zapadła noc okupacji miał Janusz Fudalej 16 lat. Na otwarcie drogi do huty, w której życie swe przepracowali obaj jego dziadkowie, ojciec, wujowie czekać musiał do dnia wyzwolenia. Wtedy poszedł na hutę. I już na samym początku zaszła w pracy najmłodszego Fudaleja zmiana nieznana dawniej. Janusz poszedł do liceum do Bytomia. I dziś jest zastępcą szefa działu inwestycji wielkich Zakładów Ostrowieckich.

A dyrektor Zakładów tow. Kazimierz Torbus jest synem walcownika z Sosnowca. Fabryka, w której pracował jego ojciec a teraz pracuje brat nazywa się dziś „Sosnowiec". Do Ostrowca tow. Torbus przybył dopiero pod koniec 1949 roku.

Teraz może mówić o swej pracy tutaj:

— Od października 1949 mamy na hucie systematyczny wzrost wartości produkcji i wydajności pracy. Marzec dał w porównaniu z październikiem wzrost 20%. Mimo działalności wrogich sił i dokonanych przez nie awarii wykonaliśmy plan roczny za 1949 r. Jeden nasz oddział, dzięki zastosowaniu racjonalizatorskich pomysłów zwiększył wydajność o pełne 100 procent.

A Szwagierczak dodaje:

— My mamy wspaniałą załogę. Ludzie zobowiązali się w zeszłym roku zaoszczędzić 450 milionów — a zaoszczędzili 1.250 milionów. 177 wniosków racjonalizatorskich wpłynęło w zeszłym roku — z nich 105 zostało przyjętych i zrealizowanych.

Janusz Fudalej choć podziela zdanie zarówno Torbusa jak i Szwagierczaka skłonny jest pokazywać raczej braki. I zaczyna od zarzutu skierowanego do dyrektora:

— A ty Kazik jednak nie jesteś jeszcze patriotą ostrowieckim.

Zarzut nie dotyczy oczywiście pochodzenia zagłębiowskiego dyrektora. Chodzi o namiętną walkę, jaką Fudalej prowadzi w imię realizacji planów wielkiego socjalistycznego Ostrowca, walki prowadzonej z ludźmi, którzy gdzieś w różnych komisjach decydować mają i zdecydować się nie mogą. Wydaje się Januszowi, że poparcie tow. Torbusa nie jest dość energiczne, dość bojowe. Dyrektor broni się:

— Nie, Janusz. Ja już jestem waszym patriotą, jużeście mnie zatruli.

I rzeczywiście. W ciszy gabinetu maluje obraz wielkiego ośrodka ludzkiego, wielkiego ośrodka przemysłowego wielkiej kuźni socjalistycznej Ostrowca, który promieniować będzie kadrami fachowców najlepszych i najbardziej ofiarnych na kraj cały, który promieniować będzie wyrobami na całą północ kraju, który odciągnie z przeludnionych wiosek młode siły i wychowa na wielkich budowniczych .

I w ciszy gabinetu zabrzmiała w jego słowach znana pieśń. Pieśń-wizja, towarzysząca życiu i walce Bronisława Spychaja.

Roman Juryś

Zapadał mrok. Lubski wracał do domu aleją wśród smukłych topoli. Mózg jego pracował. Sprawa projektu młodego szlifierza przestała być dla niego sprawą Kutrzeby a stała się jakąś ogólną, pilną kwestią zasadniczą, jak przed tym — współzawodnictwo zespołowe.

Szedł żując źdźbełko trawy w zębach i namyślał się: jakie wyciągnąć konsekwencje w stosunku do Sroki za działalność, którą zdecydowanie kwalifikował jako wrogą i przemyślaną robotę na szkodę Polski Ludowej? Czy — jeśli tak dalej pójdzie — nie zdemoralizuje on do reszty robotników? A odbije się to na współzawodnictwie. Doszedł jednak do wniosku, że Wirski obroni majstra, tłumacząc się brakiem sił. „Wart pac pałaca... — pomyślał z goryczą wchodząc do swego domku.

V

Z samego rana — ledwo zdążył zrzucić z siebie płaszcz — przyczłapał do kantorku woźny, prosząc go do Wirskiego. Dyrektor był już poinformowany o wczorajszym zajściu, gdyż na wstępie powiedział z wyrozumiałą naganą w głosie:

— Niepotrzebnie rozdrażniacie go. To dobry fachowiec, jakich dzisiaj ze świecą szukać. Na nim powinno nam najbardziej zależeć... A teraz do sprawy! Dyrekcja Przemysłu Miejscowego zaakceptowała zamówienie... — Podniósł z biurka plik starych, niemieckich rysunków, wydrukowanych na sztywnym papierze i wręczył Lubskiemu. — Uzgodniłem to ze Sroką... Te wzory nie będą zbyt brzydkie a jednocześnie łatwe do wykonania. Od dziś rzucicie je w kurs. A więc: od dziś produkujemy na eksport! Ale zaraz, zaraz... normy. Musimy przepracować od nowa. Już w trzecim dniu współzawodnictwa zespołowego, brygada Karasia skoczyła na 300 procent ponad normę.. Przeliczyłem się... Trzeba będzie zwiększyć przynajmniej dwukrotnie. Poczekamy kilka dni... — Wiercił się za biurkiem niespokojnie, zerkając często na ręczną Cymę. Jeszcze jedno! Musimy zwołać specjalne zebranie pracownicze. Ogłoście natychmiast, postawimy zdecydowanie sprawę eksportu. Niech to nie będzie ambicją wyłącznie waszą i moją, lecz całej załogi. Pamiętajcie! Dziś po pracy... No i znowu muszę jechać do Wrocławia. Muszę wyjednać większą ilość surowca. Ach! nie bójcie się... na zebraniu będę.

Lubski żachnął się w sobie: zdenerwowała go pewność, z jaką dyrektor przechodził nad sprawami.

— Na trzydziestu szlifierzy — wtrącił z przekąsem — siedemnastu jest partyjnych. Oni są za ludowymi wzorami. Rozumieją to...

— Ale nie rozumieją jednej strony: względów technicznych...

Rozmowa skończyła się na tym. Wirski wyszedł, pozostawiając niezadowolonego kierownika w gabinecie. Gdzieś na podwórzu warknął włączony motor. Lubski patrzał na wijącą się za oknem aleję, nad którą sennie pochylały się topole. Czerwony Mercedes wjechał lekkim łukiem na asfalt i wypuszczając za sobą obłoczki sinawego dymu, zniknął na zakręcie uwożąc dyrektora.

Zabrał kartony z biurka i powrócił do hali, gdzie czekała go tym razem miła niespodzianka; kompotierka, wykończona i umyta, leżała na stole. Oto jeszcze jeden argument! Ucieszył się. Usta Karasia rozszerzyły się w uśmiechu, oczy błyszczały. Kilku robotników porzuciło warsztaty, żeby usłyszeć zdanie Lubskiego. Przybiegł Kutrzeba i piskliwym głosem wyliczał na usmarowanych palcach, co zostało nie zmienione w rysunku. Całość była tak trafnie skomponowana (oczywiście z pewnymi odchyleniami od pierwotnego projektu), że Lubski pożałował przez sekundę, że zaczynał w ogóle ze Sroką.

— Cudowne! — zawołał z prawdziwym zachwytem. — No! Chłopcy! — rzucił na strony do stojących przy sobie; poznał w nich swoich towarzyszy partyjnych. — Będziecie robili?

— Przecie! A jakże! Możemy od dziś... — posypały się głosy. Nareszcie coś dobrego zrobimy!...

Ale wielu milczało. Niejeden zerknął na pochylonego w kącie Srokę, który udawał, że nic nie słyszy i naciągał czerwoną farbą, gładki jeszcze kryształ. Robił to powoli, flegmatycznie.

— Ach tak... — bąknął Lubski marszcząc czoło. Natychmiast odwołał na bok Kutrzebę, Karasia, Biedronia. — Chodźmy, pokażę wam coś! — powiedział i pociągnął ich za sobą.

Wyszli z hali.

— Musimy przełamać dyrektora — mówił, gdy znaleźli się na podwórzu. — I Srokę...

VI

Pokój odremontowany na świetlicę był miłym zakątkiem, dokąd robotnicy schodzili się wieczorami przyprowadzając rodziny: słuchali radia, gawędzili. Tu odbywały się wszystkie zebrania. W tym celu wybudowano małe podium, na nim umieszczono stół. Po skończonej pracy, ludzie rozsiedli się na krzesełkach i zdziwieni obserwowali Lubskiego, który przy pomocy Karasia, Biedronia i Kutrzeby ustawiał na stole przyniesione z piwnicy i obmyte z kurzu kryształy.

Przyszedł dyrektor, zerknął na ustawione rzędem eksponaty, zmarszczył czoło, pomilczał trochę wycierając okulary chusteczką, potem odchrząknął i zaczął mówić o eksporcie. Słowa jego, zwięzłe i proste, przez kilkanaście minut spływały na słuchaczów wartkim potokiem. Nie słabły aż do ostatniego zdania, kiedy wśród burzliwych oklasków, ludzie poczęli wznosić gorące okrzyki:

— Zrobimy!... To nasz honor!... Zwiększymy produkcję!... Każdy wołał w imieniu wszystkich. Dyrektor podziękował serdecznie, lecz słowa jego, łamane wzruszeniem, zagubiły się w ogólnym hałasie.

Na podniesienie wszedł Lubski: Stanął w rozkroku, barczysty, wysoki, w podniszczonym już wojskowym mundurze, jedną ręką oparł się o krawędź stołu, drugą wzniósł nad sobą, prosząc o spokój. Gwar przycichł.

— I ja przyłączam się do waszego entuzjazmu, koledzy — powiedział twardo. — Tak Jasne! Zwiększymy produkcję i ruszymy eksport. Ale... — założył ręce na piersi i wysunął się do przodu — ...jaki eksport!? Właśnie, jaki? A tego dyrektor zapomniał powiedzieć. A więc ja dopełnię jego przemowę... Otóż uważajcie! Będziemy produkować i wysyłać za granicę tandetę... szmirowatą tandetę, jaką produkował Weber przez kilkadziesiąt lat. I nie tylko Weber... Powiódł groźnym wzrokiem po twarzach siedzących. Nagle pochylił się nad stołem. — Popatrzcie na to! — wznosił kolejno każdy kryształ do góry. — Widzicie jakąś różnicę między tymi wzorami, co?

— Jakto nie! — zerwał się ktoś.

— No tak. Ale w stylu samej roboty. Widzicie? Nie.

— A jakże! — wrzasnął piskliwie wtajemniczony we wszystko Kutrzeba. — W nalepkach!

— Otóż to, koledzy — Lubski wskazał palcem na małą, złotą nalepkę przyklejoną do brzeżka trzymanej salaterki. — Każda z tych nalepek ma inną firmę i napis w innym języku. — Oto ta waza... — wskazywał z daleka palcem — pochodzi z Kanady. Ta salaterka ze Stanów Zjednoczonych, tamten serwis z Londynu... A to... — energicznym ruchem porwał ze stołu jedną z waz — ...przedwojenny nasz wyrób, tłoczone szkło, bo szlifować wtedy jeszcze nie umieliśmy... Tłoczone na niemieckiej prasie!... Czyż nie robiliście tego wzoru teraz jeszcze! Spójrzcie! — Chwycił w ręce dwa inne kryształy. — Jedna amerykańska, a druga francuska, albo... wskazał następną — ...o te, niemiecka i nasza przedwojenna, tłoczona. Porównajcie! — podsunął siedzącym w pierwszym rzędzie aż pod same oczy. Potem odstawił je na stół, i zaczął mówić spokojniej. — Tak, towarzysze i koledzy. Te wzory są już oddawna wypróbowane na niewybrednych gustach kapitalistów w Nowym Jorku, Londynie czy Paryżu. To jasne! Nie trudno dostrzec tu tajemnicę Webera i innych jemu podobnych na całym Zachodzie; a to — czym więcej błyszczy, tym lepsze! Jasne! A teraz to... — jak tylko potrafił najwyżej, podniósł kompotierkę Karasia — ...a to także błyszczy, ale naszym Podhalem. I te wzory były wypróbowane, ale wcześniej jeszcze, bo od kilku setek lat... Wypróbowane i wypieszczone przez naszych ludzi z Podhala, umiłowane przez nich...

Postacie robotników znieruchomiały na krzesłach. Było tak cicho, że przez kilka sekund Lubski słyszał bicie zegara uwieszonego na bocznej ścianie. Pierwszy poruszył się dyrektor; wyciągniętą z kieszeni chustką zbyt głośno wycierał nos. Sroka uśmiechał się wyblakłymi ustami, jakby to wszystko było mu już dawno znane i nie zasługiwało na jego cenną fatygę. Lubski patrzał na ludzi. Czekał czegoś, przygryzał górną wargę; jak to byłoby dobrze, żeby Wirski zrozumiał o co mu chodzi! Ale bezpartyjny... Mówił dalej:

— Obywatel Dyrektor boi się przystąpić do produkcji tych wzorów, tłumacząc się pilnym zamówieniem z Danii. Boi się, że produkcja będzie przyhamowana. Chwileczkę!... — Wyjął z bocznej kieszonki kilka pomiętych kartek papieru. Odczytał koślawe cyfry, z pamięci obliczał procenty. Mimo podwyższonej dwukrotnie normy, meldunki okazały się wprost zadziwiające; brygada Karasia 300 procent, Przybytki 285, Sroki 260.

Potem zabrał głos Wirski. Wstał. Trochę niepewnym głosem przyznał, że dzięki współzawodnictwu zespołowemu suma wypłaconej premii skoczyła z 300 tysięcy złotych miesięcznie na 900. Przez chwilę poruszał wargami nie nie mówiąc, zdjął okulary z nosa i pocierając je białą chusteczką, dużą jak płachta, popatrzył na Srokę. Lubski odgadł już myśli dyrektora: „Ani chybi jak poprosi jego o radę..." Tak się też stało.

— Ale co do wzorów — kończył Wirski — myślę, że najlepiej będzie, jeśli

STANISŁAW MARCZAK - OBORSKI

SABA BYŁ PIERWSZY

Inżynier Jan Saba odkrył możliwość wyrobu tkaniny z fenolu. Wynalazek jest rewelacyjny — pozwoli w krótkim czasie ubrać odbiorców w trwałą i tanią bieliznę. Rząd udzielił znacznych kredytów, za które powstaną wielkie zakłady pod kierownictwem inżyniera Prędskiego. Równocześnie z budową, Saba gorączkowo wykańcza swoją pracę; bowiem znakomita tkanina uzyskana przez niego w laboratorium zawodzi przy próbach technicznych na większą skalę. Z wynalazcą współpracuje najbliższy sztab: asystentka a zarazem narzeczona Anna, dwaj specjaliści od włókien sztucznych i pomocnik laboratoryjny Birda.

Walka o czas staje się z każdym dniem dramatyczniejsza. Saba zobowiązał się, że w określonym terminie doprowadzi do pozytywnego zakończenia eksperymentu. Tymczasem w Ministerstwie zaczynają już wątpić w realność pomysłu; przyjeżdża sceptycznie nastawiona komisja. Do tego zespół laboratorium podjął współzawodnictwo z Prędskim — kto pierwszy będzie gotów z robotą. Budowniczy wykańcza zakłady w morderczym tempie; zależy mu na pogrążeniu Saby, gdyż kocha jego narzeczona, a przytym (w razie klęski rywala) planuje gruby interes z kapitałem zagranicznym.

Saba uparcie szuka błędu uniemożliwiającego produkcję, zmaga się z intrygami, biurokracją, zniechęceniem asystentów i własnym zmęczeniem. Przeprowadza wytrwale próbę po próbie aż do ostatniej — zwycięskiej.

To krótkie streszczenie sztuki Juliusza Wirskiego p. t. „Inżynier Saba", pozwala już zorientować się w jej zasadniczych walorach i paru błędach. Zanim dojdziemy do jednego i drugiego należy przypomnieć, że utwór został napisany w roku 1946. A więc w czasie, kiedy nasza twórczość dramatopisarska tkwiła jeszcze po uszy w mieszczańskim psychologiźmie i estetyźmie, w najlepszym razie w tematyce okupacyjnej. „Saba" był pierwszą próbą problematyki współczesnej, nawiązującej raczej do przyszłości niż do dnia wczorajszego. Autor usiłował skierować zainteresowania teatru na procesy produkcyjne, szukał nowej ekspresji w dramatyzacji twórczej pracy naukowca-technika.

Parę lat temu sztuka została wystawiona na scenach katowickich i krakowskich, zresztą bez większego powodzenia. Zarówno publiczność jak i teatry nie były wówczas przygotowane na repertuar tego typu. Obecnie Wirski raz jeszcze powierzył Teatrowi Staremu w Krakowie swój utwór w drugiej, nieco zmienionej wersji.

Przeróbki naogół wyszły sztuce na dobre. Autor wykreślił luźno związaną z wątkiem postać literata Brandta; usunął balast terminów i szczegółów technicznych, które przerażały widza swoją tajemniczą fachowością; skrócił „ogólnoludzkie" dyskusje prowadzone na marginesie akcji; wreszcie zmienił losy inżyniera Prędskiego. To ostatnie nie jest takie proste i zawiera w sobie ryzyko, grożące każdemu „nicowaniu" garniturów literackich raz już w pewien sposób skrojonych.

W pierwszej redakcji Prędski widząc porywające zwycięstwo nauki „nawracał się", godził z antagonistą i lojalnie przystępował do dalszej wspólnej pracy. Obecnie takie zakończenie historii — bądź co bądź reakcjonisty związąnego z obcym kapitałem— wydało się autorowi sprzeczne z postulatami czujności i zbyt solidarystyczne. Przeto w drugiej redakcji Prędski wędruje do więzienia. To wszystko bardzo sztuczne, ale... niektóre szwy w sztuce pękają.

Tutaj musimy raz jeszcze cofnąć się do streszczenia. Obok akcji w utworze toczy się dyskusja. Jej dylemat zamyka pomocnik laboratoryjny Birda w dosadnym pytaniu: „czy czyste gatki zmienią człowieka na lepsze?" Mówiąc inaczej: czy poprawa warunków bytu wpłynie na uszlachetnienie natury ludzkiej? Problem kapitalny, niestety nie rozwiązany w sztuce, pozbawiony argumentu scenicznego. W pierwszej wersji tym argumentem był do pewnego stopnia Prędski. To właśnie człowiek, któremu rewolucja w produkcji otworzyła oczy na własne błędy ideologiczne. Ale kiedy postać budowniczego pozostaje niezmiennie „czarna" — dyskusja do końca wisi w powietrzu.

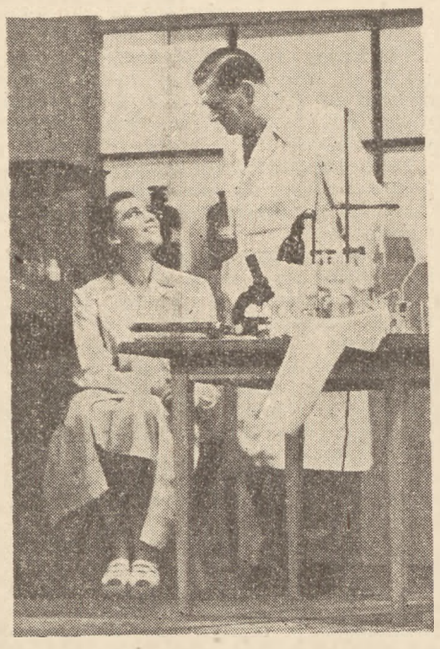

„Inżynier Saba" J. Wirskiego w Teatrze Starym w Krakowie. Na zdjęciu: Halina Gryglaszewska w roli Anny Brońskiej i Tadeusz Burnatowicz w roli Jana Saby

Nurtu intelektualnego sztuki nie ratują patetyczne rozmowy, że ktoś tam „wierzy w człowieka", a ktoś inny „nie wierzy w człowieka" — jest to bowiem jedynie wzniosła deklamacja. Tak samo dialogu nie pogłębiają potoczne mądrości w stylu: „każde małżeństwo jest nierozsądne"; podobnie jak swoista interpretacja szekspirowskiego „Romea i Julii."

Innego typu zastrzeżenia budzi rysunek postaci. Autor nazbyt przejrzyście planuje ich funkcję w utworze, a potem z pedantyczną dokładnością i bez żadnych niespodzianek każe im pełnić powinność. Odejście od realizmu do schematu literackiego mści się na najciekawszej zresztą figurze Saby. Jest to jeszcze jeden model bohatera-samotnika. Wirski ogranicza się do zasugerowania imponującej siły tego człowieka, nie wyjaśniając źródeł społecznych jego mocy, bardzo zdawkowo wiążąc go z ruchem społecznym. Genealogia tego nadczłowieka wywodzi się z mało współczesnych gustów literackich. Drugi pozytywny bohater — Birda — narysowany jest trochę wedle tradycji dramatu szlacheckiego. Ten proletariusz i były partyzant nazbyt przypomina typ „wiernego sługi" z łaskawą i pobłażliwą wyrozumiałością traktowanego przez „państwo".

Najwięcej śmiałości i oryginalności pokazał autor w konstruowaniu utworu. Wyrzekł się łatwych efektów podbudowania akcji jakąś na przykład awanturą szpiegowską. Dynamika jest wydobyta tutaj przede wszystkim z walki naukowca z oporną materią — a to chwyt bynajmniej na scenie nie ograny. Wirski rezygnuje z utartych możliwości i sposobów: na przykład kontrastowania postaci dwu asystentów; są oni jednakowi jak role, które spełniają w laboratorium. Wyraz teatralny osiąga autor przemyślanym wyplanowaniem epizodów: dwie próby techniczne przy końcu pierwszego i trzeciego aktu — obie w tym samym napięciu, rozładowanym za każdym razem inaczej. Doskonale „gra" rekwizyt decydującej sztuki płótna, która schnie na oczach widzów w czasie dramatycznej sceny nocnej. Dobrze wytrzymane, lapidarne i oszczędne w słowach zakończenie.

Pretensje do autora można by mieć za parę wątków, które zaczynają się i nie kończą. Na przykład motyw zazdrości zawodowej asystenta Kadonia o sławę Saby (zaznaczony w I akcie), albo historia z komisją. Birda sygnalizuje jej członków niemal jako „wrogów klasowych", a potem okazuje się, że są to ludzie najlepszej woli, tylko źle poinformowani. Główny antagonista prof. Barylski daje się łatwo przekonać argumentom Saby i jego adherentów. Dramatyzm starcia z komisją pali na panewce, skoro sprowadza się ono właściwie do nieporozumienia.

Czas już skończyć tę litanię żalów. Pamiętajmy, że w stosunku do utworu tak ambitnego i nowatorskiego zawsze łatwo wysunąć liczne zastrzeżenia. Nie umniejszą one awangardowej roli, jaką odegrał „Inżynier Saba" w rozwoju naszego dramatu realistycznego.

Lecz tu jeszcze jedna uwaga: czas wyprzedził już w paru punktach tę sztukę napisaną pięć lat temu. Inaczej przedstawia się już sprawa współzawodnictwa, które stało się socjalistyczne i jest dzisiaj raczej współtworzeniem, niż walką dwu wrogich obozów. Obecnie nieprzyjemnie uderza nas radość, z jaką zespół Saby przyjmuje wiadomość o zarysowaniu się ściany, które przekreśla wysiłki współzawodniczącej z nimi brygady budowlanej. Druga sprawa: pomysły Birdy, pokazanego w sztuce w wymiarach uciesznego „chłopka — roztropka", wyglądają inaczej i poważniej w świetle licznych osiągnięć racjonalizatorskich naszych robotników.

Przedstawienie „Saby" w krakowskim Teatrze Starym miało niebezpieczną konkurencję w „Brygadzie szlifierza Karhana" granej poprzednio na tej samej scenie, a inscenizowanej z ogromnym rozmachem i pomysłowością przez Lidię Zamkow.

Sztuka Wirskiego w nowej wersji została staranniej opracowana niż przed dwoma laty. Przeniesienie aktu II-go do dekoracji kameralnej dobrze urozmaiciło przedstawienie. Z zespołu aktorskiego — raczej szarego — wyróżniał się zdecydowanie odtwórca roli tytułowej Tadeusz Burnatowicz (zarazem reżyser widowiska), który grał Jana Sabę z całym przekonaniem. Nie ustrzegł się co prawda pewnej jednostronności roli, ale w ostatecznym wyniku stworzył wyrazistą teatralnie postać „mocnego człowieka".

Spektakl krakowski jest ważnym egzaminem „Inżyniera Saby" — jego widzowie zadecydują, czy prekursorska sztuka Wirskiego ma szanse na wejście do stałego repertuaru naszych teatrów.

Stanisław Marczak-Oborski

Państwowe Teatry Dramatyczne w Krakowie — Stary Teatr „Inżynier Saba" J. Wirskiego. Reżyseria: Tadeusz Burnatowicz. Dekoracje: Jerzy Szymański. Na zdjęciu scena zbiorowa.

WŁADYSŁAW LUBECKI

Zagadnienie teatralnych zespołów świetlicowych

Bujnie rozwija się i imponująco rośnie świetlicowy ruch teatralny w Polsce. Co raz liczniejsze są zastępy świetlicowych zespołów, a reprezentowane przez te zespoły różnorodne spektakle sceniczne cieszą się dużym bardzo powodzeniem wśród najszerszych mas robotniczych i chłopskich, zgrupowanych wokół poszczególnych świetlic. Fakty te są tym godniejsze zanotowania, że świetlicowe zespoły teatralne działają niejednokrotnie w ośrodkach, do których nie dociera, albo bardzo rzadko dociera zawodowy teatr. Zespoły świetlicowe sięgają przy tym do znanych i popularnych pozycji repertuarowych, że wymienię tylko „Matkę" Gorkiego, „Młodą gwardię" Fadiejewa, „Brygadę szlifierza Karhana" Kani, „Oświadczyny" i „Niedźwiedzia" Czechowa i t.d. W ten sposób sceny świetlicowe popularyzują najciekawsze dzieła literatury dramaturgicznej i budzą zainteresowanie najszerszych rzesz robotniczych i chłopskich dla zagadnień teatralnych.

Opiekę nad teatralnym ruchem świetlicowym sprawuje u nas do tej pory szereg organizacji. Przede wszystkim Biuro Amatorskiego Ruchu Artystycznego przy Ministerstwie Kultury i Sztuki. Skolei: Centralna Rada Związków Zawodowych, „Samopomoc Chłopska", „Związek Młodzieży Polskiej" i inne. Jak przedstawia się ta opieka? Jak dotąd objęła ona przede wszystkim troskę o właściwy dobór repertuaru dla teatralnych zespołów świetlicowych. Dużą w tym kierunku pracę wykonał w szczególności Wydział Repertuarowy Centralnej Rady Związków Zawodowych. Wydział ten „odśmiecił" i to bardzo gruntownie dotychczasowy repertuar świetlicowy od szkodliwej tandety literackiej i dał do dyspozycji teatralnych zespołów 54-tomową bibliotekę, obejmującą pozycje repertuarowe, najbardziej godne polecenia. Każdy tomik tej biblioteki zaopatrzony jest nad to w uwagi inscenizacyjne, które ułatwiają zespołom świetlicowym pracę nad realizacją sceniczną każdego utworu.

Praca to niewątpliwie znaczna i ważna, ale nie wyczerpuje ona zagadnienia pełnej opieki artystycznej nad teatralnymi zespołami świetlicowymi, na rozległym terenie całego kraju. Co prawda przy terenowych Radach Związków Zawodowych powołano referaty kulturalno-oświatowe i zadaniem tych referatów jest okazywanie konkretnej pomocy zespołom świetlicowym. Ale referaty te, skąpo bardzo personalnie obsadzone, nie mogą należycie działać i ograniczają się raczej do funkcji rejestracyjno-statystycznych.

Do systematycznej współpracy z zespołami świetlicowymi zobowiązano ostatnio teatry zawodowe, które — zgodnie z okólnikiem Generalnej Dyrekcji Teatrów — objąć winny patronat nad poszczególnymi terenowymi świetlicami. Współpraca taka jest niewątpliwie bardzo cenna. Ale ograniczony czas, jakim w swej pracy zawodowej dysponują zawodowi aktorzy i reżyserzy, nie pozwala niestety rozwiązać zagadnienia wszechstronnej pomocy, jakiej potrzeba świetlicowym zespołom teatralnym w ich pracy.

Dla przykładu podać warto następujące fakty, zanotowane w ostatnich tygodniach. Na terenie Szczecina zawiązał się przy Państwowym Przedsiębiorstwie Transportowym „Hartwig" świetlicowy zespół teatralny. Zespół powstał samorzutnie z inicjatywy jednego z biurowych pracowników przedsiębiorstwa, który napisał 4-aktową sztukę świetlicową i postanowił wystawić ją siłami zespołu świetlicowego. Ambicje piękne i należało je niewątpliwie w pełni poprzeć. W jakiej formie? Należało przede wszystkim gruntownie popracować z autorem sztuki, pouczyć go o zasadach budowy dramatu scenicznego, zwrócić uwagę na konieczność konsekwentnego rysunku postaci scenicznych, nauczyć budować konflikt i sytuacje sceniczne, wreszcie pomóc w opracowaniu literackim dialogów. Następnie winien był zająć się ambitnym zespołem świetlicowym fachowy reżyser i przez dłuższy czas popracować nad możliwie najbardziej wysokim poziomem gry scenicznej.

Zespół szczeciński, otrzymawszy taką pomoc, byłby niewątpliwie zdobył się na bardzo wartościowe wyniki pracy.

A jak było w rzeczywistości? Referat kulturalno-oświatowy Okręgowej Rady Związków Zawodowych w Szczecinie nie mógł niestety pomóc, gdyż nie ma odpowiednich etatów personalnych i nie zdołał nawet nowego zespołu świetlicowego zarejestrować w swych kartotekach.

A teatr? Teatr Szczeciński zainteresował się na prośbę kierownika świetlicy zespołem, ale pomóc mógł tylko w najskromniejszych ramach. Kierownik literacki teatru udzielił niedoświadczonemu autorowi doraźnej tylko konsultacji. Fachowy reżyser „doskoczył" na kilka dni i ograniczył się tylko do najbardziej rażących korektur. Oczywiście tak doraźna pomoc nie mogła dać należytych rezultatów artystycznych. I w rezultacie zamiast rozwinąć szlachetną inicjatywę świetlicowców szczecińskich, i nadać jej najlepszy wyraz artystyczny — dopuszczono zespół do nieprzygotowanego występu publicznego i to na deskach miejscowego teatru. W ten sposób skrzywdzono tylko ambitny zespół szczeciński. Zaprezentowano bowiem na scenie spektakl, rażący naiwnością, niezdarnością i tanim szablonem. Co gorsza dookoła spektaklu rozpętano niepotrzebnie prawdziwą „burzę" reklamową. Głoszono o... wielkiej sensacji artystycznej i literackiej — i wieści te dotarły ze Szczecina nawet do... Warszawy.

Przytoczone fakty wskazują, że dotychczasowe formy opieki artystycznej nad teatralnymi zespołami świetlicowymi wymagają rozszerzenia i pogłębienia. Należy przejść od dotychczasowych, doraźnych i niejako „odświętnych" kontaktów z zespołami świetlicowymi do stałej, systematycznej i wszechstronnie pojętej współpracy. Jak to uczynić? Sięgnąć tu warto po wzory i doświadczenia Związku Radzieckiego. Tereny poszczególnych Republik Związku Radzieckiego pokrywa gęsta sieć tak zwanych „Domów Narodnoi Tworczosti" (Domy ludowej twórczości). W Domach tych koncentruje się praca świetlicowa całego okręgu. Na czele Domów stoją znani fachowcy artystyczni, którzy posiadają nad to w swym „sztabie" konsultantów literackich, scenicznych, muzycznych, plastycznych, baletowych it.p. Konsultanci Domów ludowej twórczości sprawują opiekę nad każdym zespołem świetlicowym. Ponad to dla każdego zespołu świetlicowego przydziela Dom ludowej twórczości fachowego kierownika, który jest na etacie świetlicy i prowadzi systematyczną pracę pedagogiczną w zespole. Wreszcie z inicjatywy Domów ludowej twórczości poszczególne teatry zawodowe i poszczególni aktorzy i reżyserzy obejmują honorowy patronat czyli tak zwane „szefostwo" nad zespołami świetlicowymi. I dzięki tej wszechstronnie zorganizowanej pomocy, osiągają radzieckie zespoły świetlicowe wysoki poziom artystyczny, który rzecz prosta wpływa na podniesienie ogólnego poziomu kulturalnego najszerszych mas.

Jednocześnie dzięki tak sprzyjającej atmosferze dojrzewają w radzieckich zespołach świetlicowych talenty, które następnie zasilają wydatnie kadry fachowe.

Na podobnych zasadach należało podjąć próbę zorganizowania i u nas opieki artystycznej nad zespołami świetlicowymi. Nasze centralne instytucje, a więc Biuro Amatorskiego Ruchu Artystycznego przy Ministerstwie Kultury i Sztuki, Centralna Rada Związków Zawodowych, Samopomoc Chłopska, i t.p. — opracowywać winny na szczeblu centralnym ogólne ramy organizacyjne i repertuarowe dla zespołów świetlicowych. Ale konkretną i pełną pomoc okazywać winny zespołom świetlicowym Domy ludowej twórczości, stworzone w poszczególnych ośrodkach wojewódzkich, a nawet powiatowych. Wówczas rezultaty pracy świetlicowej będą pełne i duże sukcesy artystyczne, jakie notowaliśmy w czasie występów zespołów świetlicowych w ramach Festiwalu sztuk radzieckich — staną się powszechne we wszystkich świetlicach polskich.

Władysław Lubecki

---

obecny tu Sroka wyrazi swoje zdanie. — Usiadł.

Lubski uśmiechnął się znacząco, tak żeby wszyscy widzieli.

— Racja, z kota wołu nie zrobisz! — wyrwał się znany wszystkim chropowaty głos Kuby, specjalisty od bardzo drobnych gwiazdek.

Sroka dźwignął się powoli z krzesła.

— No przecie. Kuba ma rację. Tłumaczyłem nie raz i nie dwa, a wy, kierowniku, nic — tylko te wzory... Przyczepiliście się do nich jak pijawka. Spytajcie ludzi, to wam powiedzą...

— A jakże! Spytam... — odparł śmiało Lubski i zwrócił się do Karasia. — Co ty na to?

— Ja za wzorami...

— A Biedroń? Też. Przybytko? A jakże. Jasne! A wy Antoniewiczowa? — chwycił kompotierkę i wysunął ją w stronę kobiety. — Jak wam podoba się to cacko?

Pomywaczka kiwnęła głową.

— A to, to ja rozumiem. Zrazu widać, że to nasze... a nie tamte, barachła!... — I siarczyście splunęła w kąt, przybierając teatralną pozę na szerokiej twarzy.

Lubski widział, że partyjni byli za nim: rozumieli. Pytał dalej:

— Kuba, a wy?

— Ja tam nie wiem — odezwał się zawezwany. — Co majster to i ja... od tego on majster.

Lubski machnął ręką z irytacją. Sroka korzystając z okazji zawołał:

— Kuba to dobry szlifierz i robotę zna, jak mało kto. On wie, że kryształ to nie widokówka i swoje prawa ma...

— W takim razie marny z ciebie fachowiec, jak tak mówisz... — wtrącił się Biedroń.

Kutrzeba siedział w ostatnim rzędzie, pochylony, uważny, marszczył brwi i obgryzał paznokcie.

— Można, wszystko można... — mówił Sroka. — Ale my nie mamy czasu na zabawy. Musimy szybko produkować, żeby wykonać zamówienie. Wy nie myślicie o tym, a ja myślę...

Biedroń wstał nagle, szurnął krzesłem.

— Ach ty, ty... — zawołał z siłą do majstra. — I ty się nie wstydzisz? Ty... nazwałbym cię po imieniu, ale kobieta siedzi... — i ruchem pokraśniałej z oburzenia twarzy wskazał Antoniewiczową.

Sroka, blady i przerażony, mamrotał niezrozumiale pod nosem. Dyrektor usiłował zmusić Biedronia do zajęcia miejsca i poklepywał go delikatnie w plecy. Stojący na podwyższeniu Lubski mrugnął do Biedronia, ukazał zęby w uśmiechu. Wszyscy poruszali się niecierpliwie.

— No i co? — wołał Biedroń. — Mówisz, że chodziło ci o szybkość produkcji? — Nie czekając na odpowiedź, wystąpił przed front i energicznie wskoczył na podium. Następnie wskazując ramieniem na majstra, zaczął gromko: — Towarzysze! Na pewno nie wszyscy wiedzą, ale jego brygada słyszała... Może zaświadczyć. Powiedzcie. Kuba, Miciuk, Baliński... Namawiał was do tego, żebyście nie zgodzili się na ludowe wzory ,bo trudniejsze i mniej premii zarobicie? Namawiał, czy nie. No, Baliński!

Suchy, mały człowieczek podniósł się ciężko. Patrząc w podłogę wiercił ramionami, pocierał dłonią zarost na twarzy. Wreszcie wybąkał:

— No, niby... — Bojaźliwie spojrzał na swego majstra, który zmarszczył brwi.

— Łachudra jesteś! — rzucił Biedroń z przekonaniem. — Mówię to bez ogródek, przy wszystkich. Łachudra. Chcesz ukrywać...

— Ja... ja, wcale nie... — jąkał się tamten.

— Siadaj! Miciuk, powiedz... Było tak?

— Tak — odezwał się śmiały głos z tyłu. — I to jeszcze nie wszystko...

— Dobrze, czekaj — ruchem dłoni Biedroń nakazał mu ciszę. Zwrócił się wprost do Sroki. — A więc o forsę ci chodziło, „panie" majstrze. A wtedy jak mówiłeś, że w Polsce nie można dużo zarabiać, bo obcięli ci premię, to niby... wtedy o produkcję, co?

Robotnicy ryknęli zdrowym śmiechem. Miciuk powstał i dorzucił z tupetem:

— Właśnie chciałem o tym... Kubek w kubek tak powiedział...

Nagle wszyscy zaczęli mówić. Nieduża świetlica zapełniła się gwarem.

— Po diabła nam on... Nie podoba mu się w Polsce, to na zbity pysk... To nieprawda! Wymyślili i gadają... Cichajta! Niech broni się sam, może prawda...

Sroka spoglądał wystraszonym wzrokiem to na Balińskiego, to na Kubę, jakby od nich spodziewał się obrony. Ucichło.

— Gadałeś tak? — zapytał Biedroń.

— Namawiałeś? — dorzucił ktoś inny.

Sroka skurczył się w krześle.

— Jakto... wyjąkał i zaczerwienił się aż po mięsiste uszy.

Lubski był podniecony, śmiał się do wszystkich z radości, która rozpierała mu piersi. Przypalił papierosa, wypalił go w kilku głębokich pociągnięciach, sparzył przy tym wskazujący palec i z krótkim „och", opuścił niedopałek pod nogi, przydeptując go czubkiem buta. Widząc, że dyskusja przedłuża się i zbacza z głównego toru, podniósł ramię.

— Towarzysze! — huknął. — Zostawcie! Nie ważne co on teraz powie, ale to co już powiedział. Jasne! Towarzysze i koledzy! Chodziło nam tylko o to, żeby zdemaskować go, pokazać tu wam i dyrektorowi z jakiej przyczyny powstały te... jak to było powiedziane? ...niemożliwości techniczne!... — zaakcentował z humorem.

Znowu śmiech. Oklaski.

— A teraz powróćmy — wołał — do naszych kryształów. To jest najważniejsze. Kto za tym, aby rozpocząć nowe wzory, a stare wyrzucić!

Dwadzieścia kilka rąk uniosło się ponad głowami.

— Ja... wszyscy... Od jutra! A te weberowskie kartony spalić. Baliński, a ty co?

— Jak on naprawdę tak, to i ja za wzorami... — Baliński podniósł ramię. — Kuba! I ty...

— Ciszej! Nie wszyscy naraz... Obywatel dyrektor chce mówić.

Wirski wstał.

— Obywatele! — mówił wolno, był zawstydzony, cedził słowa. — Właściwie to... znalazłem się wobec was w dość krytycznej sytuacji. Za bardzo ufałem Sroce, który nadużył tego zaufania i to... w dość podstępny sposób. — Zmierzył chłodnym spojrzeniem majstra, który, siedział jak nieżywy. — Cóż mam więcej do powiedzenia? Chyba tylko to, że przystaję do waszego projektu...

Oświadczenie dyrektora przyjęto z owacją.

— Słuchajcie koledzy i towarzysze — podjął Lubski od nowa. — Od czasu wprowadzenia współzawodnictwa zespołowego, brygada Sroki wlecze się na samym końcu, chociaż, jak wiemy, on sam wyrabiał przed tym największy procent. Teraz pracuje wolniej, opuścił się. To jaskrawy przykład jego złej woli w stosunku do naszych coraz to cenniejszych zdobyczy i osiągnięć na drodze do socjalizmu. Jasne! Mam nadzieję, że będę wyrazicielem wszystkich tu zebranych, jeśli wezwę go do opamiętania. Sroka potrafi dobrze pracować... Z dzisiejszego zebrania musi wyciągnąć dla siebie pożyteczne wnioski, namyślić się... Jestem przekonany, że zmieni jeszcze swój stosunek do Polski Ludowej i — dokończył z przyjaznym uśmiechem — zabłyśnie ze swoją brygadą na tablicy przodowników. I znowu wróci do naszego grona... Jasne!

Długie i huczne oklaski potwierdziły te słowa. Ludzie powstawali hałaśliwie z krzeseł, przechodzili obok Sroki obojętnie, jakby go wcale nie dostrzegając. Lubski prostując plecy, wyszedł z Karasiem na dwór. Ciemniało. Gdzieś wysoko nad dachami, niby wieczorna gwiazdka, paliło się zielone światło semafora.

Jerzy Pietkiewicz

HENRYK MARKIEWICZ

KRYZYS REALIZMU W „EMANCYPANTKACH" *)

Kryzys realizmu w twórczości Prusa odbywa się w okresie wielkiego przełomu polityczno-społecznego. W roku 1889 odbywa się I Kongres II Międzynarodówki. W Królestwie powstaje Związek Robotników Polskich. Na lata 1890-1893 przypada dalszy wzrost nastrojów opozycyjnych, ożywienie ruchu robotniczego ,które doprowadza w końcu do powstania SDKPiL i PPS. W roku 1890 Warszawa zobaczyła po raz pierwszy demonstrację robotniczą w dniu 1 maja. Na tle przesileń ekonomicznych (głód w Rosji, stagnacja w przemyśle) dochodzi w wielu ośrodkach przemysłowych do rozruchów i strajków. Ogarniają one niekiedy całe gałęzie przemysłu czy ośrodki przemysłowe. W roku 1892 święto majowe w Łodzi przekształciło się w groźny, sześciodniowy strajk powszechny, znany pod nazwą „buntu łódzkiego". Widownią rozruchów były również Pabianice, Zgierz, Zduńska Wola, brało w nich udział około 100.000 robotników[1]). Polski ruch robotniczy wkraczał w nowy etap walki — bardziej masowej, bardziej upolitycznionej i ofensywnej.

W takiej sytuacji następuje kryzys realizmu w twórczości Prusa. Zaobserwować to możemy z maksymalną, jakby eksponatową wyrazistością w „Emancypantkach" (pisane w l. 1830-1833). Uprzedzając wyniki analizy, powiedzmy od razu, że każdy z tomów tej powieści to nie tylko jakby odrębny utwór, ale i odrębny etap rozwoju literatury. I jeżeli można postawić tezę, że twórczość Prusa powtarza w formie skrótowej dzieje realizmu krytycznego, to z kolei tezę tę chciałoby się przenieść na „Emancypantki".

W poszukiwaniu tworzywa, poddającego się metodzie realistycznej, Prus cofa się w okres mniej rozwiniętych sprzeczności społecznych — w lata siedemdziesiąte; ten sam wybieg pisarski, dokonany w imię możliwości dla realizmu, powtórzy później w niedokończonej powieści „Nic nie ginie" i w przerwanych przez śmierć „Przemianach". Ale jeżeli akcja „Lalki" rozgrywała się na szczegółowo opracowanym tle historyczno-obyczajowym, w „Emancypantkach" charakterystyczne znamiona okresu zostały zatarte; wprowadził natomiast Prus pewne zjawiska — jak np. mediumizm — rozpowszechnione dopiero w dobie późniejszej niż akcja powieści. Ta czasowa nieokreśloność, wyjątkowa u Prusa, płynie chyba stąd, że autor pisząc o emancypantkach lat siedemdziesiątych, miał na myśli ruch kobiecy około roku 1890, który wtedy właśnie, po okresie pewnego zastoju w poprzednim dziesięcioleciu, przybrał na sile i rozmiarach, m. i. na skutek nowego kryzysu ekonomicznego ziemiaństwa.

Pomimo tytułu, problem emancypacji zajmuje w powieści stosunkowo niewiele miejsca. Wbrew rzeczywistości, Prus przeciwstawia emancypację jako *żywiołowy proces* ekonomiczno - społeczny i emancypację jako *świadomy ruch* społeczny kobiet. Kobiety, które są emancypantkami w życiowej praktyce, albo zapatrują się na ruch kobiecy negatywnie (pani Latter), albo też udział ich w tym ruchu jest zupełnie bierny (wszystkie dodatnie postacie ze stowarzyszenia kobiet). Prus rozumie, że masowe przystąpienie kobiet do samodzielnej pracy zarobkowej było koniecznością ekonomiczną („za moich czasów — mówi Dębicki — łatwiej było o mężów i o chleb; kobiety nie potrzebowały uganiać się za pracą zewnątrz domu", „Emancypantki", wyd. „Książki", 1948, IV, 111). Pokazuje to na przykładzie zdeklasowanej ziemianki pani Latter, ale ten sam przykład dowodzi, że emancypacja stanowiła w jego pojęciu konieczne zło; prawdziwym powołaniem kobiety jest tylko macierzyństwo (życiowa klęska pani Latter, spaczone charaktery Kazimierza i Heleny, pozbawionych macierzyńskiej opieki).

Natomiast ruch kobiecy został w „Emancypantkach" zlekceważony i ośmieszony. Cała emancypacja — jeśli wnioskować z materiału powieściowego — to modna epidemia, oręż dla zdobycia męża, histeria, a przede wszystkim niedosyt seksualny. Rozważny Chmielowski krytykował Prusa, że emancypantki „nie są (u niego) surowym wynikiem ogólnego położenia ekonomicznego w połączeniu z żywszym tętnem ruchu umysłowego, lecz raczej przypadkowym skutkiem górnolotnych haseł wygłaszanych przez niektóre czasopisma"[2]).

Trudno ustalić ideologiczną genezę tego paszkwilu na ruch kobiecy i niechęci do emancypacji, tym bardziej, że brak dotąd (poza pracą Hulewicza o wyższym wykształceniu kobiet) historycznych opracowań tego problemu. Działał tu chyba splot różnych przyczyn: trudności wywołane konkurencją kobiecej siły roboczej, zwłaszcza w okresie przesilenia gospodarczego[3]), konflikt między postulatami ruchu kobiecego a konwencjonalną moralnością mieszczańską, głównie w zakresie społecznych norm życia seksualnego, wreszcie liczne kontakty personalne, częściowa tożsamość aktywistek i wspólne punkty programów między ruchem kobiecym i radykalnymi ruchami socjalnymi. Działało także żelazne prawo literatury mieszczańskiej w okresie jej upadku: ażeby odwrócić uwagę od istotnych problemów społecznych, tworzy ona problemy fikcyjne, lub wyolbrzymia drugorzędne.

O ile jednak pokazując rzekomą błahość ruchu kobiecego, Prus dał tylko przeszarżowane karykatury, to egzemplifikacja skutków emancypacji w praktyce, przyniosła cenne wartości poznawcze i artystyczne.

W pierwszym tomie „Emancypantek" nie widać jeszcze tego kryzysu realizmu, o którym wspomniano. Wręcz przeciwnie — w porównaniu z tomem III „Lalki", gdzie mamy do czynienia z fikcyjnym antagonizmem społecznym (arystokracja — burżuazja) i tendencyjnym oświetleniem spraw polsko-żydowskich, dzieje pani Latter wydają się krokiem naprzód. Jeśli czytając „Lalkę", mimo woli snujemy analogie z arcydziełami powieściowymi Stendhala i Balzaca, to trzeba powiedzieć, że również tom I „Emancypantek" jest bardzo balzakowski.

Historia pani Latter, niegdyś bogatej ziemianki, która po utracie majątku musiała przenieść się do miasta i założyć pensję żeńską, to jeszcze jedna wersja tematu, wielokrotnie opracowywanego w powieści pozytywistycznej[4]). W „Emancypantkach" zwraca uwagę problem inny: bardzo wnikliwe potraktowanie trudności adaptacyjnych związanych z tym procesem społecznym. Pani Latter „prowadzi dom jak wielka dama, to jest pracując za jedną, wydaje za pięć, a może i dziesięć zwyczajnych pracownic. Niedość tego: pani Latter ma dzieci wychowane na wielkich panów" (I, 171). Praca zarobkowa nie przestaje być dla niej narzuconą przez los „niewolą, przekleństwem" (E, I, 136), ofiarą spełnianą w imię miłości macierzyńskiej. Zrujnowana materialnie i psychicznie ucieka instynktownie pod dach szlacheckiego dworku, który w marzeniach jej pozostaje zawsze przystanią spokoju i bezpieczeństwa. W stosunku pani Latter do pensji zarysowują się złe tradycje przedkapitalistycznego gospodarstwa folwarcznego: właścicielka stara się z pensji wycisnąć maksimum zysku dla celów konsumpcyjnych, nie dbając o przeprowadzenie żadnych inwestycji.

Ale z uwzględnieniem tej poprawki pensja pani Latter to typowe przedsiębiorstwo kapitalistyczne. Ta okoliczność, że pensja pani Latter obejmuje przedstawicielki „jednej sfery", pozwoliła Prusowi bez osłonek pokazać kapitalistyczny wyzysk. Rzecz jednak znamienna, że najbystrzej dostrzega ten wyzysk prosta gospodyni, panna Marta; „Cóż za łaskę robi komu pani przełożona — prawiła wyrzucając ręką — że płaci za ciężką pracę?... A sobie ile płaciła?... Pani bierze 15 rubli za 8 godzin, ja 15 za cały dzień, a pani przełożona miewała po 300, 500 i 600 rubli miesięcznie na czysto... A dużo napracowała się za to?... Tyle co pani, czy tyle co ja?...

— Ale ona ma pensję" — odpowiada Madzia (I, 217).

„Ale ona ma pensję" — to jedna przesłanka kapitalistycznego wyzysku. Drugą — istnienie rezerwowej armii pracy — odsłania rozmowa pani Latter z profesorem Dębickim, któremu proponuje rubla za godzinę lekcji.

— „Zdaje mi się, że mój poprzednik brał po dwa ruble za godzinę?

— Dziś nie jesteśmy w stanie płacić za te przedmioty więcej niż rubla... Zresztą mamy trzech kandydatów — rzekła pani Latter, patrząc na drzwi.

— To dobrze — odparł gość, zawsze z równym spokojem" (I, 12).

Z drugiej strony właścicielka pensji jest również przedmiotem swoistego „wyzysku" ze strony bogatej żony piwowara. Na swoje usprawiedliwienie formułuje pani Latter jedno z praw kapitalistycznej dżungli: „Wróciła do swego gabinetu i zaczęła chodzić rozdrażniona. Widziała przed sobą szklane oczy profesora, który trzymał wielki palec lewej ręki za klapą surduta i bez protestu zgodził się na zmniejszenie mu dochodów o 24 ruble miesięcznie, a obok — orzechową suknię i lśniące klejnoty damy, która jej urwała 50 rubli na półroczu.

„— Ach, trudno!... — rzekła do siebie. — Kto potrzebuje, ten musi ustępować. Tak było, jest i będzie..." (E, I. 16, 17).

Poszczególne epizody tomu I „Emancypantek" pokazują w sposób bodaj najjaskrawszy w twórczości Prusa, jak ustrój kapitalistyczny dehumanizuje stosunki międzyludzkie, jak degraduje człowieka, zmuszając go do kompromisów i poniżeń. Poza równoległymi rozmowami Latterowej z Dębickim i Korkowiczową należy tu bardzo śmiało potraktowana scena między panią Latter a Zgierskim, w której właścicielka pensji posuwa się daleko w swej kokieterii, ażeby uzyskać odroczenie spłaty długu i dodatkową pożyczkę. Jesteśmy w świecie, w którym rządzą wszechwładnie pieniądze: one decydują o szczęściu, są motorem postępowania, miernikiem uczucia. Wszystkie wartości uległy już skapitalizowaniu, wszystkie, aż do inteligencji i urody, stały się wartościami wymiennymi. Panią Latter zaślepia w stosunku do syna namiętna miłość (ale zważmy: najwyższym sprawdzianem tej miłości jest hojność matki dla Kazimierza i pobłażliwość wobec jego marnotrawstwa). Gdy idzie o córkę jednak, traktuje wydane na nią pieniądze, jako inwestycję kapitału, która winna przynieść wielokrotny zysk w momencie zamążpójścia Heleny. Kiedy małżeństwo jej z Solskim nie dochodzi do skutku, Latterowa uważa to za występek ze strony córki: „To potwór, to... Wychowałam, nie... wypieściłam ją na moją niedolę, okradłam się dla niej z majątku, a ona — jak mi płaci?... Gubi siebie, zakopuje przyszłość brata, a mnie — rzuca pod nogi człowiekowi, którym pogardzam i nienawidzę, jak nikogo na świecie"... (I, 244). I dalej: „A niegodziwa Hela, przeklęta!... Mnie zmusić do spełnienia życzeń pana Lattera, bratu zawiązać przyszłość... Nie, mam tylko jedno dziecko: mego syna... A ty, potworze, zostaniesz guwernantką. I może w najlepszym razie będziesz kiedyś za pieniądze uczyła dzieci tego nędznika Solskiego, które powinny być twoimi dziećmi..." (I, 250—251). Znacznie spokojniej ale podobnie reaguje doktorowa Brzeska na decyzję Madzi, gdy ta nie przyjmuje oświadczyn Krukowskiego. Otoczenie uważa taki stosunek matki do córki za zupełnie normalny. „Ona... — mówi o pani Latterowej Malinowska — zagryza się na śmierć myśląc o jutrze, bo czuje, że jutro — nie dla niej. Ona widzi, że kapitał, który włożyła w wychowanie dzieci, jest zmarnowany" (E, I, 171—172).

Jako transakcję handlową traktuje małżeństwo sama Helena. Zapowiada wprawdzie, że nie potrafi się sprzedać, ale dalszy bieg jej rozumowania jak najbardziej temu przeczy:"... Porozmawiaj z Amerykankami, Szwedkami... tam dopiero kobieta ceni swoją godność!... One zrozumiały, że mężczyzna jest przede wszystkim — łakome zwierzę... Jeżeli więc mam być zjedzona, niech mi zapłacą tyle, ile jest warte moje ciało... Ile zaś jest warte, oni sami ocenią między sobą — zakończyła ze śmiechem" (III, 92).

Pozornie tom I „Emancypantek" dowodzi tylko, że praca zawodowa nie daje kobiecie szczęścia ani nie zabezpiecza samodzielnego bytu, że kobieta jako pracodawca nie jest lepsza od mężczyzny, że jej zajęcia zawodowe odbijają się fatalnie na wychowaniu dzieci. Obraz, który powstał pod piórem Prusa, posiada jednak znaczenie szersze: ukazuje krytycznie wiele istotnych rysów systemu kapitalistycznego. Że nie uległy one tym razem zafałszowaniu — jest zasługą tematu, odległego od terenu burzliwych walk klasowych. Stąd wrażenie jakoby powieść o pani Latter stanowiła znowu krok naprzód po regresie ostatniego tomu „Lalki".

W istocie jednak realizm Prusa stawał się coraz bardziej ograniczony; coraz bardziej ograniczała pole jego zastosowania „cenzura klasowa". Kontynuując naszkicowaną już analogię — można by powiedzieć, że tom II „Emancypantek" to flaubertowski etap twórczości Prusa. Najważniejsze problemy społeczne okresu zostały już poza obrębem tematyki powieściowej; przedmiotem obserwacji staje się pewien, dosyć szeroki zresztą, margines społeczny, a w jego granicach — zjawiska psychologiczno-obyczajowe, zjawiska zanotowane jeszcze wiernie, ale w ujęciu statycznym i w oderwaniu od swych społecznych korzeni.

W tomie II „Emancypantek" Prus atakuje te sfery inteligencji, które pozostały daleko w tyle poza swoimi pozytywistycznymi przywódcami. Za nędzę i ciemnotę, których nie mógł usunąć system kapitalistyczny, odpowiadała w „Lalce" feudalna arystokracja i zacofane mieszczaństwo. „Emancypantki" wystawiają dodatkowy akt oskarżenia pod adresem inteligencji. Jeśli jednak w „Lalce" Prus zdobył się na niezwykle mocny obraz nędzy Powiśla, to w „Emancypantkach" nie doprowadza już do konfrontacji współwinowajców z ofiarami. Zachowała się ona tylko w formie szczątkowej: w króciutkich i bladych w porównaniu z „Lalką" epizodach ze stolarzem i nauczycielem.

Satyrę na zacofanie, inercję i małostkowość inteligencji prowincjonalnej spotykamy już we wczesnych utworach Prusa: „Doktór filozofii na prowincji" (1875) i „Bywa i tak na świecie" (1877); dopiero jednak w tomie II „Emancypantek" została ona szeroko rozprowadzona. Pisarz dostrzegł prawie wszystkie istotne cechy ówczesnej inteligencji, jako warstwy społecznej, cechy najwidoczniejsze zresztą na małomiasteczkowym partykularzu, bo doprowadzone do rozmiarów karykaturalnych. Zobaczymy, jak dalece wyniki obserwacji Prusa znajdują potwierdzenie w uogólnieniach współczesnego socjologa (J. Chałasińskiego).

Przede wszystkim uwydatnia Prus gettowy charakter skupiska inteligenckiego, które całkowicie odgradza się od reszty ludności miejskiej. Proboszcz, lekarz, podsędek, aptekarz żyją w zamkniętym kręgu, którego nie śmie przejść nikt z zewnątrz, spośród „gminu". Panna podsędkówna jest istotą nieosiągalną dla sekretarza pocztowego, choć ten pochodzi z zamożnej rodziny. Towarzystwo aktorów mogłoby skompromitować nawet osobę tak dostojną, jak siostra pana Krukowskiego. Zachowaniu tego przedziału społecznego służy powszechnie uznany fetysz dobrych manier, kultury towarzyskiej, ceremoniału towarzyskiego. Gaffy Miętlewicza w zakresie savoir vivre'u utrzymują dystans między zaradnym dorobkiewiczem a inteligencją Iksinowa.

Dla inteligencji tej, pochodzącej ze zdeklasowanych elementów szlachecko-ziemiańskich ideał życia stanowi nadal arystokracja rodowo-majątkowa. Kult arystokracji (pokazany przez Prusa w epizodzie z koncertem, kiedy inteligencja styka się bezpośrednio z „jaśnie wielmożnymi"), nadawał trwałość obyczajowemu wzorowi człowieka, który nie potrzebuje pracować. „Ja także chciałam pracować na siebie, nawet nauczyłam się haftu — mówi panna Eufemia. — Ale cóż z tego?... Kiedy powiedziałam, że będą sprzedawać moje hafty, mama dostała spazmów!..." (II, 47). Praca fizyczna automatycznie degraduje człowieka w hierarchii społecznej:" — Zlituj się — mówiła panna Eufemia, zniżając głos. — Przecie u nas jest nauczyciel elementarny i wiesz, że jego żona... sama piele w ogrodzie i... pierze bieliznę!...

— Więc cóż z tego?

— Więc... pracuje jak sługa i nikt z towarzystwa nie żyje z nią". (E, II, 46).

Przy całkowitej nieproduktywności getta inteligenckiego charakterystyczny jest przerost życia towarzyskiego. Przyczyny tego zjawiska wyjaśnia Chałasiński: „Uciekinierzy dworu ziemiańskiego w mieście garnęli się ku sobie, trzymali razem, tworząc odrębne skupienia ludności miejskiej — społeczno-towarzyskie getto. Więź społeczną tych skupień stanowiły przede wszystkim stosunki towarzyskie. Na podłożu stosunków w obrębie „dobrego towarzystwa" dawni rezydenci dworu ziemiańskiego mobilizowali się „duchowo" dla samoobrony. W mieście stosunki towarzyskie pozostały główną podstawą grupowej łączności inteligencji; znaleźć się poza sferą stosunków towarzyskich znaczyło odpaść od swoich, pozostać samemu, albo stoczyć się do niższych warstw społecznych. „Salonik" to był podstawowy element inteligenckiego domu w mieście z przed pierwszej wojny światowej." (Cała akcja tomu II „Lalki" rozgrywa się w ramach wzajemnych wizyt i towarzyskich spacerów; stąd dialog staje się podstawowym elementem struktury językowej powieści.) „Stosunki towarzyskie mają jeszcze inne znaczenie dla getta inteligenckiego. Ludzie getta to są ludzie bezprodukcyjni i jałowi, a równocześnie posiadający poczucie wielkości; nie wytwarzają nic, co by im dawało *obiektywne sprawdziany* własnej wartości i wielkości. Stąd ustawiczna potrzeba dowodów uznania... Człowiek getta inteligenckiego sam potrzebuje komplementów i tak samo odczuwa potrzebę prawienia komplementów... Ale równocześnie odczuwa potrzebę prawienia komplementów zarówno dlatego, że pragnie być w zgodzie ze zwyczajem, jak i dlatego, że ten zwyczaj prawienia komplementów pozwala mu ukryć swoją *nieżyczliwość* dla ludzi i *brak sympatii* (por. w „Emancypantkach" słowa i myśli doktorowej Brzeskiej w rozmowie z podsędkową, II, 17—18). „Bo inteligenckie getto, jak każde getto, to jest kłębowisko jadowitych żmij, w którym amatorskim kunsztem jest robienie intryg, a do najprzyjemniejszych i najpospolitszych społecznych uczuć należy cicha, solidarna radość zkompromitowania się bliźnich." (por. charakterystyczne tytuły rozdziałów: „Echa koncertu", „Echo przechadzek po cmentarzu". Podsędkowa mówi w pewnym miejscu: „Ale tu jest takie liche towarzystwo... Rejentowa nie może żyć bez plotek i nawet wówczas, gdy milczy, jeszcze robi plotki... A ta aptekarzowa, cóż to za obłudnica! ...Kiedy całuje mnie, mam uczucie, jak bym dotknęła węża..." II. 173). „Ludzie getta nie lubią jawnego oburzenia moralnego, tym mniej otwartego potępienia, nie z obawy przed popełnieniem błędów, ale przed — *skandalem*. Intryga to żywioł tego środowiska. Tę psychologię getta utrzymuje w ryzach obowiązująca naczelna zasada dobrego wychowania — *konformizmu, poprawności*, „nie wypada!"[5]) (Panna Eufemia na propozycję założenia szkoły elementarnej odpowiada: „ — Moja droga... moja Madzio — ale ...co świat o tym powie?... — II, 48).

Kiedy w tomie III „Emancypantek" akcja przenosi się w środowisko burżuazyjne (dom Korkowiczów) i arystokratyczne (Solscy) realizm Prusa występuje już w postaci wyraźnie zdegenerowanej, skarlałej. W polu uwagi pisarza znajduje się sfera życia prywatnego postaci a przy tym sfera ta jest całkowicie odizolowana od ich bytu społecznego[6]). Nie zobaczymy ani razu Korkowicza w browarze ani Solskiego na budującej się cukrowni. „W „Lalce" ścierają się z sobą nie tylko ludzie lecz całe warstwy i prądy społeczne; w „Emancypantkach" kolizje dramatyczne wynikają głównie ze stosunków czysto indywidualnych lub rodzinnych" — zauważył już Ignacy Matuszewski[7]). Kiedy sprawa małżeństwa Wokulskiego z Izabelą była na ogół wykładnikiem pewnych procesów społecznych, ewentualna kariera Madzi jako żony Solskiego to tylko drobnomieszczański wzór awansu społecznego w warunkach pełnego rozwoju kapitalizmu. Madzia Brzeska w salonach Solskiego to pierwowzór „Trędowatej". (Rzecz charakterystyczna, że kilkakrotnie wspomina się o pochodzeniu Madzi ze starożytnego rodu Strusiów). Nie funkcja społeczna jednostki, lecz cechy charakteru mierzone według „ogólno-ludzkich" kryteriów moralnych — decydują o ocenie postaci. Piwowar Korkowicz to tylko nieokrzesany i prostoduszny, ale poczciwy do gruntu sangwinik. O domu Solskich pomyśli wprawdzie Madzia, że „tu nikt nic nie zmienia, nie tworzy, nie porusza, tylko wszyscy pilnują raz ustalonego porządku, w którym dwie szlachetne dusze: Ady i Solskiego, konserwują się jak przedpotopowe motyle w odłamie bursztynu. Cała ich służba, z której każdy człowiek żyje pełnym indywidualnym życiem, cała ta służba pracuje tylko w jednym kierunku: ażeby ich panowie nie żyli, a nawet nie pomyśleli o tym, że jest jakieś życie trosk i radości, trudów i odpoczynków, walk, niepowodzeń i triumfów (III, 155). Ale dopiero po zerwaniu z Solskimi Madzia zrozumiała, że „był to świat, w którym nie istniały materialne interesa. Tam po raz pierwszy spotkała ludzi poważnie zajmujących się kwestiami społecznymi, zagadnieniami ducha i natury. Tam znalazła serdeczną przyjaciółkę w kobiecie i mężczyźnie, który lubił ją naprawdę bezinteresownie" (E, IV, 136). Sam Prus wprawdzie akcentuje społeczną nieproduktywność Solskiego, ale na ogół jest iście po drobnomieszczańsku zafascynowany fortuną, potęgą, władczą energią wielkiego pana.

Zanik, względnie zatarcie momentów krytycznych wobec arystokracji i burżuazji tłumaczy się zarówno zacieśnieniem ich sojuszu, jak i takim wzrostem napięć społecznych, który przed pisarzem mieszczańskim stawia zadania *bezpośredniej* obrony klas posiadających i ideologicznych uzasadnień ustroju kapitalistycznego. „Emancypantki" są pierwszym utworem Prusa spełniającym tę nową funkcję.

Wydaje się, że w pierwotnej koncepcji narzędziem kompromitacji nowych ruchów społecznych była postać Kazimierza Norskiego. Krańcowy egoista, uwodziciel i oszust, pozbawiony wszelkich skrupułów moralnych, początkowo miał być nie tylko rzecznikiem światopoglądu materialistycznego. W tekście powieści są pewne aluzje, z których wynika, że Norski miał łączyć rolę żądnego użycia egoisty z rolą demagoga, który szerzy zamęt ideowy i ferment społeczny wśród mas ludowych, z myślą o karierze osobistej. „A ile razy ogarnia mnie wstyd, że znajduję się w towarzystwie tej młodzieży utracjuszowskiej, zniszczonej, nie mającej poczucia żadnej wielkiej idei... Ale muszę!... Szczęśliwym będę dopiero wówczas, kiedy jako przedstawiciel mas rzucę im w oczy..." — mówi Kazimierz do matki (1, 25). Kiedy indziej Helena wspomina: „Ach, gdyby nareszcie przyszedł ten przewrót społeczny, o którym ciągle słyszę od Kazia..." (I, 85). Ale czytelnik powieści nie słyszy — sprawa ta wraca raz jeszcze tylko w tomie III powieści, gdy Kazimierz spowiada się przed Madzią i wspomina o swojej nieudanej roli „trybuna" wśród „sankiulotów".

Motywu tego Prus więc nie rozwinął; przemilczał i zamazywał społeczne aspekty życia swych bohaterów, na paszkwil nie potrafił się jednak zdobyć. Bezpośrednią apologię ustroju kapitalistycznego mógł przeprowadzić tylko przez publicystykę; w tej dziedzinie „papier był cierpliwy": nie stawał między nim a postulowaną ideologią oporny materiał rzeczywistych postaci i sytuacji. Dlatego w IV tomie powieści rozrasta się tak materiał publicystyczny. Łatwo było włożyć w usta profesora Dębickiego optymistyczne wywody: „Teraźniejsze fabryki są jeszcze bardzo niskimi organizacjami. Czy jednak nie sądzisz, że dzisiejsze zamęty w świecie pracy może nie istniałyby, gdyby w fabrykach tętniło żywe uczucie? Gdyby smutek spotykający jednego pracownika udzielał się innym; gdyby kierownicy troszczyli się o usuwanie przykrości a nasuwanie przyjemności wykonawcom? Żyjemy zresztą w epoce, kiedy w fabrykach zaczyna kiełkować ów uczuciowy element. Bo czymże innym wytłumaczysz szpitale, szkółki, i ochrony dla dzieci, doroczne i tygodniowe zabawy, kasy zapomóg, nawet orkiestry?... — Żadne z tych urządzeń nie pomnoży ilości wydobytego cukru ani powiększy dywidendy; do czegóż więc je odnieść, jeżeli nie — do budzącego się uczucia w tym zbiorowym duchu, który unosi się nad robotnikami i machinami?" (IV. 36).

Na pokazanie jednak takiej fabryki w swojej powieści Prus się nie zdecydował: cukrownia Solskiego pozostała w sferze projektów.

Główny atak wymierzony został w „Emancypantkach" przeciw materializmowi filozoficznemu (zresztą w jego wulgarnej odmianie) z pozycji otwarcie fideistycznych. Analiza „nawrócenia Bolesława Prusa" nie należy do niniejszej pracy; wystarczy nadmienić, że jest to symptom powszechnego nawrotu myśli burżuazyjnej do idealizmu i fideizmu, których społeczny sens był korzystniejszy dla aktualnych potrzeb klas panujących. W „Emancypantkach" Prus usiłował materializm zdyskwalifikować — przez psychiczne załamanie się materialisty Zdzisława w obliczu śmierci, skompromitować — przez powiązanie w postaci Kazimierza światopoglądu materialistycznego z prymitywną filozofią egoizmu i użycia, obalić — przez kilkudziesięcio stronicowe wywody fideisty Dębickiego i cytaty z Tomasza a Kempis. Jedne i drugie głosiły jakiś metafizyczny optymizm; nie potrafił jednak pisarz tchnąć tego optymizmu nawet w zubożoną przez tyle ograniczeń i zniekształconą przez tyle zafałszowań rzeczywistość powieściową.

W postaci Madzi Brzeskiej ten właśnie konflikt między pisarzem-realistą, a silącym się na optymizm ideologiem jest szczególnie widoczny. Ideolog tworzy postać dodatniej bohaterki, ale realista musi ją zinfantylizować, gdyż tylko pozostając w dziecięcej naiwności, może ona uniknąć moralnego skażenia; ideolog pokazuje wzór człowieka, „geniusza uczucia", realista musi stwierdzić, że po pierwsze postać Madzi stanowi wśród otoczenia odosobniony wyjątek, po drugie, wysiłki jej idą na marne albo wywołują skutki wręcz przeciwne jej intencjom. Dla takiego połowicznego realizmu powieści charakterystyczne jest jej zakończenie: każące Madzi pójść do klasztoru. Prus daje w pewnej mierze świadectwo jej ostatecznej klęsce życiowej, ale zarazem stawia znak zapytania nad jej dalszymi losami i uchyla się w ten sposób od rozwiązania zadzierzgniętych konfliktów.

*) Z rozprawy pt. „Realizm krytyczny Bolesława Prusa", która ukaże się w „Studiach z historii literatury polskiej okresu pozytywizmu", opracowanych w Instytucie Badań Literackich.

PRZYPISY.

1) Por. M. Mazowiecki (L. Kulczycki), „Historia ruchu socjalistycznego w zaborze rosyjskim", Kraków, 1903, str 227. T. Daniszewski, „1 maja 60 lat święta międzynarodowej solidarności", Warszawa, 1950, str. 16 i nl.

2) P. Chmielowski. „Nasi powieściopisarze", seria II, Warszawa — Kraków, 1895, str. 397—398

3) W powieści dość często mowa o trudnościach w uzyskaniu pracy, nawet dla sił kwalifikowanych. W związku z tym przecież ważną rolę odgrywają w powieści starania Madzi o posadę dla jej znajomych w projektowanej cukrowni Solskiego. Nie bardzo to odpowiada bujnemu rozwojowi gospodarczemu Królestwa w latach siedemdziesiątych, raczej — przesileniu ekonomicznemu po r. 1890.

4) To samo zjawisko na niższym szczeblu majątkowym przedstawił Prus w tomie IV powieści, w opisie pensjonatu p. Burakowskiej.

5) J. Chałasiński: „Społeczna genealogia inteligencji polskiej", 1946, str 37—39.

6) Historyk czy socjolog rozpatrując „Emancypantki" jako dokument a nie utwór literacki, doszukałby się w powieści oczywiście poszczególnych interesujących świadectw i informacji, jak próby uprzemysłowienia wielkich gospodarstw obszarniczych (cukrownia Solskiego), zacieranie się — przy pośrednictwie inteligencji — granic społecznych i towarzyskich między arystokracją a burżuazją (rola Madzi i Norskiego jako łączników między Korkowiczami a Solskimi, małżeństwa Kazimierza Norskiego z Adą Solską, Heleny Norskiej z młodym Korkowiczem), rola inteligencji jako satelity arystokracji (stosunek dra Kotowskiego do Solskiego), ale ogólnej oceny to nie zmienia.

7) I. Matuszewski, „Swoi i obcy", Warszawa, 1898, str. 37.

ZBIGNIEW OŁANIECKI

Sprawa filmu rysunkowego

Z dużą dozą słuszności można by stwierdzić, że film rysunkowy jest ojcem dzisiejszego filmu. Pierwsze ożywione na ekranie obrazy były to przecież rysunki, a nie fotografie. Ten bardzo wczesny etap rozwoju filmu miał swoje duże osiągnięcia (warto wspomnieć choćby mrówczą pracę Pawła Reynaud, tworzącego swoje kilkuminutowe filmy w najbardziej prymitywnych warunkach, ręcznie malującego rysunek za rysunkiem).

Wynalazek fotografii na długie lata zahamował rozwój filmu rysunkowego. W masowej skali odrodził się on w Stanach Zjednoczonych. Tradycje obrazkowych historyjek (cartoons, comics) ożyły na ekranie.

Rozwój kreskówek amerykańskich poszedł po linii wykorzystania niezliczonych możliwości komicznych, które zawierał w sobie ożywiony rysunek. Rozwój ten ograniczył się jednakże do wyszukiwania coraz to nowych dowcipów i gagów — treść filmów stawała się coraz bardziej płaska, coraz mniej ważna. Doskonałość techniczna, komercjalne podejście do pracy i brak inicjatywy twórczej zmechanizowały formę i wyjałowiły treść rysunkowych filmów amerykańskich.

Zakończył się rozwój — rozpoczął się upadek.

Źródłem postępującego naprzód z zastraszającą szybkością procesu denegeracji filmu rysunkowego USA jest samo amerykańskie życie, które odbija się w tych filmach w sposób specyficzny. Filmy te wyrażają jednak dokładnie mieszczański świat, dla którego i w którym powstają.

Eksperymenty, które miały odświeżyć filmy rysunkowe jednego z czołowych twórców amerykańskich, Disneya (wprowadzenie żywych aktorów, abstrakcjonizm), pogrążyły je ostatecznie.

Dzisiaj amerykański film rysunkowy poza opracowaniem technicznym nie odznacza się niczym godnym uwagi, nie reprezentuje żadnych wartości artystycznych, a więc tym bardziej pozytywnych ideologicznych.

Traktowanie filmów rysunkowych wyłącznie jako rozrywki jest niesłuszne. Jak wszędzie, tak i tutaj odbija się rzeczywistość, w której te filmy powstają.

Jeden z pomniejszych twórców amerykańskich stworzył film p.t. „Kto rano wstaje", eksploatowany zresztą już po wojnie na naszych ekranach, a dzięki swej typowości będący wdzięcznym obiektem do analizy ideologicznych, burżuazyjnych treści, które zawiera i on i setki podobnych filmów.

Treścią „Kto rano wstaje" są zabawne przygody robaka, ptaka i kota. Ptak pragnie pożreć robaka, robak udaje się pod opiekę kota, który z kolei ma apetyt na ptaka. Odbywa się szalona gonitwa ptaka za robakiem, przerywana interwencją kota. W zakończeniu filmu ptak zjada robaka, po czym kot zjada ptaka i wygłasza filozoficzną sentencję: „Smutne, nieprawdaż?"

Naga treść filmu, odarta z wesołej muzyki, barwy, dowcipnego rysunku i mnóstwo gagów wyraźnie mówi o idei filmu. Walczący amerykanizm ujawnia się we wszystkich typowych schematach kreskówek: gonitwa silniejszego za słabszym zawsze kończy się zwycięstwem silniejszego — a poczciwy, pokorny kaczor Donald, bez miary dręczony przez trójkę złośliwych siostrzeńców, cierpi bardzo śmiesznie i... znosi te cierpienia.

Oto wypowiedziane w bardzo żartobliwej formie, ale na poważnie propagowane ideały amerykanizmu, głoszącego konieczność zwycięstwa siły i życiowego sprytu, swoistego „made in USA" cwaniactwa i brutalności.

Nie wszystkie zresztą filmy rysunkowe przemawiają w sposób tak zamaskowany.

Wesołe i sławne disneyowskie „Trzy świnki" miały wyraźny sens polityczny — w obliczu kryzysu śpiewały o tym, że nie boją się złego wilka, i to nieuzasadnione, a nawet zakłamane, ukryte w bajkowej formie wezwanie dotarło do milionów ludzi, by ich uśpić choć na chwilę.

Gdy USA potrzebny był przyjazny stosunek Ameryki Południowej, do zwierzyńca Disneya przybyła przemiła i wesołutka brazylijska papuga.

Ruchliwa myszka Mickey i jej weseli kompani długo z ekranów głosili filozofię wesołego i łatwego życia, wielobarwnej radości, u której źródła leży mieszczański ideał silnego i bezkompromisowego pana na dolarze.

Coraz szybciej traci zwolenników taka filozofia, gwałtownie tracą adresatów takie filmy. I dobrze się dzieje, że nie docierają na naszę ekrany.

Nie ma czego żałować ani — myszki Mickey, ani jej twórcy. Pozostało im wygłaszanie do mikrofonu oskarżeń w imieniu Komisji do Badania Działalności Antyamerykańskiej. Tak kończy się logiczna i konsekwentna droga rozwoju ożywionego „Comicsa".

* * *

Realizatorzy radzieckich filmów rysunkowych zajęli zupełnie inną pozycję. Stanęli oni na stanowisku, że nieodłączny od ruchomego rysunku element fantastyki i groteski najsilniej przemawia do wyobraźni najmłodszego widza — do dziecka. Dlatego też wszystkie radzieckie filmy rysunkowe są konsekwentnie adresowane do dzieci — co wpływa oczywiście i na wybór samego tematu i na jego opracowanie dramaturgiczne i plastyczne.

Zamierzone oddziaływanie tych filmów na młodego widza realizuje się w doborze tematów przede wszystkim dzięki podchwycaniu i wykorzystywaniu żądań widzów-dzieci. Przykładowo: pełnometrażowa bajka „Konik Garbusek", bajka „Czarodziejska torba", opowiadanie „Mali ogrodnicy", opowiadanie „Mistrz narciarski", czy adaptacja filmowa wiersza W. Majakowskiego „Kim zostanę".

Wachlarz tematów jest szeroki — od typowych bajek, poprzez opowiadania, których bohaterami są dzieci i zwierzęta, aż do udanych eksperymentów adaptacji znanych dzieł literatury dziecięcej.

Wszystkie te filmy łączy zamierzona i ściśle przestrzegana prostota wykonania: żadnych niezrozumiałych dla dzieci abstrakcyjnych dowcipów i gagów, żadnych niecelowych wynaturzeń w rysunku, krótka i zrozumiała a interesująca intryga.

Nie oznacza to oczywiście rezygnacji ani z dramatyczności czy komizmu filmu, ani z możliwości wykorzystania celnej karykatury w rysunku.

Zasadniczą cechą wyróżniająca radzieckie filmy rysunkowe i zdobywającą sobie wdzięczną dziecięcą publiczność jest ich nowe podejście do tematyki, bardzo bliskie życiu dziecka.

Filmy radzieckie szeroko korzystają z tematyki ludowej, transponując legendy i baśnie na ekran. Element ludowości można zaobserwować także w samej technice i wyrazie rysunku (np. w dagestańskim filmie „Słoń i mrówka").

Choć nie wszystkie radzieckie filmy rysunkowe doszły do technicznej doskonałości, spełniają dobrze swą rolę pedagogiczną. Spotkanie bajki z rzeczywistością wyznaczyło tym filmom konkretny pedagogiczny cel, któremu służą bez zastrzeżeń. Nie przestają przez to być miłą rozrywką i to zarówno dla dzieci, jak i dla widzów dorosłych. Nowa jest natomiast treść rozrywki. Ożywiony rysunek nie istnieje już sam dla siebie, a jest nosicielem i wyrazicielem konkretnych społecznych problemów, które w wesołej, rozrywkowej formie słusznie rozstrzyga.

* * *

Czechosłowacki film rysunkowy rozwinął się już po wojnie. Bazą jego rozwoju stało się zupełne zerwanie z przestarzałymi schematami rysunkowymi filmów amerykańskich, zupełne odnowienie plastycznej formy filmu, co wpłynęło ożywczo, choć nie we wszystkich wypadkach, również na odnowienie treści czeskich filmów rysunkowych.

Rozwój tej gałęzi kinematografii czechosłowackiej kształtuje się zresztą w sposób dość typowy dla filmu rysunkowego w ogóle, w sensie doboru tematyki, jej ważności, i jej funkcji.

Są trzy wyraźne kierunki rozwoju.

Pierwszy z nich reprezentuje stare, zamerykanizowane (jeśli można tak powiedzieć) tendencje filmu rysunkowego. Abstrakcyjny dowcip, służący wyłącznie rozrywce, znajduje tu wprawdzie ucieleśnienie w nowej, interesującej szacie plastycznej filmu, sens filmu jednakże nie staje się przez to odnowiony do gruntu (przykład jednego z takich filmów: dowcipny ale solidarystyczny ideowo „Anielski strój").

Drugi kierunek rozwojowy to filmy o wyraźnej tendencji pedagogicznej, wzorowane na szkole radzieckiej i wyróżniające się także nową szatą plastyczną („Lenora" według bajki K. Czukowskiego).

Nowa szata plastyczna jest interesującą stroną realizacyjną również kreskówek trzeciego typu, które próbują oświetlać i rozwiązywać problemy polityczne dużej wagi satyrycznie, za pomocą dowcipu ryrunkowego. Pionierem w tej dziedzinie był sławny dziś już film „Atom na rozdrożu".

Czeskie filmy rysunkowe nie odnalazły jeszcze całkowicie konsekwentnej linii, po której powinny się rozwijać, choć mają niewątpliwie wiele pozytywnych osiągnięć o dużym ciężarze gatunkowym.

Rozwój pokrewnej dziedziny filmu czechosłowackiego — filmu kukiełkowego świadczy jednak, że taką linię można znaleźć i pozwala mniemać jednocześnie, że znajdzie ją także czechosłowacki film rysunkowy, szukający do dziś dnia.

* * *

Widzowie polscy oglądają już dawno na ekranach kin kreskówki radzieckie, ostatnio zaś w ramach Dni Filmu Czechosłowackiego zobaczyli także kreskówki czechosłowackie.

Natomiast bardzo smutno jest pisać o polskim filmie rysunkowym. Przedwojenne nasze kreskówki, nieliczne i bardzo naiwne, służyły reklamie większych i mniejszych kupców i przemysłowców. Po wojnie sytuacja zmieniła się, przystąpiono do eksperymentów nad nowym polskim filmem rysunkowym. Jednakże ani ośrodek katowicko-bielski, ani łódzki nie okazały się jak dotychczas na właściwym poziomie.

Widzowie, poza krótką wstawką do jednego z wydań kroniki („Taniec marynarza"), nie zobaczyli do dziś dnia na ekranach niczego w skończonej postaci. Czy zabrakło myśli twórczej, czy zmysłu organizacyjnego, czy artystów-plastyków, czy funduszów, czy wszystkich tych czynników razem wziętych — trudno tu rozstrzygać, zresztą nie jest to potrzebne. Wydaje się natomiast rzeczą ważną i konieczną radykalna zmiana istniejącej sytucji.

Jeśli nie stać nas na rzeczy wielkie (mówiąc w skali dziesięciominutowego filmu rysunkowego) — powinniśmy zaczynać od rzeczy małych.

Wiele w sensie teoretycznym i praktycznym możemy nauczyć się od realizatorów radzieckich i czeskich.

Tańczący marynarz, wdzięcznie żonglujący własną głową — to była zabawka dowodząca „otrzaskania się" twórców polskich z techniką filmu rysunkowego. A gdyby tak w Kronice Filmowej znalazło się miejsce na kilkunastosekundowy satyryczny dowcip rysunkowy? Z takim pomysłem nosi się Eryk Lipiński i Jan Lenica.

Celna i aktualna satyra polityczna jest zawsze potrzebna, eksperymentów w tej dziedzinie jest zawsze za mało. Wydaje się rzeczą słuszną, by kompetentne do tego w „Filmie Polskim" czynniki bliżej rozpatrzyły interesujący projekt tych dwu rysowników. Będzie dużą przyjemnością i dużym pożytkiem dla polskiego widza oglądanie na ekranie ruchomych rysunków satyrycznych Lipińskiego i Lenicy. Wykonanie tego projektu w formie choćby jedno — czy kilkakrotnej próby nie jest wielkim wydatkiem, a przynieść może nieproporcjonalnie duże w stosunku do swych kosztów korzyści.

Polski film rysunkowy, o którego istnieniu wiedzą tylko wtajemniczeni, a którego nie zna publiczność, ma możność narodzić się na ekranach w prostej, małej, a bardzo potrzebnej formie. Dalszy rozwój tej małej formy stałby się wtedy sprawą czasu i doświadczenia.

Zbigniew Ołaniecki

„Konik Garbusek" pełnometrażowy radziecki film rysunkowy zrealizowany w/g znanej opowieści B. Jerszowa

„Lis i dzbanek" — czeski kolorowy film rysunkowy.

Stolik montażysty filmowego

DWA ŚWIATY

„Uroczyste otwarcie XXIII Targów Poznańskich. Wielki przegląd rozwoju Polski, krajów demokracji ludowych oraz Z.S.R.R. W walce o Pokój", „Prezydent Bierut jako pierwszy obywatel Polski podpisuje apel pokoju", „Odbudowa Warszawy", „Stocznia w Gdańsku spuściła na wodę piąty rudowęglowiec", „Zobowiązania długofalowe polskich włókniarzy i włókniarek"... a w dziale „Z całego świata": „Występy baletu gruzińskiego w Moskwie", „Produkcja traktorów w Z.S.R.R.", „Czechosłowacki przemysł w służbie pokoju".

Oto wybrane bez żadnego trudu — bez selekcji, bez wyszukiwania — tematy tak dobrze znanej wszystkim w Polsce Kroniki Filmowej.

Jesteśmy głęboko pochłonięci walką o pokój. Każdy z nas na swoim odcinku pracuje dla pokoju, każdy z nas chce brać udział w pokojowej rozbudowie własnego kraju i współpracy między narodami.

Lecz tu i ówdzie słyszałem (w kinie i poza kinem) uwagi, pytania, żale: dlaczego w P.K.F. nie pokazują nam nic z zachodu, czy tam się NIC NIE DZIEJE?

Owszem, dzieje się... ale P.K.F. może wyświetlać na ekranie tylko te fakty i wydarzenia z zagranicy, które zostały sfilmowane i dostarczone drogą wymiany przez firmy zagraniczne, posiadające monopol na aktualności.

Zobaczmy, jak aktualności TAM wyglądają.

Tygodnik „Paramount": Truman podpisuje kredyty wojskowe dla uczestników paktu atlantyckiego; wyładowanie amerykańskiej broni w Breście; lotnictwo brytyjskie bombarduje buntowników na Malajach; komuniści zagrażają Berlinowi; gadający pies; cesarz japoński pozdrawiany przez tłumy.

„News of the day": Policja paryska rozpędza tłumy demonstrantów; amerykańskie okręty wojenne manewrują w pobliżu Australii; Hiszpania (?) obchodzi uroczyście dzień zakończenia wojny; brytyjska misja wojskowa w Indonezji; próba nowych samolotów rakietowych do przewozu bomby atomowej; haska konferencja wojskowa ministrów spraw zagranicznych.

„Universal News": pucz komunistyczny w Paryżu; umocnienie pozycji Adenauera po berlińskim wystąpieniu; pakt atlantycki; połączone manewry floty brytyjsko-holendersko-francuskiej w zatoce Biskajskiej; Hawaje przygotowują się do wstąpienia do Stanów Zjednoczonych jako 49 stan; tajemnica latających talerzy.

„Warner Pathe News": bojówka komunistyczna na ulicach Paryża; lotnictwo brytyjskie bombarduje Malaje; Francja wzmacnia wojska kolonialne; super-fortece amerykańskie lądują w Wielkiej Brytanii; cyrk w mieście; laboratoria chemiczne marynarki wojennej.

„Telenews": święto zwycięstwa (?) w Hiszpanii; cesarz japoński pozdrawiany przez tłumy; Hawaje 49 stanem; Truman podpisuje nowe kredyty; gadający pies.

„Movietone news": samoloty amerykańskie lądują w Wielkiej Brytanii; komuniści w Paryżu; cyrk, gadający... Truman, Malaje, Hawaje, bomby, itd. itd. itd.

Film jest nie tylko odbiciem nastrojów państw, krajów, narodów, jest przede wszystkim twórcą tych nastrojów, największym wychowawcą mas.

Z tego zestawienia wynika jasno kto i jak wychowuje społeczeństwa. P.K.F. nie chce tych wycinków i odrzuca wszelkie zakusy przeniknięcia na nasze ekrany wściekłego ujadania amerykańskich podżegaczy wojennych.

Nasza kronika tygodniowa przemawia i będzie przemawiać głosem pokoju.

Puk.

JANINA PREGER

Nowe przekłady klasyków literatury czeskiej

Z zadowoleniem powitać należy fakt, że na rynku księgarskim ukazało się ostatnio kilka przekładów ze starszej literatury czeskiej. W ten sposób wypełniona zostanie niebawem żenująca luka w naszej wiedzy o bogatej i ciekawej kulturze naszych sąsiadów. O prozie czeskiej zeszłego stulecia naprawdę niewiele mogło się społeczeństwo dowiedzieć w Polsce przedwojennej. Przedsięwzięte obecnie przez nasze wydawnictwa przekłady z klasyków prozy czeskiej dają już jakieś systematyczne informacje z tej dziedziny.

Stara, miła powieść Karoliny Svetli „Dzwoneczkowa Królewna" (przekład Zdzisława Hierowskiego), jest do dziś dobrą, popularną lekturą. Jest to nietylko „prawdziwy romans" o zajmującej akcji. Książkę starej pisarki cechuje ponadto mocny nurt ideowy, pionierska postawa działacza oświatowego, który piórem walczy o swoje najgłębsze przekonania ,o dobro człowieka i godność ludzką, o sprawę ludu. Postępowa i romantyczna książka Svetli ma za temat walkę rewolucyjnych prądów społecznych w Czechach końca osiemnastego wieku, w Czechach współczesnych Wielkiej Rewolucji Francuskiej — walkę toczoną ze wstecznymi siłami absolutyzmu i klerykalizmu, Habsburgów i Jezuitów.

Jak wiadomo z historii Czech — jedynie masa ludowa w ciągu długowiekowej niewoli zachowała poczucie narodowe, nieposkromionego ducha walki i nieugięty kark oraz żywą pamięć o „kacerzach", bohaterach sprawy narodowej i sprawy ludu, szlachta natomiast uległa wynarodowieniu widząc swój interes we współdziałaniu z obcą siłą, która gniotła naród czeski, czeskie wyznanie narodowe i przeciwdziałała dążeniu do wyzwolenia chłopów z ucisku poddaństwa. O sprawach tych żywo, barwnie, z siłą uczucia pisze w swej powieści Karolina Svetla dając plastyczny obraz pejzażu starej Pragi i obyczajów epoki. Oczywiście romantyczny styl, nacechowany pewną egzaltacją nie pozwala autorce na pełny obiektywizm i realizm w odtworzeniu rzeczywistości. Na rachunek zmierzchłego czasu zapisać należy wiele naiwności i uproszczeń, jak to, że sztucznie zawikłany romans jest ważniejszy od sprawy politycznej; że bohaterami romansu i walki politycznej są osoby ze środowiska „wielkoświatowego", a lud pozostaje tylko tłem, podawanym pośrednio, w werbalnej relacji autorki — jakkolwiek tłem o dużej wymowie emocjonalnej. Naiwność psychologii, melodramatyczne kontrasty i skróty w rysunku postaci nie rażą jednak dzisiejszego czytelnika, gdyż jest w nich wdzięk staroświeckiego romansu. W obrazie typów ludzkich zostaje zachowana zasadnicza prawda historyczna i społeczna. Talent pisarski potrafi nadać dużo siły dramatycznej konfliktowi i romansowi czeskiego działacza rewolucyjnego i mieszczańskiej panny, będącej narzędziem w ręku polityki jezuickiej. Ta powieść z ubiegłego stulecia niekiedy naiwna, niekiedy porywająca, nacechowana ostrością widzenia konfliktów politycznych, od dobrej strony pokazuje nam dawną prozę czeską i dowodzi jej nieprzedawnionej do dziś wartości, jako lektury żywej, pożytecznej i popularnej.

Druga historyczna powieść czeska, to „Skalakowie" Alojzego Jiraska (przekład Wacława Madejskiego). W przeciwieństwie do lirycznej, egzaltowanej narracji Karoliny Svetli realista Jirasek przedstawia w swojej książce świat trójwymiarowy i doskonale zobiektywizowany, choć i tu żywa, sensacyjna akcja powieści pełna jest niespodzianek i cudownych zbiegów okoliczności, wyskakujących jak deus ex machina, a postaci są tworzone według staroświeckiego, nieskomplikowanego szablonu psychologicznego. Budzą one przy tym u czytelnika niezawodną sympatię. Wychowawcza wartość książki jest bardzo duża. Akcja powieści toczy się w wieku osiemnastym. Tematem jest życie pańszczyźnianych chłopów czeskich, walczących z panami feudalnymi o swój byt i prawa ludzkie. Na tym tle rozgrywa się historia miłości sieroty Liduszki i syna zbiegłych chłopów Jerzyka, bohaterskiego obrońcy sprawy gnębionej biedoty wiejskiej. Postaci chłopów są u Jiraska pełne prawdy historycznej. Są to ludzie twardzi i uparci, prześladowani lecz świadomi swojej sprawy i wytrwali w walce. Jirasek umie postaci te zróżnicować, ukazując obok żywych w rodzie Skalaków i w innych rodzinach tradycji rewolucyjnych również oportunizm ludzi złamanych, biernych, uległych. Wśród ciemiężonej przez niemieckich feudałów masy chłopskiej przeważa jednak duch walki rewolucyjnej i narodowej a ich oporu nie łamią okrutne prześladowania. Niegasnąca tradycja walki jest rękojmią przyszłego zwycięstwa ludu i to jest akcentem dominującym w powieści, pełnej rzetelnej prawdy historycznej i wartej poznania.

Mniej ciekawie, biorąc rzecz z tego punktu widzenia, przedstawia się druga powieść Jiraska „Uroki świata" (przekład Zdzisława Hierowskiego). Akcja książki rozgrywa się na tle „uroków" Kongresu Wiedeńskiego, na pierwszy plan wysuwają się poszukiwania „miłości prawdziwej" przez pewną nieszczęśliwą w małżeństwie hrabinę oraz budujący i tkliwy romans ubogiego czeskiego muzyka ze szlachetną polską panienką, córką chrzestną wdzięcznie wspominanej „pięknej Greczynki", Zofii de Witt-Potockiej. Wprawdzie znajomość i sympatia bohaterów powieści zadzierzgnęła się na tle wspólnego podziwu dla idei Jana Jakóba Rousseau — niemniej jednak sentymentalny stosunek do tkliwych hrabin i poczciwej polskiej tradycji szlacheckiej jest anachronizmem, bez potrzeby wyciąganym z dobytku historii literatury czeskiej.

Janina Preger

„CZYTELNIK"
KLUB ODRODZENIA
LOUIS ARAGON
KOMUNIŚCI
STR. 244 ZŁ. 320

MARIAN PODKOWIŃSKI

Zdemaskowany dr Kogon

W Niemczech zachodnich popularna jest postać katolickiego publicysty, który swój pobyt w obozie Buchenwald doskonale potrafi oprocentować i to nie tylko w prasie. Nazywa się dr Eugen Kogon, i wydaje wraz z Walterem Dircksem ukazujący się we Frankfurcie nad Menem (z licencji amerykańskiej) miesięcznik „Frankfurter Hefte". Mimo, że finansowany przez Amerykanów, znany był powszechnie z tego, że ich stale krytykował. Był uszczypliwy wobec Anglików, a pełen tolerancji wobec Związku Radzieckiego. W wydanej własnym nakładem książce „Der SS-Staat", pokazał jeszcze w roku 1946, pierwszy z Niemców, cały mechanizm himmlerowskiego piekła. Był prawie że zasłużonym członkiem VVN (Związek Ofiar Faszyzmu) i stale potępiał niemiecki militaryzm. Co więcej, starał się w swym piśmie wskazywać palcami na co znaczniejszych podżegaczy wojennych.

Demaskował zakonspirowanych w rządach krajowych wybitnych hitlerowców. Zapraszano go na wszystkie pokojowe demonstracje, brał udział w zjazdach Żydów niemieckich, gromił antysemityzm i reakcję. Tomasz Mann wstawił go — jakże pochopnie! — na pierwszą powojenną listę niemieckich członków światowego PEN-Clubu. Francuzi zaprosili go, jako pierwszego Niemca, do Paryża na zjazd b. uczestników Ruchu Oporu. Był w Rzymie. W Zurychu opowiadał długo o działaczach niemieckiego ruchu oporu w koncentracyjnych obozach Hitlera.

Nawet w Polsce miał sympatyków. Nie tylko w prasie katolickiej. Wiele hałasu o nic wywołała u nas dyskusja na łamach „Frankfurter Hefte" w sprawie granicy na Odrze i Nysie. Dr Kogon zajął wtedy jakoby stanowisko — pamiętam ów artykuł w tygodniku „Świat i Polska" — „że sprawa granicy na Odrze jest wprawdzie bolesna, ale należy realnie na te rzeczy patrzeć". To zdanie zjednało mu wielki kredyt w niektórych kołach polskich. Kto jednak uważnie przeczytał sam artykuł dyskusyjny o stosunkach z Polakami we „Frankfurter Hefte" oraz późniejsze glossy w dyskusji z niemieckimi czytelnikami tego pisma, wie dobrze, jak zręcznie zakamuflowany został tutaj rewizjonizm.

Dr Kogon—mimo że i gdzie indziej „puszczał farbę" i zdradzał swe właściwe poglądy — miał sympatię na lewicy niemieckiej walczącej już wtedy o przyszłe kształty Frontu Narodowego i starał się ją umacniać. Niektóre koła niemieckich demokratów w zachodnich Niemczech upatrywały w nim niemal że przyszłego ministra zjednoczonych Niemiec, który zarówno we Francji, jak i w Polsce znajdzie zrozumienie i posłuch.

Gdy w wyobraźni niektórych łatwowiernych polityków dr Kogon stanął prawie u szczytu swej kariery, okazało się w obliczu współczesnych wydarzeń politycznych (rozłam Niemiec, tworzenie się Trizonii i zaostrzenie się walki klasowej), że katolicki wydawca „Frankfurter Hefte" zamierza dopiero zacząć swą karierę.

Mając kredyt na lewicy, rozpoczął nim — niby politycznym kapitałem obrotowym — obracać na prawicy.

W obliczu tworzenia się marionetkowego „rządu" dr Konrada Adenauera, dr Kogon kokietował swymi stosunkami na lewicy i ówczesnego gubernatora amerykańskiego generała Clay'a i Adenauera i kardynała Kolonii, Fringsa. Nagle okazał się zwolennikiem Unii Europejskiej i wiernym wyznawcą ideałów Winstona Churchilla, a jego mowa na jednym z takich kongresów w Rzymie wykazała, iż werbuje po prostu żołnierzy do przyszłego Wehrmachtu. Narazie, oczywiście, ściśle według ideałów Zjednoczonej Europy...

Dwulicową grę tego intryganta wyjaśnia zresztą jego ciemna przeszłość polityczna. Jego zręczna początkowo taktyka „konia trojańskiego" zakończyła się w sam czas, aby na lewicy uznano wreszcie dr Kogona za jeszcze jednego kameleona politycznego, może tylko bardziej wytrawnego od innych, który pragnął zrobić w błotku zachodnio-niemieckich kontrowersji i ogólnego zakłamania, wielką karierę polityczną.

Dr Kogon puścił zupełnie barwę, gdy Watykan ogłosił osławioną ekskomunikę na katolików współpracujących z komunizmem. Dr Kogon zdjął wtedy publicznie maskę, na cały głos wykrzykując hasła wyjęte z lamusa anglo-amerykańskich imperialistów. Dziś nie jest już dla nikogo tajemnicą, że w samej redakcji „Frankfurter Hefte" nastąpił pewien rozłam i że dr Kogon sterroryzował pozostałych pracowników (jeden z wydawców, Clemens Münster opuścił pismo). Jego miejsce zajął amerykański publicysta Kendall Foss, który w roli skromnego kronikarza jest dzisiaj właściwym cenzorem katolickiego miesięcznika. „Frankfurter Hefte" reprezentuje obecnie otwartych wrogów demokracji, którzy z błogosławieństwa Watykanu i za pieniądze „wysokiego komisarza" USA w Trizonii ,mr. John J. McClay'a, starają się szerzyć już tylko zamęt w postępowych kołach katolickich na zachodzie Niemiec.

Zdemaskowany dr Kogon nie przestał oczywiście interesować tych, którzy początkowo darzyli go swym zaufaniem. Cofnięto się więc w niedaleką zupełnie przeszłość tego człowieka, który nigdy nie był pisarzem i nigdy nie marzył o tym, że będzie kiedyś członkiem niemieckiego PEN-Clubu i twórcą Niemieckiej Akademii Umiejętności w Sztuttgarcie. Stwierdzono kilka faktów, które kompromitują do reszty nie tylko dr Kogona, ale i jego możnych protektorów z Bonn i Watykanu.

Okazało się więc, że już w okresie republiki weimarskiej Kogon jako publicysta należał do obozu skrajnej reakcji, a w przełomowym roku 1933 podpisał na łamach stahlhelmowskiego dziennika „Die Kreuzzeitung" apel do katolików, aby poparli rząd Hitlera. Nazwisko dr Kogona figurowało w tej gazecie niemieckich militarystów w jednym szeregu z podpisem von Papena i innymi katolickimi grabarzami Weimaru.

Dalsze dochodzenia stwierdziły, że dr Kogon nie należał nigdy do żadnego niemieckiego ruchu oporu i że dostał się do Buchenwaldu po prostu za przemyt dewiz. Mało tego! Do chwili aresztowania przez policję kryminalną, był powiernikiem pożydowskiego majątku we Wiedniu. To oczywiście dla kieszeni. Dla ducha natomiast — jak wykazały dalej poszukiwania — był zastępcą naczelnego redaktora czasopisma „Schönere Zukunft" (Lepsza przyszłość), które poświęcone było szerzeniu nienawiści rasowej do Żydów na terenie Austrii. Jak zeznali jego obozowi towarzysze, w Buchenwaldzie powodziło się dr Kogonowi znakomicie, należał bowiem z racji pochodzenia i rodzaju przestępstwa — do najbardziej uprzywilejowanej grupy więźniów. Jak stwierdził jeden z nich, monachijski dziennikarz Ackermann, dr Kogon zatrudniony był w wydziale rzemieślniczym: preparowania ludzkich skór na abażury i portfele.

Gdy Amerykanie oswobodzili Buchenwald, Kogon był tym, który potrafił uzyskać od nich zezwolenie na opracowanie archiwów obozowych. Wśród wszystkich więźniów, oszołomionych wyzwoleniem lub ogłuszonych głodem, należał on do tych, którzy pamiętali nawet w takich chwilach o „obowiązkach Niemca wobec historii". Już wtedy miał gotowy plan spreparowania historii obozowej. Kogon monopolistycznie i w sposób tendencyjny — jak mu później wykazano — wykorzystał archiwa Buchenwaldu dla swej późniejszej książki „Der SS-Staat". Dzięki Kogonowi, bogate archiwa Buchenwaldu (w Turyngii) są obecnie w posiadaniu władz amerykańskich.

Dziś dr Kogon już nie potrzebuje maski. Może spokojnie wydawać książki renegatki Ruth Fiszer i generała Clay'a. Jest zasobnym wydawcą, a mniej publicystą. Dba więcej o dobry interes, niż o rangę polityczną. Na jego twarzy maluje się spokój, błogi spokój zdrajcy, który może inkasować pieniądze od patrona bez potrzeby zgrywania się przed dawnymi współtowarzyszami obozowych udręczeń.

A jego pismo, owe „Frankfurter Hefte", którym maskował swe właściwe oblicze, chociaż coraz bardziej graficznie doskonałe, coraz częściej jest nudne i coraz więcej traci czytelników.

Marian Podkowiński

TYDZIEŃ KULTURALNY

DELEGACJA CZOŁOWYCH PRZEDSTAWICIELI SZKOLNICTWA ARTYSTYCZNEGO UDAJE SIĘ DO ZW. RADZIECKIEGO

Na zaproszenie Komitetu do Spraw Sztuki ZSRR udaje się w najbliższych dniach do Związku Radzieckiego delegacja czołowych przedstawicieli polskiego szkolnictwa artystycznego, pod przewodnictwem wicemin. Wł. Sokorskiego. Celem wizyty delegacji polskiej jest zapoznanie się z życiem kulturalnym i artystycznym Zw. Radzieckiego oraz ze stanem i osiągnięciami szkolnictwa artystycznego.

DNI FILMU CZECHOSŁOWACKIEGO

W dniach od 17 do 26 maja br. odbyły się w całym kraju „Dni filmu czechosłowackiego", zorganizowane przez Film Polski w porozumieniu z Filmem Państwowym Czechosłowackim.

Filmy czechosłowackie wyświetlane były w 345 kinoteatrach. Program festiwalu zawierał 10 nowych filmów pełnometrażowych, 7 filmów kukiełkowych i rysunkowych oraz filmy dawniejsze już oglądane u nas. W związku z „Dniami Filmu Czechosłowackiego" przybyła do Polski delegacja czechosłowacka w składzie: wicemin. Informacji i Oświaty inż. M. A. Kouril (przewodniczący), reżyser W. Weiss, artystka dramatyczna i filmowa A. Hegerlikowa, kompozytor J. Kapr oraz scenarzysta M. Drtilek.

PRZED FESTIWALEM MUZYKI POLSKIEJ

Pod przewodnictwem wiceministra Kultury i Sztuki Wł. Sokorskiego odbyło się pierwsze posiedzenie Komitetu Wykonawczego Festiwalu Muzyki Polskiej, organizowanego przez Min. Kultury i Sztuki przy współudziale Zw. Kompozytorów Polskich, Polskiego Radia i Generalnej Dyrekcji Teatrów, Oper i Filharmonii, oraz organizacji masowych.

Zadaniem festiwalu jest pogłębienie znajomości muzyki polskiej w społeczeństwie, pobudzenie dalszej twórczości oraz powiązanie jej z potrzebami najszerszego kręgu odbiorców.

Przewidziane jest zorganizowanie w ramach prac przygotowawczych do Festiwalu oraz w ramach samego Festiwalu, wszelkiego rodzaju konkursów dla literatów, kompozytorów, wykonawców itp.

NOWA WYSTAWA POLSKIEJ SZTUKI LUDOWEJ ZA GRANICĄ

Biuro Współpracy z Zagranicą przy Min. Kultury i Sztuki zorganizowało wystawę „Polskiej sztuki ludowej i rękodzieła ludowego", która w najbliższych dniach zostanie wysłana za granicę, rozpoczynając swój objazd od Węgier. Na całość wystawy składają się eksponaty obrazujące twórczość artyystyczną wsi polskiej z lat 1949 — 50.

ARTYŚCI WĘGIERSCY W POLSCE

W Polsce bawią dwaj goście węgierscy: Frigyes Ban, znany reżyser filmowy, realizator filmu „ Piędź ziemi" i Zoltan Varkonyi, artysta dramatyczny, reżyser, wicedyrektor Teatru Narodowego w Budapeszcie.

W czasie swego pobytu goście węgierscy zapoznają się z naszym życiem artystycznym oraz nawiązują kontakty z przedstawicielami naszego świata teatralnego i filmowego.

PAŃSTWOWA SZKOŁA INSTRUKTORÓW MUZYCZNYCH W ŁODZI

Powołana została do życia Państwowa Szkoła Instruktorów Muzycznych w Łodzi. Zadaniem szkoły jest przygotowywanie instruktorów muzycznych dla społecznych instytucji kulturalno-oświatowych.

KORESPONDENCJA

UZUPEŁNIONA WERSJA

W numerze 2 „Nowej Kultury" ukazała się recenzja St. Marczak-Oborskiego z prapremiery mojej sztuki „Sprawa Anny Kosterskiej". Autor recenzji proponuje, aby teatry, które w następnej kolejności wystawiać będą sztukę, korzystały z egzemplarza reżyserskiego Teatru Olsztyńskiego.

Jestem pełen uznania dla pracy Teatru Olsztyńskiego, ale opracowałem ostatnio nową, uzupełnioną redakcję „Sprawy Anny Kosterskiej" (egzemplarz sztuki ukaże się wkrótce w wydaniu książkowym) i tylko w tej uzupełnionej wersji byłoby wskazane wystawiać „Sprawę Anny Kosterskiej" na innych scenach polskich.

Łączę wyrazy należnego szacunku

Władysław Lubecki

SPRAWA AUTORSTWA

W Nr. 6 „Nowej Kultury" Witold Wirpsza złożył oświadczenie, że nie jest autorem tłumaczenia Paul Eluarda p. t. „Bój ostatni" zamieszczonego w wydawnictwie CRZZ p. t. „1 Maj — materiały historyczno-literackie".

W uzupełnieniu tego oświadczenia należy dodać, że wiersz „Bój ostatni" nie jest wierszem Paul Eluarda, gdyż autorem jego jest niżej podpisany. Wiersz ten był po raz pierwszy drukowany w tygodniku „Młodzi Idą" (Nr. 12—28 marca 1948 r.) a następnie w Miesięczniku Instrukcyjnym ZMP. „Nasze koło pracuje" (Nr. 4, listopad 1948 r.). W wydawnictwie ZMP „W naszej świetlicy" p. t. „Naprzód młodzieży świata" (marzec 1949 r.) wiersz ten został wydrukowany bezpośrednio pod wierszem Paul Eluarda „Rachunek do wyrównania" w tłumaczeniu Witolda Wirpszy, przy czym nad tytułem „Bój ostatni" opuszczono nazwisko autora.

Stąd cała pomyłka.

Zdzisław Wróblewski

NIE MŁODY LECZ SZEŚĆDZIESIĘCIOLETNI

Autor artykułu „Testament Henryka: Manna" w „Nowej Kulturze" z 9 kwietnia br. zawadził o Goethego pisząc o Mannie i przypisał „Wahlverwandtschaften" „młodemu Goethemu".

Należy dla porządku sprostować pomyłkę, bo „Wahlverwandtschaften" napisał Goethe w 1809 roku, a w sześćdziesiątym swego życia i choć Goethe zawsze pozostanie młody nie można go w ramach jego biografii nazwać młodym skoro miał lat sześćdziesiąt pisząc tę powieść.

Mieczysław Frenkiel
Zabrze

WŚRÓD KSIĄŻEK

„PRASA WOJSKOWA"

M. Gałaktionow. Cel strategiczny. Przełożył z rosyjskiego **Stanisław Zaleski.** Okładkę projektowała **Hofmanowa.** (Warszawa, 1950; str. 269 i 3 nl.

Helena Ljina. Czwarte zwycięstwo. Wydanie drugie. Przekład z rosyjskiego **Joanny Porębskiej.** Okładkę projektował **Mieczysław Berman.** Warszawa, 1950; str. 279 i 3 nl.

Piotr Gawriłow. Niedźwiedź - marynarz. Z rosyjskiego przełożyła **Marta Malicka.** Okładka i ilustracje **Krzysztofa Hemisza.** Warszawa, 1950; str. 172 i 4 nl.

B. Niebylicki, T. Bunimowicz. W wyzwolonej Korei. Przekład z rosyjskiego **Zenona Ławskiego.** Okładkę projektowała **Leonia Janecka.** Warszawa, 1950; str. 171 i 5 nl.

Szermierka na bagnety. Regulamin zawodów. W opracowaniu Polskiego Związku Szermierczego. (Główny Urząd Kultury Fizycznej. Biblioteka Instrukcji i Regulaminów). Warszawa, 1950; str. 78 i 2 nl.

W. Saparin. Tajemnicze zniknięcie inż. Bobrowa. Wydanie drugie. Ilustracje wykonał **Marian Walentynowicz.** Okładkę projektował **Tadeusz Gronowski.** (Nauka — Fantazja—Przygoda). Warszawa, 1950; str. 43 i 5 nl.

N. Małow. Radio na usługach ludzkości. Tłumaczył z rosyjskiego **Henryk Sacharewicz.** Okładkę wykonał **Witold Kalicki.** (Biblioteka Żołnierza. Seria II. Popularno - Naukowa). Warszawa, 1950; str. 102 i 2 nl.

M. Ostrowski. Kolej komsomolska. Wydanie drugie. Z powieści **M. Ostrowskiego** „Jak hartowała się stal" wybrała i opracowała **Janina Skarżyńska.** Ilustrowała **Stefania Dretler-Flin.** (Biblioteka Żołnierza. Seria I. Popularne Wypisy Literackie. 8). Warszawa, 1950; str. 77 i 3 nl.

D. Furmanow. 25 dywizja Czapajewa. (Fragmenty). Okładkę i ilustracje wykonał **M. Walentynowicz.** (Biblioteka Żołnierza. Seria I. Popularne Wypisy Literackie. 20). Warszawa, 1950; str. 118 i 2 nl.

Maksym Gorki. W walce. Wydanie drugie. Z powieści **M. Gorkiego** „Matka" w przekładzie **H. Górskiej** wybrała i opracowała **Maria Jurgielewicz.** Ilustracje wg drzeworytów **N. W. Aleksiejewa.** Okładkę projektowała **S. Dretler-Flin.** (Biblioteka Żołnierza. Seria I. Popularne Wypisy Literackie. 4). Warszawa, 1950; str 160.

Borys Polewoj. Bohater przestworzy. Wydanie drugie. Z powieści **Borysa Polewoja** „Opowieść o prawdziwym człowieku" wybrał i opracował **Jan Kozłowski.** Ilustrował **Marian Walentynowicz.** (Biblioteka Żołnierza. Seria I. Popularne Wypisy Literackie. 10). Warszawa, 1950; str. 136.

INSTYTUT ZACHODNI

Ziemia lubuska. Praca zbiorowa pod redakcją **Michała Sczanieckiego, Stanisławy Zajchowskiej.** (Cykl: Ziemie Staropolski. Tom III). Poznań, 1950; str. 578 i 2 nl.

Polacy - ewangelicy na Dolnym Śląsku w XIX w. Ich postawa narodowo - społeczna. Przygotowali do druku: **Tadeusz Bratus, Stefan Golachowski, Wanda Roszkowska, Bronisława Samitowska.** (Materiały do dziejów nowożytnych Ziem Zachodnich. Pod redakcją **Seweryna Wysłoucha**). Poznań, 1950; str. XLVIII i 358 i 5 knl.

WYDAWNICTWO MINISTERSTWA SPRAWIEDLIWOŚCI

I. Andrejew, L. Lernell, J. Sawicki. Prawo karne Polski Ludowej. Zarys wykładu części ogólnej. Warszawa, 1950; str. 354 i 2 nl

„NASZA KSIĘGARNIA"

9 maja Dzień Zwycięstwa. Materiały historyczno - literackie pod redakcją **Marii Czanerle.** Warszawa, 1950; str. 249 i 7 nl.

ZAKŁAD NARODOWY IM. OSSOLIŃSKICH

Stanisław Skimina. Elementa latina. II. Nepos — Cezar. Wrocław, 1950; str. 98 i 2 nl.

Aleksander Fredro. Dożywocie. Komedia w trzech aktach wierszem. Opracował **Karol W. Zawodziński.** Wydanie drugie, zmienione. (Biblioteka Narodowa. Seria I. Nr. 93). Wrocław, (1950); str LXXIV i 119 i 3 nl.

Najdawniejsze zabytki języka polskiego. Opracował **Witold Taszycki.** Wydanie drugie, przejrzane. (Biblioteka Narodowa. Seria I. Nr. 104). Wrocław, (1950); str. 210 i 2 nl.

Łukasz Górnicki. Dzieje w Koronie Polskiej. Opracował **Henryk Barycz.** Wydanie drugie. (Biblioteka Narodowa. Seria I. Nr. 124). Wrocław, (1950); str IXIV i 155 i 5 nl.

Rewolucja polska 1846 roku. Wybór źródeł. Opracował **Stefan Kieniewicz.** (Biblioteka Narodowa. Seria I. Nr. 132). Wrocław, (1950); str. LIX i 1 nl. i 238 i 2 nl.

„PRASA WOJSKOWA"

Mikołaj Ostrowski. Jak hartowała się stal. Tom II. Z rosyjskiego tłumaczyła **Eleonora Słobodnikowa.** Okładkę projektowała **Leonia Janecka.** (Biblioteka „Trybuny Ludu"). Warszawa, 1950; str. 226 i 6 nl.

LUDOWA SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA

Stanisław Nędza-Kubiniec. Wybór wierszy. Warszawa, 1950; str. 102 i 2 nl.

Stanisław Nędza-Kubiniec. Janosik. Poemat o zbójniku, który chciał porównać świat. Okładkę projektował **Tadeusz Brzeziński.** Warszawa, (1949); str. 113 i 3 nl.

Jan Żabiński. Zwierzęta domowe i ich dzicy krewniacy. Z 28 ilustracjami w tekście. (Biblioteka Popularno - Naukowa). Warszawa, 1950; str. 58 i 4 nl

J. I. Kraszewski. Boleszczyce. Powieść z czasów Bolesława Szczodrego Część pierwsza i druga Warszawa, 1950; str. 297 i 3 nl.

P. Zamojski. Młodość Z rosyjskiego przełożyli **Jan Dąbrowa i Jur.** Okładkę projektował **Tadeusz Gronowski.** Warszawa, 1950; str. 436 i 4 nl.

Konstanty Strawiński. Życie ukryte w ziemi. Z 14 rysunkami w tekście. (Biblioteka Popularno-Naukowa), Warszawa, 1950; str. 30 i 2 nl.

Konrad Rudnicki. Co wiemy o powstawaniu ziemi i planet. (Biblioteka Popularno-Naukowa). Warszawa 1950; str. 42 i 2 nl.

POLSKI INSTYTUT SPRAW MIĘDZYNARODOWYCH

Kazimierz Piwarski. Układ Monachijski 1933 r (Biblioteka Popularna Nr. 1) Warszawa, 1950, str. 70 i 2 nl.

Konstytucja Węgierskiej Republiki Ludowej. Redakcja i wstęp **Ludwika Gelberga.** (Nowe konstytucje państw europejskich), Warszawa, 1950; str. 56.

„KSIĄŻKA I WIEDZA"

Karol Dickens. Ciężkie czasy. Przełożyła **Wanda Gojawiczyńska - Nadzmowa.** Wstęp **Jacka Lindsaya.** Okładkę projektował **Piotr Baro.** Warszawa, 1950; str. 351 i 3 nl.

W. Korotiew. Oszczędność w walce z rozrzutnością. Tłumaczyła z rosyjskiego **Irena Gefonowa.** Warszawa, 1949; str. 74 i 2 nl.

Georgi Karasławow. Synowa. Przekład z bułgarskiego **Zofii Wolnik.** Okładkę projektował **Piotr Baro.** Warszawa, 1949; str. 192 i 2 nl.

Stendhal. Lucjan Leuwen Tom I. Przełożył **Julian Rogoziński.** Okładkę projektował **Antoni Uniechowski.** Warszawa, 1950; str. 368 i 4 nl.

Lucjan Szenwald. Utwory poetyckie. Słowo wstępne: **Stanisław Wygodzki.** Okładkę projektował **Stefan Bernaciński.** Warszawa, 1950; str. 243 i 5 nl. i 1 knl.

A. E. Paszerstnik. Umowa zbiorowa w ZSRR Tłumaczyła **Ewa Gutcman,** Warszawa, 1950; str. 26 i 2 nl.

TYDZIEŃ MUZYCZNY

Geminiani, Beethoven, Wagner, Szostakowicz

Program koncertu symfonicznego Państwowej Filharmonii w Warszawie dn. 26 maja br. (powtórzony został w niedzielę 28 maja) w przeciwieństwie do chaotycznego programu poprzedniego piątku tworzył tym razem logicznie skonstruowaną całość, stanowiącą jakby zwięzły przekrój poprzez 200 lat historii muzyki. Przekrój od Geminiani'ego, klasyka włoskiej muzyki instrumentalnej początków 18 wieku, poprzez stojącego na pograniczu klasycyzmu i romantyzmu Beethovena, przez szczytowy punkt osiągnięć harmoniki późno-romantycznej w „Tristanie i Izoldzie" Wagnera — po współczesną symfonię Szostakowicza.

Środkowe ogniwa tego łańcucha (Beethoven i Wagner) były reprezentowane tylko przez dwa krótkie fragmenty: jeden z opery „Fidelio" Beethovena, drugi z „Tristana" Wagnera. W arii z „Fidelia", mimo iż napisana jest w formie typowo włoskiej arii operowej ciekawie zarysowują się cechy, które tak rozwinęła później pieśń romantyczna Schuberta i Schumanna: odwrót od popisowości wokalnej, od przerostów koloraturowej wirtuozerii traktującej technikę głosową na równi z instrumentalną — dążenie natomiast do prostoty, bezpośredniej śpiewności, a przede wszystkim do osiągnięcia silnego wyrazu odpowiadającego poetyckiej treści tekstu.

Arię tę przy akompaniamencie fortepianiu wykonała *Wanda Wermińska.* Jak wiadomo, śpiewaczka ta niedawno powróciła na stałe do kraju. Słysząc ją po raz pierwszy od tak długiego czasu, od czasu jej występów na scenie przedwojennej Opery Warszawskiej mieliśmy okazję zauważyć z prawdziwą przyjemnością, że głos p. Wermińskiej zachował nadal swą świeżość, czystość intonacji, blask i ciepłą barwę, szczególnie w niskich i środkowych rejestrach. Nadprogramowo p. Wermińska wykonała arię z opery „Alceste" Glucka. Akompaniowała muzykalnie i dyskretnie *Ewa Wernikówna.*

W wykonaniu również Wandy Wermińskiej i orkiestry Filharmonii usłyszeliśmy następnie „Śmierć Izoldy", końcową scenę dramatu muzycznego Ryszarda Wagnera „Tristan i Izolda". Fragment ten odznaczający się subtelnym, tak specyficznym dla całego dzieła nastrojem zawiera mniej może niż inne części dramatu owych odkrywczych cech harmoniki, które wywołały taki przewrót w muzyce drugiej połowy 19 wieku („Tristan" został napisany w r. 1857). Cechy te — to przede wszystkim rozrost zapoczątkowanej w harmonice Chopina tendencji do chromatyki oraz techniki modulacji (tj. przechodzenia z tonacji do tonacji). Rozrost tak silny, tak ogromne bogactwo chromatyczne i modulacyjne, że w nagromadzeniu obcych danej tonacji dźwięków i w ciągłych wędrówkach po odległych tonacjach zatraca się poczucie jakiegoś ośrodka tonalnego, przynajmniej w rozumieniu epoki klasycznej i wczesno-romantycznej. Głos ludzki snuje się w tej gęstwinie harmonicznej w typowo wagnerowskich „nieskończonych melodiach", unikając wyraźnych punktów spoczynku, co stwarza poważne trudności dla śpiewaka i wymaga od niego wielkiej muzykalności.

Droga obrana przez Wagnera aczkolwiek nowatorska i wywołująca wiele sprzeciwów wśród współczesnych krytyków nie okazała się jednak rewolucyjna. Następcy Wagnera — Ryszard Strauss, a zwłaszcza Aleksander Skriabin doprowadzili wkrótce ten typ harmoniki do krańca możliwości rozwojowych. Szersze horyzonty dla ewolucji otwierały się w rezultacie w twórczości Brahmsa, która oczyszczając muzykę z przerostów chromatycznych, podbudowuje ją wyraźnym kośćcem tonalnym, a jednocześnie zestawia w sposób niespodziewany i śmiały odległe sobie tonacje z pominięciem prawidłowego procesu modulacyjnego. Tak czy owak, jedna i druga metoda pozostawiła wielkie i trwałe osiągnięcia artystyczne. W niewiele lat po „Tristanie" pisze Mussorgski swego „Borysa Godunowa" — dzieło niedocenione przez współczesnych, a tak rewolucyjne i odkrywcze, tak radykalnie zrywające z tradycjami estetyki mieszczańskiej, tak wybiegające naprzód w swych możliwościach rozwojowych, że może dopiero dziś, po 80 latach jesteśmy to w stanie w pełni zrozumieć. O „Borysie" napiszemy niebawem obszerniej z okazji wystawienia go na scenie Opery Poznańskiej.

Z utworów *Francesco Geminiani'ego* (1674 — 1762), słynnego ongiś skrzypka i kompozytora słyszeliśmy w bieżącym sezonie Concerto grosso D-dur (por. „Kuźnica" nr 5 z 5 lutego br.). Obecnie zostało wykonane inne z concerti grossi Geminiani'ego, a mianowicie G-moll. Składa się ono z trzech części, z których pierwsza poprzedzona jest powolną introdukcją. Krótka aria instrumentalna (Adagio — część druga) rozdziela pierwsze Allegro od finału. Finał ten stosuje konsekwentnie technikę imitacji (tj. naśladowania przebiegu melodii jednego głosu przez pozostałe), podobnie jak w kanonie Zbliża to utwór Geminiani'ego do stylu Bacha, jakkolwiek brak mu bachowskiej głębi. Brak mu też szlachetności Coreili'ego, czy bogactwa inwencji Vivaldi'ego. Pomimo, iż Concerto G-moll wyróżnia się lirycznym — możnaby rzec — prawie romantycznym nastrojem, struktura jego jest bardziej zwarta i lepsza w proporcjach, niż w Concerto D-dur. Rolę zespołu koncertującego na tle orkiestry smyczkowej obejmuje tym razem trio złożone z dwojga skrzypiec i wiolonczeli (w Concerto D-dur również trio, ale w składzie: skrzypce, wiolonczela, klawesyn).

Na zakończenie usłyszeliśmy utwór, który stanowił ośrodek największego zainteresowania w programie koncertu, a mianowicie: Piątą Symfonię współczesnego kompozytora radzieckiego, *Dymitra Szostakowicza* (ur. 1906 r.) Najbardziej rewelacyjną cechą tej symfonii (napisanej w r. 1937) jest jej nawrót do prostoty, zrozumiałości, do harmonii tonalnej i klasycznej formy. Zwrot to szczególnie interesujący w czasach, gdy w Europie panował język muzyczny wybitnie skomplikowany i abstrakcyjny, nacechowany tendencjami eksperymentatorskimi, nie cofający się w nieustannych poszukiwaniach nowych środków przed efektami najbardziej ostrymi i wyrafinowanymi.

Symfonię otwiera krótki charakterystyczny temat przewijający się przez całą pierwszą część, która — dzięki temu — jakby nawiązująca do konstrukcji formalnej i ideologicznej V Symfonii Beethovena. Spokojny temat drugi rozwija się w sposób, który przypomina nam trochę Prokofiewa. Początkowo oszczędna, prawie uboga instrumentacja oparta głównie na smyczkach, a niekiedy na surowym brzmieniu „blachy" stopniowo narasta i potęguje się w przetworzeniu tematycznym. Nagłe przeskoki harmonii i ostre brzmienie orkiestry dają efekty niekiedy prawie brutalne — zawsze pełne wyrazu. Gwałtowny, chwilami ponury nastrój zbliżony jest do pierwszej części Symfonii h-moll Borodina. Nastrój ten uspakaja się i wypogadza w pięknym zakończeniu rozpływającym się w delikatnym „piano".

Część druga (Allegretto) utrzymana jest w tempie spokojnego walca, względnie ländlera. Rozpoczyna ją swobodna imitacja głosów, środkowy zaś epizod (skrzypce solo z akompaniamentem wiolonczel) stanowi coś w rodzaju „trio" na wzór budowy Scherza, lub Menueta klasycznej symfonii. Część ta kontrastuje silnie z poprzednią w sposób nie koniecznie szczęśliwy. Zauważyć w niej można — częstą niestety u tego świetnego skądinąd kompozytora — skłonność do pomysłów błahych i powierzchownych.

Przeciwnie cześć trzecia (Largo) dąży do bachowskiego niemal skupienia. Dążność tę podkreśla faktura przeważnie wielogłosowa, prawie kościelne brzmienia harmoniczne, skromność instrumentacji. Ta prawdziwie piękna i szlachetna w nastroju część odznacza się przejrzystą a jednocześnie bardzo indywidualną konstrukcją, stanowiącą coś pośredniego pomiędzy szeroko rozbudowaną arią, a formą ronda, czy też sonaty.

Finał (Allegro non troppo) posiada budowę na ogół biorąc trójdzielną. Po temacie utrzymanym w rytmie marszowym i drugim intonowanym przez trąbki uniscno następuje spokojny, liryczny epizod środkowy, złożony z kilku członów tematycznych. W interesujących przetworzeniach motywicznych powraca temat pierwszy. Utwór kończy rodzaj monumentalnego hymnu, stanowiącego konkluzję całej symfonii i rozwiązanie jej dramatycznych konfliktów.

Bardzo dobrą — plastyczną i gruntownie przemyślaną interpretację tego wybitnego dzieła dał młody kapelmistrz, *Stanisław Skrowaczewski.* Przygotował on solidnie orkiestrę, która miała swój zdecydowanie dobry dzień. Pozostałe utwory wypadły również bez zarzutu.

Wawrzyniec Żuławski

mała kronika

HISTORIA, jak wiemy, lubi się powtarzać dwa razy: raz jako tragedia, drugi raz jako farsa. Złośliwie udowodnił to Marks w pamflecie na Ludwika Bonaparte. Sto lat później potwierdził to mimowoli kolega Jerzy Pomianowski. czańskich pt. „Nożyce się odezwą“ Napisał on pamflet na pisarzy miesz- (Przekrój, nr 268). Odzywam się; niektórzy uważają mnie za mieszczucha. Bo nie mam ani kociaka ani innych stosuneczków. Tak więc, po zimowej dyskusji o poezji, która zawierała wiele momentów prawdziwego dramatu, dostaliśmy wiosenną farsę. Autor farsy zdemaskował obłudne wstecznictwo naszej literatury, ukryte pod maską postępu. Zdarł tę maskę i cóż zobaczył? Erotomana Sinobrodzisza. Ten rozwiódł się z szóstą żoną i przyjechał na odpoczynek do Domu Twórczości w Żłobach pod Warszawą. Nieszczęśliwy: nie może pisać, gdy w pokoju nie ma żółtej szafy, świerszcza w kominie, a za oknem nie szumi klon. Tym warunkom odpowiada pokój pisarza robotniczego Dyonizego Gawendy. Więc pisarz robotniczy wędruje do komórki pod schodami, a Sinobrodzisz zajmuje jego pokój. Zapewne nie na długo, gdyż poprzednie pięć żon Sinobrodzisza gnieździ się w sąsiednich pokojach.

He, he, he! Typki, jak z Witkacego. Brakuje tylko podpisu „3j+8tb:M“; w tym stylu podpisywał Witkacy swoje obrazy. Oznaczały one: wódkę, papierosy, pejotl lub... Lecz. stójmy!

Mój Boże! Cóż to za temat — śmiesznostki życia literackiego! Ileż stworzyłbym romansów, gdybym chciał wszystkich durniów być zabawą! Anegdoty Chamforta byłyby przy nich nudne jak zdechły pies. Ale przecież kogo to obchodzi, że Matuszewski kręci wiecznie w palcach sznurek lub kawałek filmu, albo, że A. Rudnicki zmienia co kilka dni miejsce pisania? Kogo to obchodzi, że Pomianowski ma cudnie malowane wąsiki i godną zazdrości mieszczańską laseczkę? Albo, że podobny jest do Mr. Verdoux? Kto nie zna filmu Chaplina, temu się wyjaśnia: różnica między Pomianowskim a Verdoux polega głównie na tym, że Verdoux morduje wszystkie swoje żony (a miał ich sporo), podczas gdy Pomianowski jest jeszcze nie żonaty.

Nie zamierzam odbierać Pomianowskiemu prawa do krytyki stylu życia i twórczości pisarzy. Ale protestuję przeciw fałszywym wnioskom. Czyż można uczciwie zaprzeczyć, że rewolucja ludowa przeobraża również naszą literaturę, nawet — mieszczańską? Że zaostrza w niej walkę ideologiczną? I że nie śmiesznostki obyczajowe, ale sprzeczności ideowe dzielą ją na obóz postępu i wstecznictwa? „W tej walce trzeba się rozeznać“, jak powiedziano na pewnej konferencji pisarzy. Sam nieraz rzucałem kamyczki do cudzych ogródków i wiem, że czasem trafiałem w dojrzewające owoce. Wreszcie — nie można utożsamiać całej literatury polskiej z jej odpadkami. U Pomianowskiego pisarz robotniczy wędruje pod schody; ale czy taka jest dialektyka rozwoju naszej literatury? Pisarz robotniczy to nie Sowizdrzał, ale Majakowski. I państwo potrafi dać mu najwyższe wyróżnienie, a towarzysze pisarze — szacunek i miłość.

Nie jestem smutnym tapirem bez krzty humoru. Ale nawet patrząc na literaturę, uważam, żeby dostrzec słonia, a nie tylko mrówkę, gryzącą go w trąbę.

W sprawie mrówek: można o nich napisać niezłą farsę. Pomysł sprzedaję prawie darmo; 1 proc. od tantiem. Zresztą nie mój, lecz biologa Juliana Huxley'a. Aktualny: na Międzynarodowy Dzień Dziecka. Bo Huxley mówi o przyszłości ludzi. Trzeba wiedzieć, co czeka nasze dzieci, jeśli system kapitalistyczny... Ale wracajmy do mrówek.

W nowym studium „Ants“ Huxley scharakteryzował mrówki jako doskonale głupie stworzenia. Zbadawszy niezliczoną ilość mrowisk we wszystkich częściach świata, nasz uczony odnalazł wśród nich wszelkiego rodzaju ustroje społeczne. Absolutną monarchię. Niedołężne rządy arystokratyczne. Krwawą dyktaturę wojskową. Żarłoczny kapitalizm. Nacjonalizm. Odkrył sybarytów, leniwych pasożytów, wyższe dusze, rwące się do rejonów sztuki. Niewolnictwo, brutalne podboje. Kasty plutokracji, utrzymujące się z pracy robotników. Przekonał się, ze wśród mrówek istnieje praca dzieci. Słowem — odnalazł wszystkie objawy społeczeństwa kapitalistycznego. I zdumiał się: w takim razie, w jaki sposób to mrówczane społeczeństwo mogło przetrwać wieki? Czemu mrówki nie uczyniły nigdy rewolucji? Nie wydały płomiennych komunistów? Ani nawet nie walczyły w parlamencie o ulgi dla dzieci? Odpowiedź brzmi patetycznie, powiada Julian Huxley.

Mrowki skazane są przez całą wieczność na życie w przeznaczonym dla nich ustroju społecznym. Nic go nie zmieni, z nikad nie przyjdzie rewolucja. Cóż za słodka świadomość dla pasożytów! A nauka dla nas, ludzi? Bardzo prosta: naśladujmy mrówki, wychowujmy przez dobór rasy, podobne do ras mrowek, utrwalajmy system społeczny kapitalizmu. Myślicie, że mrówki nie byłyby wtedy szczęśliwe? Mylicie się: oto pewna mrówka wysłała do angielskiego czasopisma dla kobiet list, w którym pisze: „Często myślę sobie, jak bardzo przyjemnie byłoby służyć w pałacu Buckingham. (Jest to pałac królewski w Anglii). Jakże dumny musi być człowiek, który może pomyśleć, że gdyby jego nie stało, księżniczka Margaret nie dostałaby gotowanych jajek na śniadanie“. Jak widzimy, nawet mrówki mają swoje radości.

P. S. Co mnie nie dziwi; przeczytałem bowiem w gazecie wzmiankę następującą: „Papiez Pius XII został w czwartek mianowany honorowym członkiem policji chicagowskiej. Członkowie oddziału policji Claret wręczyli Mu złotą odznakę policyjną.“

Podobna ceremania może się zdarzyć tylko wśród mrówek hodowli profesora Huxley'a. Ludzie mają jeszcze zbyt wiele poczucia humoru.

Tadeusz Borowski

PRZYSZŁOŚĆ AMERYKI

W wychodzącym przed I-szą wojną światową ilustrowanym tygodniku warszawskim p.t. „Biesiada Literacka“ z r. 1911 znajdujemy następującą, obrazkową satyrę na amerykański „kult pięści“. Choć satyra owa, w mieszczańskim magazynie wywodzi się niewątpliwie z przesłanek innych niż współczesna krytyka amerykańskiego imperializmu, jednakże prognoza satyryka z roku 1911 na rok 1950 panuje do chwili obecnej w sposób zdumiewający.

1. Dziś już Ameryka wskutek zamiłowania do sportu bokserskiego, ma silnie rozwinięte pięści.

2. Za lat dziesięć pięść amerykańska znacznie się rozwinie ze szkodą jednak wszystkich innych członków.

3. Za lat trzydzieści, pięść amerykańska dosięgnie potwornych rozmiarów.

4. W r. 1950 będą przychodziły na świat w Ameryce... same tylko pięści.

Komentarze

Zabawa w chowanego

Oto się ciemne księgarnie zawarły... Od tego romantycznego wiersza można by zacząć opowieść o doli książek, które ukazały się w czasie formowania się Domu Książki.

Nie, ten wiersz nie odpowiada w pełni sytuacji: nawet nie księgarnie się zawarły. Żeby to! Zawarły się nad tymi nieszczęsnymi księgami sklepy piwniczne, stropy magazynów. Śpią w nich snem butwiejącym książki, których przeznaczeniem było wydostać się na wolny przestwór, dotrzeć do rąk czytelników. Poto były przecież pisane.

Nie jestem w posiadaniu wszystkich danych w tym smutnym zakresie. Mogę oprzeć się jedynie na szczupłych wiadomościach, podanych przez kilku kolegów. Tak więc wydane przed kilku miesiącami Poezje Zebrane Władysława Broniewskiego spoczywają gdzieś w niewiadomym nikomu magazynie.

Tak również II wydanie szkiców Ryszarda Matuszewskiego, które „ukazało się“ w styczniu, w ogóle nie dotarło do księgarń. Również drugie wydanie tomu wierszy Mieczysława Jastruna „Rzecz ludzka“ nieobecne jest na rynku księgarskim, mimo że „ukazało się“ przed paru miesiącami.

Mnożyć jeszcze przykłady? „Szkoła klasyków“ Jana Kotta, zbiorki wierszy M. Buczkówny, A. Kamieńskiej, J. Millera... Niechże ta skromna lista książek w letargu służy na początek. Łatwo ją wielokrotnie pomnożyć.

Rozumiemy trudności, które ma do pokonania Dom Książki, wiemy, że stara się je pokonać. Przykładem tego może być, że na nasz alarm ukazały się wreszcie przekłady Majakowskiego na rynku księgarskim. Ale są również wypadki, których w żaden sposób zrozumieć nie możemy np. że kierownictwo nie wie, gdzie, w jakim magazynie znajdują się niedawno wydane książki. Czy naprawdę Łódź jest tak wielka, że niepodobna odszukać tej czy innej książki w tym czy innym magazynie? A przecież „Książka i Wiedza“ drukowała wymienione tu wydawnictwa w Łodzi.

To już jest jakaś mistyczna sprawa. A może by się tak zapytać wróżek? A może kabała powie? Jakkolwiek — byłoby, niedopuszczalną jest rzeczą, aby Dom Książki bawił się z autorami i czytelnikami w taką niemiłą CIU-CIU-BABKĘ, w CHOWANKĘ, trwającą nieraz pó roku. Nie mamy na taką zabawę, która morduje nasze książki, czasu!

Nit

„Realistyczny jak Oświęcim“

W „Neue Züricher Zeitung“ z dnia 29.3. 1950 r. zwraca uwagę szumna reklama jednego z filmów amerykańskich, które ostatnio zalewają Szwajcarię. Reklama tym dziwniejsza, że powołuje się na polski film „Ostatni Etap“, który był wyświetlany w Szwajcarii pt. „Oświęcim“. Ze szpalt zurychskiego dziennika mizdrzy się standartowa, o ciemnych i obficie brylantyną wypomadowanych włosach twarz hollywoodzkiego amanta, który ściska czule olbrzymi pistolet. Nad tym obrazkiem widać napis: „G-men contra G.P.U.“, pod spodem zaś tekst głosi:

„Nowość! Najważniejszy film bieżącego roku! Ten film obchodzi i ciebie... biada bowiem, jeśli tajemnica bomby wodorowej dostanie się w niepowołane ręce. G-men i detektywi Scotland-Yardu w walce z niebezpiecznymi i wyrafinowanymi szpiegami i zdrajcami. Porywający superfilm... autentyczny... i realistyczny jak „Oświęcim“.

„Autentyczny“ i „realistyczny“ jak „Oświęcim“?

„Neutralni“ Szwajcarzy (oczywiście nie wtedy, gdy chodzi o zarobki) nie tylko wyświetlają amerykańskie filmy, ale i przyswoili sobie metody amerykańskiej reklamy. Bez zmrużenia powieką stawiają na jednej płaszczyźnie obskurną, podżegającą do wojny, antyradziecką szmirę amerykańską z antyfaszystowskim i głęboko humanistycznym filmem polskim. Byleby tylko interes szedł. Szwajcarskim zjadaczom sera nie trzeba, widać, zbytnich subtelności. Tragedia oświęcimska i zbrodniczy film nawołujący do powtórzenia Oświęcimia mają spełnić tę samą funkcję: napełnić kasy kinoteatru i wywołać dreszczyk sensacji u mieszczucha. Byleby tylko był „autentyzm“ i „realizm“.

kl

Znamienny anons

Ogłoszenie powyższe ukazało się nie dawno w nowojorskim „The Wall Street Journal“ (organ bankierów, giełdziarzy etc.). Jest to oferta na nabycie luksusowego majątku ziemskiego. Wśród paru wyliczonych zalet figuruje również „good bomb immunity“ tj. dobre zabezpieczenie od bomb.

j. t.

> **SECLUDED 15 ACRE ESTATE**
> on fair sized lake beyond Luzerne. 35 minutes from Saratoga. Large well furnished and equipped main house. 4-room guest house. large garage. accessory buildings. woods, gardens. boats. fishing. swimming. Good bomb immunity. Attractive summer home or could be converted for resort or institutional purposes $30,000.
> **Box H 70. The Wall Street Journal.**

PIROŻYŃSKI REDIVIVUS

Nie czytałem pierwszego wydania książki Mariana Pirożyńskiego „Kształcenie charakteru“. Nie mogę więc niestety ocenić zmian, jakie ewentualnie poczynił czcigodny autor w wyd. 2, Wrocław 1949, u O.O. Redemptorystów *). Książka jest przeznaczona dla „młodych entuzjastów, którzy pragną budować Polskę od wewnątrz“, dla „młodych — od lat 18 do 24 — którzy szukają Ideału godnego człowieka“. Mimo ,że tę granicę wieku niestety przekroczyłem, książkę z wielkim pożytkiem przewertowałem. Celem autora jest wskazanie młodym czytelnikom najlepszych środków „kształcenia charakteru naturalnego środkami naturalnymi“.

„Naturalnym celem“ „naturalnego charakteru“, to „poznawać i realizować plany Boże“. Bowiem: „Wiara w Boga jest źródłem najczystszego idealizmu, ufności w zwycięstwo słusznej idei oraz wiecznej młodości ducha. Kto natomiast ucieka od Boga, ten wpada w objęcia materializmu, który zaraża duszę bakcylami zwątpienia i starczości“.

W tych słowach dokładnie poznajemy światopogląd autora; orientujemy się, że celem jego pracy będą zaciekłe ataki na materializm w sferze etyczno-wychowawczej. Czy jednak książeczka ma tylko być „szkołą charakteru“ dla pobożnych sodalisów? Dla kogo i po co jest naprawdę pisana?

Młodzieniec wchodzący w życie (a i „panienka“), ma przede wszystkim dokonać wyboru ideału — dowiadujemy się, że: „nie tylko poszczególni ludzie mają swoje odrębne ideały, ma je każdy naród i każdy stan. Inny jest ideał Polaka, a inny — Francuza. Inaczej ujmuje swój ideał rolnik, a inaczej żołnierz. Ideał panny różni się od ideału mężatki“. Co za przykłady, tak na jednej płaszczyźnie! — czytajmy dalej: „Jednak poznać swój ideał — to jeszcze za mało. Historia świadczy, że sama wiedza nie wystarczy do odrodzenia człowieka. Oto dowód jeden z wielu: w XVI wieku Kopernik odkrył, że ziemia nie jest centrem wszechświata, jak dotąd astronomowie przypuszczali. Ale cóż z jego odkrycia, skoro właśnie od XVI wieku począwszy ludzkość coraz bardziej ku ziemi, jako ku centrum swego życia się zwraca?...“.

Szkoda, że autor nie zapoznał nas z dalszymi dowodami, jak to walka i zwycięstwo ludzkości nad feudalizmem przeszkadzało „odrodzeniu“ człowieka — jakiemu, u boga ojca „odrodzeniu“?

Zrozumiemy, gdy przeczytamy po dwóch stronach taką cenną wypowiedź: „...człowiek współczesny... może być do dziecka przyrównany. Bo i on nie lubi myśleć — myślenie go męczy — zamiast myśleć, woli czytać, ale i czytanie nuży go prędko, gdyż i ono wymaga jakiegoś wysiłku myślowego, więc woli patrzeć albo słuchać: patrzy na ruchome obrazki w kinie, a na nieruchome w gazecie, słucha radia, obmów i innych głupstw, byle tylko nie mieć czasu na myślenie...“.

Acha, ksze miły, tu godzicie! Drukujecie takie miłe inwektywy w 1949 roku w Polsce Ludowej — i co one mają znaczyć? Może i studia uniwersyteckie młodzieży robotniczo-chłopskiej, tak jak kino na wsi i gazeta w ręku człowieka pracy to głupstwa? Bo trochę utrudniają pobożne prowadzenie ku „najwyższym ideałom“. Pewnie przed XVI wiekiem było spokojniej, napewno mniej czytano. Ale czy wszyscy? Czy tak dużo czasu na kontemplację miał „glebae adscriptus“ kmiotek?

„Uznanie autorytetu Boga nad sobą jest pierwszym punktem w programie kształcenia charakteru“ — bardzo pięknie, ale do czego to prowadzi w praktyce? Na początek stwierdzenie pozornie niewinne:

„Mój bliźni ma prawo domagać się ode mnie, bym szanował jego życie, zdrowie, godność ludzką, wolność, własność osobistą“.

Ale dalej, omawiając wady charakterów ludzkich, autor powiada:

„Pycha, ten najwyższy stopień egoizmu indywidualnego, występuje też i w zakresie życia społecznego, jako egoizm *klasowy* (robotniczy, chłopski, szlachecki, arystokratyczny), narodowy, państwowy itp. Wtedy dobro własnej grupy zaślepia człowieka i popycha go do niesprawiedliwości wobec innych grup, nawet do zbrodni. W łonie jednego i tego samego narodu powstaje walka *klas* i w zapale bojowym zapomina się, że naród — to żywy organizm, w którym wszystkie *klasy* i warstwy muszą harmonijnie współpracować dla dobra całości, że każda *klasa* ma swoje prawa i swoje obowiązki i że, wreszcie, krzywda jednej warstwy społecznej pociągnie za sobą krzywdę wszystkich innych“. (podkreśl. autora).

Satis, satis, kochany autorze — jesteśmy już w domu i wiemy skąd pański szacunek dla prawa własności. O takich solidaryzmach narodowych pisał wieszcz Krasiński, obficie cytowany w książce, i dla niego walka klas to zbrodnia — bardzo szkoda tylko, że nie wiemy dokładniej jakie są wzajemne „prawa i obowiązki“ robotników i kapitalistów w ustroju, gdzie idealni ludzie nie wiedzą co to walka klas i pobożnie: jedni pracują, a inni z ich pracy wygodnie żyją i kontemplacyjnie kształcą charaktery. To wszystko odbywa się pod czcigodnym protektoratem religii, bowiem:

„Polakiem typowym — polskim typem historycznym — jest tylko ten Polak, który wierzy w Boga. Wiara nasza to nie owoc wyczerpanego szamotaniem buntu, ale pogodna jej pełnia, płynąca czystym jak łza potokiem natchnienia z ducha — na przekór złu, plugawym żądzom i „racjom“ życia“.

W innym miejscu: „Jeżeli... nie chcemy poddać się destrukcyjnym skutkom współczesnej cywilizacji, która poszła w służbę niskich instynktów, musimy płynąć *przeciw prądowi*“ (podkr. autora).

Rozumiemy ,że powoływanie się na Alexisa Carrela, autor go z resztą nie wiem dlaczego nazywa „myślicielem amerykańskim“ — może, żeby jego słowo miało większą wagę dowodową — obok tego faszyzującego „wroga cywilizacji“ znajdziemy tu cytaty z takiej „powagi naukowej“ jak Le Play. Uczony rodak Carrela pisze:

„1. Rodziny poddane Bogu i oddające się pracy trwają w stanie dobrobytu i rozwoju.

2. Naród więcej się rozwija miarkując swoje dążenia i powstrzymując swe namiętności, niż gdy pomnaża produkcję przedmiotów pierwszej potrzeby“.

Autor nazywa to „prawami naukowymi“. Podobnych idiotyzmów, maskowanych powoływaniem się na rzekome „powagi“ można w książce Pirożyńskiego naliczyć setki. Nie warto ich wszystkich wyliczać — nie warto też wyciągać inwektyw przeciw erotyzmowi, które swoistą pornografią, jakimś histerycznym freudyzmem przesycają całą książkę. Nic dziwnego, gdyż autor zgodnie ze swym twierdzeniem „energię zaoszczędzoną dzięki wstrzemięźliwości seksualnej stara się przelać na inne, szlachetniejsze konto“.

Ascetyczne ćwiczenia jakie autor proponuje, bardzo ucieszne „stopnie“ treningu — jakaś parodia jogistycznych metod doskonalenia się, regulowanie wypróżniania się, pozycje ciała w jakich najłatwiej rozmyślać o marności świata, walka z ogromnym katalogiem seksualnych pokus — to wszystko nie jest takie niewinne i tylko śmieszne, jak by się wydawało. Znowu przypomnijmy sobie miejsce i rok wydania przy uwadze tego typu: „...życie współczesne wprost rozrywa nas na wszystkie strony. Pod pozorem „wiedzy“ szpikuje nam głowę tysiącem niepotrzebnych wiadomości, zaśmieca pamięć i wyobraźnię rozkrzyczaną gazetą... szczególnie radio, pozbawione wszelkiej subtelności, wciska się wszędzie, czyha na każdą naszą wolną chwilę“.

Otóż dowiadujemy się że bez dosyć radykalnego odseparowania się od przejawów życia społecznego nie ma co mówić o doskonaleniu charakteru. Szczególnie zaś denerwują pobożnego autora wszelkie przejawy masowego szerzenia kultury i wiedzy: kino, gazeta, teatr. Najchętniej wróciłby do sielankowego i miłego jego ascetycznej duszy średniowiecza. Mógłby wtedy zupełnie spokojnie walczyć z szatanem zmysłowości i wychowywać dla „ideału“ młodzianków i panienki. Książka jest przeznaczona dla młodych ludzi ze sfer posiadających, w każdym razie mało ma wspólnego z psychiką i trybem zajęć młodzieży proletariackiej, czy inteligencji pracującej w państwie ludowym. Świadczą o tym uwagi o pożyteczności pracy fizycznej, o tym jak zbawienne jest czasami „sprzątnięcie własnego pokoju“. Świadczy o tym chociażby taka kapitalna notka: „...dobre wychowanie domaga się czci dla pokoju przez pannę zamieszkałego: jest to sanktuarium do którego żaden mężczyzna nie ma prawa wstępu. Również do pokoju kawalerskiego szanująca się panna nigdy sama nie wejdzie“. O wyraźnym adresacie społecznym świadczy „trening pobożny“, obliczony na samotną pracę nad charakterem, zbyt podobny do faszystowskiego kultu mocnego człowieka i zbyt często atakujący za Carrelem osiągnięcia wiedzy i cywilizacji, by nie zdradzić się ze swym celem: oderwaniem młodzieży od pracy i od myślenia społecznego, stworzenia problemów sztucznych (przede wszystkim rozdęty do horendalnych rozmiarów problem seksualny), nauką pogardy dla otaczającego młodzież świata, pogardy zamaskowanej wzniosłymi frazesami o znikomości i przemijaniu. Książka Pirożyńskiego jest bardzo niebezpieczna, mimo swej absurdalności — trafi na czytelnika niekrytycznego, młodego, zaimponuje mu perspektywami rzekomego panowania nad sobą, kształcenia charakteru. Będzie uczyła przyszłych budowniczych socjalizmu w Polsce trybu życia i, co jeszcze gorsze, będzie uczyła kompleksów jakie miała w swych „duchowych rozterkach“ snobująca się młodzież krajów kapitalistycznych.

Tę ogłupiającą rolę książki Pirożyńskiego trzeba silnie podkreślić — mimo że ma tyle uroczych miejsc, tak kapitalnie walczy ze „szkołą rozpusty“, jaką ma być plaża kąpielowa, tak łatwo możnaby z niej zrobić satyrę na ciemniactwo. Książkę tę powinien omówić i poddać krytyce z katolickiego punktu widzenia „Tygodnik Powszechny“. „Na własnym podwórku“ powinni się rozprawić polscy katolicy z tymi smutnymi przeżytkami.

St. T.

*) Pirożyński Marian: „Kształcenie charakteru“. Wyd. 2. Wrocław 1949 Wyd. O.O. Redemptorystów 8 s. 140, nlb 2.

Redaguje Zespół. Adres redakcji ul. Wiejska 16. IV p. tel. 4-01-80, w. 95. Adres administracji, Wiejska 12. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 100—: kwartalnie zł 300—: półrocznie zł 600—: rocznie zł 1200—. Należność za prenumeratę wpłacać do PKO I-15230. Adres prenumeraty: Warszawa, Plac Trzech Krzyży 16.
Cena ogłoszeń: zł. 180 za 1 mm szerokości łamu. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń Czytelnik, Warszawa, Poznańska 38, konto PKO I-717/110.
Drukarnia Nr 2 Spółdz. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik“ — Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5 B-111510